

KRÓL PIAST

KRÓL PIAST

(MICHAŁ KSIĄŻE WIŚNIOWIECKI).

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego

TOM I.

ET. STANISLAUS PAROCHIAL SCHOOL LIBRARY
CHELSEA, MASS.

WARSZAWA
NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1903

Р 01
К 124
889

Дозволено Цензурою.
Варшава, 18 Ноября 1902 года.

W Łowiczu, w dworcu Arcybiskupim, gdzie podówczas przebywał Prymas Prażmowski, bliżej chcąc być stolicy, pod koniec 1668 roku, po odjeździe Jana Kaźmierza ruch, zjazdu i narady były nieustające.

Arcybiskup pochlebiał sobie, że w rękę miał koronę i że nią rozporządzi, jak mu się podoba, rodzinie i sprzymierzeńcom zapewniając znakomite korzyści. Francuskie zabiegi, poczęte za żywota Maryi Ludwiki, przeżyły ją i triumfowały.

Znudzony wszystkiem Jan Kaźmirz jechał do Francyi odpoczywać na tłustem opactwie, po drodze był tak wesół, że w Krakowie tańcował, a jego orszak sprawiał się tak butno, że bił szlachtę, która ex-króla pozywała do sądów kapturowych i osądziła go na infamię.

Żartobliwsi przewali go już na sejmie abdykacyjnym panem Snopkowskim, od snopu wąsów w szwedzkim herbie.

Smutne to zrzucenie korony, od której uciekał Walezyusz, jowialiści ówcześni w żart obracali. Niczyjego serca nie przyjęły te groźne, prorocze, natchnione, łzawe wyrazy, jakimi Jan Kaźmirz kraj pożegnał.

Takie to już były czasy! On sam, —z piersi dobywszy to złowrogie proroctwo Kassandry,

które było jakby echem kazań Skargi, — on sam śmiał się nazajutrz, zostawszy panem Snopkowskim.

Losy Polski spoczęły w rękę arcybiskupa, zaprzedanego Kondeuszowi, Hetmana Sobieskiego, żonatego z francuzką i oddanego Francyi i znaczniejszej części arystokracji, która pozyskaną dla niej była.

Z księdza Olszowskiego, który wydał cenzurę kandydatów do korony i zalecał Piasta, śmiano się, jak ze statysty *in partibus*, który na Elekeyi wpływu mieć nie mógł.

Mało kto naówczas baczył na to, że zwolna, obok potęgi magnatów, rosła siła nowa, niesforna, krzykliwa, na pozór dająca sobą powodować i kierować, a którą starsi panowie bracia mieli za swoją.

Już naówczas panowie i szlachta, których prawo nie rozróżniało, dając im równe prerogatywy, — rozbili się na dwa obozy. Dostatek lub ubóstwo nie koniecznie stanowiły cechy i znamienia jednego z dwu tych obozów, dzieliły je szczególniej wychowanie, obyczaj, pojęcia, — strój nawet.

Już od Zygmunta III zaczynano się przebierać po Europejsku, a zarzucać strój narodowy. Na pozór nie miało to żadnego znaczenia, było drobnostką, rzeczą smaku; — ale nie ma w życiu człowieka symptomu bez genezy, bez głęboko leżących przyczyn — i zewnętrzna forma wcale nie tak była obojętną, jak się wydawać mogła.

Już ten sam fakt, że ktoś miał odwagę zerwać z narodem, wyróżnić się od niego, — zażądać czegoś innego, niż wszyscy i że mu smakowała rzecz obca lepiej, niż spadek dziadów i pradziadów — miał ogromne znaczenie. Chcieć, choćby powierzchownie, uchodzić wśród

swoich za cudzoziemca, — jest to im wykazać brak smaku, zadomowienie i zardzewienie.

Wprawdzie strój i mowę obcą przynosił z sobą dwór,—ale nie miałyby siły ich zaszcześcić, gdyby w górze nie rzucono płochu wszystkiego, co swoje, dla tego, co obcem było.

Jako wymówkę miała młodzież bogata,—cała prawie kształcąca się zagranicą — iż u obcych znajdowała ogładę większą, życie słodsze i szumniejsze, postęp w tem wszystkim, co je przyjemniało.

Lecz z tą chwilą, gdy zaczęto mówić, stroić się i bawić po francusku i po niemiecku, — skazano starą Polskę na śmierć.

Zamiast o swej sile wyrabiać sobie cywilizacyą własną, mającą charakter narodowy i miejscowy, — zmuszoną była się przeradzać i przetwarzać. Żadne takie przesilenie okrutne nie przechodzi bez oporu i boleści. Liczne też zastępy szlachty, która polską była i pozostać nią chciała, stanęły okoniem przeciwko kosmopolitom.

Walka rozpoczęła się, nie zapisując na chorągwi hasła; inne wywieszono na niej, lecz w głębi nie była czem innem, tylko bojem o utrzymanie obyczaju i cech narodowości. Do nich należały do zbytku aż rozrozłe swobody, korzystano z nich, ażeby je nie tylko utrzymać, ale doprowadzić do rozprzężenia i anarchii.

Z obu stron u panów i u wrzawliwej, a warcholącej szlachty były przymioty i wady, były dobre równie, jak złe popędy, lecz walka ma to do siebie, że odsłania strony ciemne, że wydobywa zło na wierzch.

U góry stały: prywatne przekupstwo, nepotyzm, frymarki, przedajność bezwzględna; — u dołu—bezrząd i rozpasanie, buta i warcholstwo niepowściągnięte.

Szlachta niechętnie szła na pospolite rusze-

nie, w sejmie posłowie chcieli stać na równi z senatorami, związki wojskowe i rokosze wrzały ciągle, panowie płacili za urzędy, rozbijali się o starostwa i lekceważyli losy kraju, — królowie stali się w końcu płatnikami tylko.

Ani z jednej, ani z drugiej strony nie tają tego, co jakby już zwyczajem uświęcone, przechodziło z pokolenia na pokolenie. Szlachta wiedziała, co kto za dostojność i za starostwo zapłacił, panowie nawskroś przenikali wichrycieli i Katylinów.

Lecz u dołu ten tłum niesforny, rozgorzały, bezrozumny miał to za sobą, że wrzał, burzył się, krzyczał i rozkoszował w imię jakiejś zasady, w obronie jakiejś swobody, że się poświęcał dla ogółu, gdy u góry stała naga i bezwzględna prywata.

Nie zważała ona na wrzask i obelgi, jakimi ją obrzucano; — szła cynicznie swoją drogą, ale tym bezwstydem upadała moralnie. Tłum miał wyższość nad nią, bo on szedł często pieszo i stał o suchym chlebie w obronie praw, gdy panowie, lekceważąc je, bankietowali.

Panowanie Jana Kaźmirza było momentem krytycznym, w obu obozach wzmoгло się rozprężenie, szlachta podniosła głowę, obliczyła się, mruczała, czuła się silną. Lecz jak wszystkie zbiorowiska ludzi, ulegała ona tym, co się jej na wodzów narzucali i ugiwała za powiewem chwili...

Kilku przewódców poruszało ziemiami, wołało do broni i miotało tłumami.

Ktoby widział Warszawę w tym czasie między sejmem konwokacyjnym a elekcyjnym, świetną, wesołą, wrzawliwą, wytworną, szczebioczącą po francusku, a przepełnioną dworami panów tak wytwornemi, iż się ich w obec

cudzoziemców nie wstydzono... owe pocztę towarzyszącą wojewodom, kasztelanom, biskupom, te służby w barwach kosztownych, wygalowane od złota, te panie we fryzurach, koronkach, atłasach, umalowane, woniejące, noszące wszystkie przezwiska mitologiczne lub zapożyczane z romansów francuskich. — Ktoby posłuchał żargonu salonów, w których bardzo mało gdzie się język polski odzywał, — musiałby być wniesić z tego, że tu potęga panów, ich wpływ, siła, wola — stanowiły o całej kraju przyszłości. Wszyscy zaś ci panowie i panie tak służyli zagranicznemu potęgom, królowi Francyi, Cesarzowi, książętom Rzeszy, wszystkim, co rozrzucali lub obiecywali pieniądze, iż mniemać było można, że przyszła elekcya pójdzie po woli obcych mocarstw.

Francya szczególnie od czasów Maryi Ludwiki, była w ścisłych stosunkach z Polską, a że ją mieć chciała jako sprzymierzoną hołdownicę przeciwko Cesarstwu, musiał Jan Kaźmirz ustąpić z tronu dla Kondeusza, i wszystko było tak osnute, obrachowane, prowadzone przez jednookiego prymasa, iż rachuby zawieść nie mogły... Przyszły król miał już tu swój dwór francuski: wychowanice nieboszczki królowej, ich mężów, młodzież wyuczoną w Paryżu, — przygotowane narzędzia, sprzętyny, pomocników i sługi.

Cały ten ruch jawny był — a wesołe twarze biorących w nim udział, przekonywały, że pewni być musieli powodzenia...

Dla tego zalotnego, eleganckiego świata, który wziął spuściznę po Maryi Ludwice i panować tak chciał męskiej połowie, jak ona rządziła Janem Kaźmirzem, — rycerski, piękny, na najświetniejszym dworze wychowany Kondeusz, był ideałem... Z nim tu przyjść miało życie... a w niem te piękne wychowanice królowej —

półkrólowe—obiecywały sobie świetnieć i rozkazywać...

Na czele tych piękności, zawczasu cieszących się tryumfem, stała naprzód ulubiona Maryi Ludwice, niemal przybrana za córkę, Marya de la Grange d'Arquien, żona naprzód Zamoyckiego, a teraz Jana Sobieskiego hetmana, który razem z prymasem prowadził Kondeusza.

Hetmanowa była najjaśniejszą gwiazdą na tem niebie, celowała bowiem pięknością nadzwyczajną, a umiała się nią posługiwać...

Mąż, Celudon, był jej niewolnikiem. Jego adoracya dla żony słynęła jako przykład miłości idealnej...

Obok niej nie zbywało na pięknościach, na zalotnych twarzyczkach, a galanterya rozpościerała się szeroko i swobodnie, ale nie gorczyła nikogo, bo się osłaniała formami wielce wyszukanemi...

W świecie tych pań, Sobieskiej, Radziwiłłowej, Potockich, Lubomirskich, Paców—żaden dzień nie mijał bez zabaw, a wesołość była tonem dominującym.

Wszystko też zdawało się ją usprawiedliwiać... Elekcyja była tylko formalnością do spełnienia. Powołany Kondeusz miał przybyć i Polska miała być szczęśliwą!

Patrząc zdaleka, zdawało się to pewnem i niezawodnem.

Zawczasu rozdawano wakanse... W Łowiczu prymas Prażmowski przyjmował codziennie cisnących się gości, którzy mu swe usługi ofiarowali, skarbiąc sobie jego łaski...

Ale nie wszędzie to tak wyglądało, jak w Warszawie i Łowiczu... Niemal każda ziemia miała wśród szlachty przewodzcę, który jej dawał wskazówki i skinieniem prowadził za sobą.

W Sandomierskiem, niedaleko od miasta, mieszkał na małej dziedzicznej wioseczce JMPan Ireneusz Piotrowski, herbu Sas. Spojrzawszy na niego, gdy się wmięszał między panów braci, niktby za tego chudego, żółtego, przygarbionego, odzianego niedbale, prawie ubogo cichego, a prześlizgającego się w tłumie nieznanie człowieczka, nie dał złamanego szeląga.

Piotrowski nie miał żadnego tytułu, był ubogi, kolligacyami się nie szczycił, pańskich progów nie wycierał... ale w Sandomierskiem bez Piotrowskiego w sprawie publicznej nikt nie stąpił. Z tej wziętości u szlachty nie miał on najmniejszej korzyści, ale umiał ją cenić i nie lekceważył...

Bóg jeden raczy wiedzieć, co tam niegdyś, w młodości na pana Ireneusza wpłynęło na to, że panów i magnatów, żółto brzuchów, jak ich nazywał, znieść i cierpieć nie mógł. Był to ich wróg zacięty, chociaż z tą nieprzyjaźnią nie występował, nosił ją za pazuchą, dobywając tylko, gdy mu jej było potrzeba.

Piotrowski miał drugi przymiot, czy wadę niezwykłą. W tej epoce niezmiernej gadaniny, gdy połowa życia szlachcicowi upływała na popisach z retoryką, Ireneusz nie prawił mów wiele, nie bawił się w Demostenesa.

Gdy drudzy za długo, a nie do rzeczy pletli, tarł przerzedzone włosy, ciągnął ich za rękawy i szeptał:

— Konkludujcie...

Miano go za przebiegłego i chytrego, i był nim w istocie, ale i z tego nie szukał sławy, — owszem, pozornie udawał prostego, otwartego człowieka.

Wioska jego, od wieków w posiadaniu rodziny będąca, zwała się Sasindwór, leżała nad Wisłą, a w półtorej godziny mógł z niej na swej szkapie traktem dostać się do Sandomierza.

Żona, kobiecina tak skromna, że najczęściej chadzała z głową, prostą chustą związaną, nie sadząc się na czepecie i forboty, pracowita gospodyni, mileżąca jak mąż, i jedna córeczka Jagusia, naówczas mająca lat piętnaście, stanowiły jego całą rodzinę.

Żaden naówczas szlachecki, najuboższy dworek nie zamykał się niegościnnie przed ludźmi, stał i Stasindwór otworem, ale nie ucztowano w nim, bo Ireneusz jak powiadał, miał słabą głowę, pić nie mógł, i nie lubił, a w pijanym towarzystwie stawał się smutnym.

Jedynym zbytkiem jego chaty, bo tak on swój skromny dworek nazywał, były książki. Lecz z nimi też nie lubiąc się chwalić, trzymał je w swojej kancelaryi i więcej się taił, niż chwalił. — Ulubionem jego czytaniem byli rzymscy historycy.

Gospodarzem był, jak naówczas wszyscy, wedle starych podań i prawideł, posługując się włodarzem, pilnując, aby się nie marnowało, ale niezbyt zabiegłym. W wielu rzeczach jejmość go zastępowała, bo gdy przyszły sejmiki, zjazd, narady, sejm — Piotrowski musiał na służbę... Tak się wyrażał o zajęciach sprawą publiczną.

Tak ustalona miał sławę mądrego statysty u swej współbraci Sandomierzanów, że ona i do sąsiednich województw przeszła. Wogóle był to człek skromny i cichy. Ponurym jednak i niezbyt poważnym nie był: — owszem śmiał się rad i czasem dowcipnie przyciąć umiał, a gdy się rozgrzał, wyrażał się dosadnie, po szlachecku.

Pora była zimowa. Sanna się późno w tym roku usłala, ale za to była tak wyborna i tak trwała, że się nią cieszyli wszyscy. Piotrowski siedział z Tacytem przy kominie, gdy jejmość zapukała i cicho oznajmiła:

— Masz jegomość gości...

Piotrowski książkę włożył do szafy, obciągnął suknie i wszedł do bawialni w chwili, gdy ogromnych rozmiarów, okrągły jak beczka, rumiany, z siwemi wąsami szlachcic, rubasznie się śmiejąc, bokiem się wciskał przeze drzwi, wołając:

— A co? gość nie w porę, gorzej doktora!

Tuż za okrągłym szlachcicem widać było dwóch znacznie mniejszej objętości, ale daleko słusznieszego wzrostu ichmościów, z których jeden miał jasne jak len włosy, a drugi czuprynę czarną i wąs do góry sterczący.

Zaczął się serdeczne powitanie.

IMPan Symeon Garwowski, Cześnikiem się jakimś mianował, jasnowłosy Remigian Zwolski — Wojskim, a ostatni, czarny i tego rozrosły — Namiestnikiem. Wszyscy trzej kość z kości byli Sandomierzanie.

Piotrowski, ucałowawszy ich, rozsadził, a wiedząc, że żona zna obowiązki gościnności, o wódce i przekąsce w tej porze dnia, po przejażdżce niezbędnej, — nie wspomniał.

Prym między gośćmi nie tylko tuszą, ale i znaczeniem trzymał Cześnik, który ciągle śmiał się i odchrząkiwał.

— My do ciebie, kochany Piotrusiu — odezwał się po chwili — jak w dym! Kto nam poradzi, kto poprowadzi, jeśli nie ty?

Ireneusz słuchał ciekawie, ale cierpliwie.

— O cóż to idzie, kochany Cześniku?

Na skinienie Garwowskiego, który się już zmordował, podchwycił czarnowłosy pan Namiestnik:

— Jasna rzecz... jasna rzecz, kochany sąsiedzie, — a toż to w kapturze jesteście. Elekcyja za pasem... co my tu poczynąć mamy?...

— Tak — przerwał Cześnik — obrać króla nie sztuka, ale się nie oszukać — w tem sęk!

Panowie się już wszyscy zaprzędali kandydatom. Kondeusz ich złotem obsypał—Lotaryngski, Neuburgski... kat ich wie, jak ich zowią. My o nich mało co wiemy, niechby się Sandomierskie nie zbłądziło! he? co?

Piotrowski milczał. Wtem jasnowłosy p. Remigian Zwolski mocno odchrząknął.

— Czyż mamy być trzodą, którą panowie pastuchy gnają, gdzie chcą? Już nam to panowanie magnatów dało się we znaki. Oni znowu nam sztukę chcą wyprawić!

— Jasna rzecz — przerwał czarnowłosy.

— Ale dajże mi mówić! — syknął białowłosy, który się poruszał jakimiś konwulsyjnymi drganiami.

— Ks. Olszowski pisze za Piastem — kończył — tandem może i rację ma. Chcieliśmy Francuza, ten drapnął...; przyszedł po nim siedmiogradzin, wziął nas ostro w łapy... nò! ale żołnierz był tęgi; nastąpił pół jagiellończyk, pół szwed, a cały niemiec... ten się modlił i stękał... zawichrzyło się! Obraliśmy synów dwu... Boże odpuść... Za ostatniego Rzeczpospolita o mało się nie rozpadła...; i ten w końcu koronę zrzucił — *nou sum dignus* — a po cóż się jej napierał? — Czyż tedy, znowu *a capite* Francuza mamy sobie zaszczipiać? Nie dziwna to rzecz, aby naród jaki wybierał sobie ino cudzoziemców, których nie zna i którzy go nie znają?

Cześnik się rozśmiał głośno.

— Jak Bóg miły, jest racya.

Spojrzeli na Piotrowskiego, który milczał; wtem drzwi się otworzyły i wyrostek wniósł na dużym blacie, pokrytym serwetą, flaszki i przekąski.

Sprawa elekcyi musiała na chwilę być odłożoną na stronę, bo *hora canonica*, mróz, zima — nakazywały się pokrzepić.

Kalmusówka była doskonała. Piotrowski

przepił do Cześnika i kieliszek poszedł kolejną. Czarnowłosa go powtórzył, nie pytając. Siedli znowu.

Z piersi Garwowskiego dobyło się ogromne, odpowiednie jego tuszy, westchnienie.

— Co wy o tem myślicie, Piotrusiu?—zapytał—czytaliście pewnie Olszowskiego?... he... a jest skryptów i innych do licha.

Piotrowskiemu twarz zaszepiona i zastygła z początku, zaczęła się rozjaśniać. Obejrzał się po swych gościach, jakgdyby brał miarę dla zastosowania do nich odpowiedzi.

— Niech mu Bóg nie pamięta—zaczął, kto nas temi elekcyami obdarzył. Gdy się o nich mówi, wyglądają bardzo pięknie; swobodny wybór najgodniejszego!.. A tu w samej istocie wybiera przypadek, intryga, albo pieniądze. Przewidzieć kto zostanie wybranym, nie potrafi nikt. Cztery czasem tygodnie leżym w polu, zmęczeniu, głodni, stęsknieni za domami; naostatek krzyknie kupka ludzi nazwisko, reszta za nią, aby się to raz skończyło! Więc *Deus scit* co nas czeka. Nie pochlebiajmy sobie, abyśmy na swoim postawili,—ale jest jedna rzecz, której dokazać możemy, gdy zechcemy, że tych panów pokupowanych, co jawnem jest, wyekskludujemy i naszych ichmość magnatów, co się sądzą wszechmogącemi, choć ich jest garstka, a nas tysiące... nauczemy, że my szlachta szaraczkowa jesteście też sobie—potęgą!

Wszyscy trzej przybyli ogromnie i z widocznem rozradowaniem wewnętrznem śmiać się zaczęli.

Garwowski ręce nabrzękle zacierał.

— Tobo dopiero była sztuka *ut sic!*

Towarzysze jego, jasno i czarnowłosa, nie mogli się wstrzymać od śmiechu.

— Tej sztuki my możemy dokazać; — dodał Piotrowski—ale potrzeba iść zgodnie i gro-

madą. A nie dosyć nas, Sandomierzan, choć my z Krakowianami zawsze przodem idziemy; drugie też województwa musimy sobie pozyskać, aby szły razem, a że u nas gęby się szeroko otwierają rade, a w głowach często szumi, nie koniecznie wszystkim trzeba dawać inne hasło nad to jedno: Szlachta kupą! Prowadzili nas magnaci nie jeden raz posłusznych za sobą, niechże ten raz idą za nami!

Wszyscy goście, do najwyższego stopnia ożywieni, aplaudowali. Namiestnik tak był rozgrzany, że sobie nalał jeszcze kieliszek dla ochłodzenia się i wychylił go.

— No, — ale kogóż wybierzemy? — pytał Garwowski. — Bo w tem jądro rzeczy!

Piotrowski popatrzył na niego.

— Cześniku kochany — rzekł — mnie się widzi, że kto królem będzie, to prawie obojętna. Co król u nas może? Starostwa rozdawać i tytuły, — więcej nic. Magnaci go obsiadą, oblegną i będzie musiał skakać, jak mu zagrają. No, ale nie przeczę, że dla zagranicy król coś znaczy, reprezentuje Rzeczpospolitą, trzeba więc, aby miał choć postawę po temu.

— *Si fabula vera* — rzekł Garwowski — bo i wizerunki kłamią. Kondeusz wygląda rycersko, lotaryngski — ładny mężczyzna.

— Kondeusz — to Francya — rzekł Piotrowski — a ona nam już dokuczyła. Lotaryngski, rakuskiego domu pokrewny, to *praeter propter* rakuszanin... a i to nie bardzo nam miły ród.

— Czyha na nas, jak na węgrów i Czechów — dodał jasnowłosy.

— No, — a Piast? — wtrącił namiestnik czarny.

— Piast! Piast! — rozśmiał się Piotrowski, pocierając czuprynę — żeby to można znaleźć takiego Piasta, z którego lędźwi wyszedłby dla nas Chrobry... ba! ba! ba!

Goście znowu chórem się śmiali.

— Niech sobie i Piast będzie — rzekł gospodarz — ale z nim przyjdzie wiele inkonwenjencji... rodzina, kolligaci, nieprzyjaciele...

Tu chwilę milczał i dokończył.

— A ja wam co powiem: nie łapmy ryb przed niewodem. Główna rzecz — panom się nie dajmy. Niechto będzie elekcyja szlachecka, nasza... a co do kandydata... los rozstrzygnie. Śmieli się raz na elekcyi, gdy ktoś krzyknął — Bandura!... Ja zaś mówię — bodaj Bandura, aby nasz... a nie pański i nie taki, co sobie koronę kupuje. Pokażmy, że ona, jeśli jest na sprzedaż, to nie u nas. Panowie niech nią frymarczą, jak chcą, — my ją dajemy. Jak Bóg natchnie!

Słuchali wszyscy z należytym dla Piotrowskiego poszanowaniem.

— Ja wam powiadam, mili bracia — powtórzył Piotrowski — trzeba się o to starać, aby szlachta stanęła, jak jeden mąż... kupą. Na to trzeba sobie słowo dać i nad tem pracować!

— Zgoda! — zawołał cześnik. — Hasło tedy: szlachta kupą... a kto ją poprowadzi?

Piotrowski myślał i rzekł spokojnie.

— A Pan Bóg!

Cześnik skłonił głowę.

— I na to zgoda — szepnął.

— Nie przyjdzie nam to łatwo, — ciągnął dalej gospodarz — bo panowie w niektórych ziemiach mają między szlachtą klientów, sługi i ujętych ludzi. Tego syn dworzaninem u wojewody, tamtego córka we fraucymerze kasztelanowej, — a dzierżawy, a dożywocia!

Zmarszczył się jasnowłosy.

— Przecież się nikt nie zaprzeda za to — krzyknął — a tu nie idzie o małą sprawę, ale o gardłową... nam sumienia nie wiązać nie powinno!

— Śpiewamy do Ducha Świętego, — *Veni Creator spiritus* — wtrącił Piotrowski — słuchajmy Ducha, a nie pańskich rozkazów.

— Szlachta kupą!

— Szlachta kupą! — chórem powtórzyli jasno i czarnowłosa.

Cześnik milczał.

— *Tandem* — odezwał się po namyśle, gdyby z ekskluzyą Kondeusza i Lotaryńskiego, dajmy na to, nie zostało nam nic, tylko wybór Piasta... więc kogóż?

— Wierzcie mi, że to już wszystko jedno — rzekł Piotrowski, — ma Piast za sobą wiele, ale ma i przeciwko sobie. Każdemu wybranemu z między równych, którego majestatowi jutro się trzeba pokłonić, będą zazdrościć, — przeciw każdemu będą spiskować. Główna rzecz, aby żołnierzem był... reszta!.. machnął ręką.

— Mówicie o Piaście — dodał jasnowłosa, — a szlachta już na żarty sobie męznego wojaka Polanowskiego z ust do ust podaje.

— Polanowski taki dobry jak i Lubomirski, — skonkludował Piotrowski, — ale się do tego przygotowujmy, że królestwo będzie szlacheckie, musimy go wybrać z panów, dla tego, że ich wszyscy znają. Przecież i to była szlachta, tylko zdegenerowana.

Narada zaczynała ostygać.

— O kandydacie naszym dopiero na Woli i koło szopy mówić będziemy — ciągnął dalej gospodarz — jądro w tem, aby szlachta pokazała, że ona coś może. Na to nigdy lepszej nie wybrać godziny! Panowie sobie ułożyli, ukartowali wszystko, pewni są swego, pieniędzy nabrali, skórą żywego niedźwiedzia się podzieliли, a my im pokażemy, że oni tu nie są gospodarzami — tylko my!...

Wyrazy te, wymówione dobitnie, tak trafiły do przekonania, a raczej do miłości wła-

snej przybyłych, iż się aż z krzeseł pozrywali, potakując gorąco.

Cześnik wskazał na Piotrowskiego, głowę przed nim uchylając.

— To nasz wódz i dyktator; rzekł — ale nie zapominajcie o tem, że jeśli się panowie hetmany, kanclerze, marszałkowie i t. p. dowiedzą zawczasu o naszym haśle, w niwecz je obróćą. W tem rzecz, aby robić co trzeba, a nie głosić nic.

Cześnik się zadumał.

— Wtem sęk! — zamruczał. — Jakże ja mam nawracać, kiedy mi o mojej religii mówić nie wolno?

— Jak?... — przerwał gorąco Piotrowski. — Oto wprost tylko bijmy na panów i ich szlachrajstwo, z tego samo z siebie wyniknie, że szlachta pójdzie swoim dworem i honorem. Wojna przeciwko magnatom, którzy nas za szuje mają i z tem się odzywają, wojna przeciwko przekupstwu i frymarkom. Dziś już wiadomo, ile złota rozsypał król francuski dla Kondeusza i Lotaryngii. Obiecuje, daje skąpo, ale podpisów jego i obligów dosyć jest po kieszeniach.

— Przeciwno panom... w to mi graj!... — z okrutną gorącością porwał się jasnowłosy Wojski — przeciwno panom! Prepotencyi ich coraz rosnącej, koniec położyć potrzeba. My krwawicą naszą i krwią naszą bronimy Rzeczypospolitej, na nas ciężary spadają, a oni biorą żupy i na żupy asygnacye, *panis beni mercentium*, starostwa, dzierżawy, tenuty, jurgielty... nas już mało nie w niewolników obrócili, czas się otrząsnąć... czas!

Chórem powtórzono:

— Czas!!

Wszystkie twarze były mocno zarumienione. Piotrowski milczał.

Zbliżała się pora obiadowa i czarnowłosy powtórzył libację kalmusówką. Cześnik dumiał, gospodarz wesół podżartowywał sobie z tych magnatów, przeciwko którym spiskował.

— Gdyby się nam udało zrobić im niespodziankę — powtarzał.

— Jak Bóg Bogiem,—zrobimy ją!—wołał cześnik. — Prymas jest chytry, przebiegły, ale tchórz. gdy zadźwieczą szable szlacheckie,—na wszystko przystanie. Trudniej będzie z hetmanem.

— He!—podniósł głowę namiestnik—z hetmanem byłoby trudno, bo żołnierz i wódz doskonali, ale jako statysta chodzi w spodnicy. Tu jego jejmość prowadzi... a to druga Marya Ludwika, tylko jej powagi nie ma. Nie obejrzy się jejmość, jak jej kandydat padnie.

-- KobiECE rZądy, moSanie—rzekł Piotrowski—choć się wam niedoleżne wydają, głęboko sięgają i długo się czuć dają. Do dziś dnia nam panuje zmarła Marya Ludwika; wszystko, co widzimy, jej dziełem. Z jej ręki mamy Kondusza, z jej wychowania panią hetmanową i Radziwillową, jej modą młodzież się ubiera, jej językiem wszyscy mówią i piszą. Daj Boże, aby obyczaj sprzedawania wakansów nie poszedł też dziedzictwem na dwór nowy.

Jeszcze tak gwarzyli, wyglądając, rychło do stołu oznajmia, gdy ogromne sanie przed mały ganek dworu się zatoczyły. Porwali się wszyscy do na wpół zmarzłych okien; gość to był całę tym razem nie lada, bo sanie otaczała liczna służba i zwiastowała pana.

Skrzywił się Piotrowski, wszyscy spojrzeli się po sobie; wtem drzwi otwarto i w nich uśmiechnięty, ubrany wykwintnie, ale po polsku, ukazał się podżyły mężczyzna. Był to pan kasztelan Sandomierski.

Piotrowski mało go znał, a choć z jego wioskami sąsiadował, kasztelan w nich tak rzadko przebywał, iż się prawie nie widywali.

— Po pod bramą pana brata przejeżdżając — począł grzecznie, wsuwając się kasztelan, któremu towarzyszył słusznego wzrostu młodziuteczki bratanek — nie mogłem tego przenieść na sobie, aby go choć chwileczkę nienawidzieć. Śpieszę się bardzo, bo nam ten kapтур wiele do czynienia daje, ale choć pokłonić się chciałem.

Piotrowski przyjął pana z powagą, ale zarazem z uprzejmością, kasztelan raczył usiąść, nie odmówił kalmusówki i przekąski, choć ciągle powtarzał, że mu się śpieszy, a w końcu, okiem rzuciwszy po zgromadzeniu, które zimno go i milcząco przyjmowało, zawołał:

— *Cóż, de publicis?*

Pytanie głównie było do gospodarza skierowane, który po krótkim namyśle odrzekł:

— Wszyscyby radzi jaknajprędzej ów kapтур z głowy zdjąć; potrzeba nam króla!

— Święte słowa! — potwierdził kasztelan, bystro się oglądając — ale mnie się zdaje, że tak, jakbyśmy go już mieli. *Unanimitate* przejdzie Kondeusz.

— A Lotaryngski? — spytał gospodarz.

Kasztelan się skrzywił.

— Zalecają go nam, jako rycerza i wojaka, a no, my doma też mamy swoich hetmanów, którzy mu nie ustąpią, więc to zaleta dla nas małej wagi. Nam trzeba takiego, coby wojsku miał czem zapłacić, — to grunt. Kondeusz zaś w grosz zasobny, — nikt się z nim mierzyć nie może.

Milczeli wszyscy. Piotrowski głową potrząsał, i rzekł obojętnie.

— Myśmy, panie kasztelanie, statyści niewielcy, oglądamy się na ichmościów, którzy

wyżej siedzicie i widzicie dalej. Byle elekcyja nas długo w polu nie trzymała, bo i konie i ludzie pochudną.

Ta odpowiedź wymijająca podobała się panu kasztelanowi, który ją przyjął uśmiechem wesołym.

— Na to — rzekł — jeden sposób jest, nie długo czekając, Kondeusza okrzyknąć.

— A cóż na to powie pan podkanclerzy? — mruknął cześnik.

Kasztelan ręką skreślił w powietrzu jakiś znak niezrozumiały.

— Podkanclerzemu się chciało drukować książkę — rzekł z przekąsem — i wydał cenzurę, ale ona się sama cenzuruje, boć Piast niemożliwy. Jest ich nadto, aby się jednego z nich wybrać mogło. A co nam Piast przyniesie? gdy obcy monarcha, i pieniądze i aljanse i sojusze i pomocników dla rzeczypospolitej i skarb zasilili...

To mówiąc, kasztelan powstał; nikt mu nie przeczył. Dobył jajka norymberskiego z za żupana, spojrział na godzinę i natychmiast się począł żegnać.

— Waszmość, kochany sąsiedzie — dodał na wyjezdnem, zwracając się do Piotrowskiego — spodziewam się czasu elekcyi, będziesz z nami. Sandomierzanie wszyscy za Kondeuszem.

Nie wyjechał jeszcze za wrota, gdy cześnik, za boki się trzymając, powrócił do bawialni i zawołał:

— Trafiał, jak kulą w płot!!

II.

Kondeuszowi zawczasu tryumfowali, tak się zwycięstwo zdawało zapewnionem. Książę Lotaryngski, którego poseł niewiele miał do rozdania pieniędzy, sypał obietnicami, wkładał się wieczorami do jeżdżących na dwóch stołkach, przyjaciół, ale z każdym dniem mniej miał nadziei, aby mu się potężnego współzawodnika zwalczyć udało.

Pomijając to, że Vice-Rex, ksiądz Prymas, który mówił głośno, że mu szło tylko o pana wiarę świętą katolicką w sercu mającego, dawno był dla Kondeusza pozyskanym, wszyscy dostojniejsi z nim trzymali.

Michała Tomasza Wiśniowieckiego, którego podkanclerzy zalecał, nikt nawet za kandydata nie liczył.

Cała ta gałąź dawnego jagiellońskiego rodu, zdawała się fatalnością jakąś, na uschnięcie przeznaczoną. Nie zbywało jej na ludziach, ale nie miała szczęścia. Najlepszym tego dowodem był niedawno zmarły Jeremi, jedyny wódz, który umiał kozaków gromić i wrazić im trwogę,—mąż wielkiej cnoty, powagi, surowości obyczaju, poświęcenia bez granic—zmarły bez zasłużonej buławy, odarty z ogromnych posiadłości na Rusi, licho za ofiary wynagrodzony, zapłacony niewdzięcznością, — który po sobie zostawił rodzinę prawie w ubóstwie. Syna na łasce dworu wychowującego się, wdowę łaską Lubomirskich i Zamoyskich utrzymującą się w bardzo skromnym bycie.

Życiem ofiarnem ów Jeremi, o którym powiadano:—*calamitas patriae lamentatio Jeremiae*—zarobił sobie tylko jedno—zazdrosnych i nieprzyjaciół.

Rycerstwo miłowało go i cenić umiało, bo go widziało na czele swoim nie tylko wodzem, ale i żołnierzem, często bez zbroi, w prostym kaftanie, rzucającym się na nieprzyjaciela.

Jako wódz miał on szczęście wielkie, jako człowiek — obudzał zawiść i niechęci. Prawda, że ani dworactwem, ani pochlebstwy serc sobie nie pozyskiwał. Był to mąż niezlomny.

Jan Kaźmierz, którego jątrono przeciwko niemu, poznawszy go lepiej, już serce swe skłaniał, gdy przestrzeżono go, że Wiśniowiecki hetmaniąc mu, całą sławę i zasługę zwycięstw odbierze.

Wszystko, czem go los dotknął, przeniósłszy ze stoicyzmem wielkiej duszy, Jeremi boleć tylko musiał nad losem syna, którego na łasce ludzi odumierał.

Opiekowano się nim dla wielkiego wspomnienia ojca. Książę Karol, brat króla, królowa Marya Ludwika czuwali nad nim... naostatek miał świętą niewiastę, matkę, w której żyłach płynęła krew wielkiego hetmana i kanclerza Zamoyskiego.

Wychowanie domowe nie starczyło dla dziedzica wielkiego imienia; młodego Michała wyprawiono za granicę i umieszczono na cesarskim dworze. Opiekunowie nadewszystko dbali o to, aby mu nadać tę ogładę, polor, znajomość języków, umiejętność znalezienia się na dworze i wśród najwyższych sfer społecznych, która książęciu, z domu panującego niegdyś, była potrzebna.

Michał żywy, pojętny, ale razem łagodny i łatwy, — dał z siebie uczynić, co chciano. Stał się jednym z najprzyjemniejszych młodzieńców swojego czasu i powierzchowność jego na najświetniejszym dworze mogła być pożądana.

Kilku językami mówił z wprawą i łatwością, lubił i umiał się ubierać ze smakiem, któ-

rego mu zazdroszczono, jednał sobie serca grzecznością wyszukaną, najlepszego tonu.

Rozumie się, iż wszystko to, czego wymagało wówczas wychowanie panicza, przyswoił sobie w wysokim stopniu. Doskonale jeździec, władający również zręcznie szpadą i pistoletem, — nikomu się nie dał w tych ćwiczeniach wyprzedzić.

Leez.. wszystko to, co go czyniło najmilszym z młodzieży na dworze Cesarza, co w kraju odznaczało go pomiędzy arystokracją polsko-litewską, ta powłoka jasna i piękna — nie wiadomo, co kryła.

Michał nie odznaczał się niczem, nie ciągnęło go nic; ani rycerstwo, ani nauka, ani nawet zajęcia urzędowe, które stopniami do wyższych dostojęństw prowadziły. Był to człowiek spokojny, zrezygnowany, pobożnością matki nauczony nie żądać wiele od przyszłości, losem ojca rozczarowany — i nie spodziewający się od przeznaczeń nic więcej nad połączenie z jakim domem możnym, któryby go wyzwolił z położenia w sprzeczności z imieniem i spadkiem, po przodkach będącym.

Czasu zbliżającej się elekeyi, która napełniła stolicę rodzinami możnemi, kwiatem arystokracji ówczesnej, matka księcia Michała przybyła także do Warszawy z synem i umieszcza się w starym dworze przy Miodowej przecznicy.

W owych czasach, gdy po przeniesieniu stolicy do miasta Sejmowego — Warszawy, w początkach panowania Władysława IV, wszyscy panowie zakupywać zaczęli place, aby się około dworu skupić, gdy powstawały przepyszne pałace Kazanowskich i Ossolińskich, Wiśniowiccy też nabyli mieszczańską własność z placem, na której po pańsku budować się mieli. Przyszły potem ciężkie czasy, utrata owych dóbr na

Rusi, które stanowiły całe mienie Jeremiego i dwór, w pierwszych czasach po nabyciu trochę zagospodarowany, pozostał już takim, jakim go ruina znalazła...

Nie był wszakże tak opuszczonym i nędznym, aby wdowa po Jeremim i syn jej mieścić się tu i niewielu przyjaciół i krewnych przyjmować nie mogli. Nie było wprawdzie ani sal ze sztukaterią złoconą, ani kolumn marmurowych, ani tych posągów z brązu i marmuru, którymi przed wojną szwedzką i przed spustoszeniem Radziejowskiego, odznaczał się ów sławny pałac Kazanowskich, ale komnaty były urządzone ze staroświecka po pańsku, ściany okrywały obicia jedwabne i skórzane, sprzęt był rzeźbiony, stare kobierce wschodnie wyścielały podłogi.

Tu Gryzelda Wiśniowiecka spędzała ciche godziny wdowiego życia, niekiedy rozjaśnione przybyciem córki, lub syna. Zubożenie nie odejmowało domowi Korybutowiczów blasku, ich krwi należnego. Byli to zawsze niewątpliwi potomkowie Jagiellonów, gdy inne rody książęce wiodły się albo od książąt ruskich, lub od galezi, których pochodzenie było wątpliwem i niejasnem...

Życie w tym dworku niskim, przy bardzo nielicznej usłudze, szczupłej liczbie koni, zupełnem pozbawieniu tego, co świetniej występować pozwalało—nie mogło zaspokoić młodego Wiśniowieckiego, który lubił wytworność, potrzebował dla towarzystwa, w którym bywał stroić się i ukazywać świeżo... Ofiary matki, pomoc Lubomirskich zaledwie starczyły na najskromniejsze, godne imienia utrzymanie... Ale przez tę elegancją obrachowaną ściśle, widać było niedostatek... Dwór i dworzanie Sobieskiego, Paców, Potockich, a nawet mniej znacznych rodzin gasiły i na szary kąt spychały księcia

Michała. Trzeba to było znosić z pogodną twarzą, aby nie dać poznać, jak bolało...

Przyszłość, starania szwagra Lubomirskiego obiecywały to zmienić.

Tymczasem nie skromniejszego wśród pańskiego świata nie było nad dwór i służbę księżnej Gryzeldy... Ona tylko sama wielką powagą męczennicy obudzała poszanowanie... Zresztą wszystko to było resztkami przeszłości wytarte barwy sług, kolebki, które deszcze spłukały i wyblakowało słońce, sienniki stare, służba siwa... a że cała ona prawie pochodziła z Rusi, miała zamię jakieś ukraińskie i kozackie. Gdy po innych dworach i pałacach życie płynęło prądem, podbudzonym aż ku płochości — na galanteryi, zabawach, muzyce, tańcach i czytaniu romansów francuskich, — tu panowała cisza niemal klasztorna, pustka, jaka otacza zawsze niemal nawet najczcigodniejszą ruinę.

Ludzie się nigdy nie cisną ku mogiłom, zwracają się ku życiu... a jeżeli ich obowiązek napędzi ku nim, nie trwają długo. Księżnie Gryzeldzie przychodzili się wszyscy pokłonić, ale nikt tu nie bawił długo. Młodzież odwiedzała księcia Michała, ale się nie zasiadała u niego: tęskno tu było i smutno.

Oprócz młodziuchnej panienki z rodziny Zebrzydowskich, spowinowacanej z Zamoyskimi i staruszką ochmistrzyni z lepszych czasów, księżna nie miała przy sobie nikogo.

Zebrzydowska rodem i imieniem należała do tego możnego domu, którego potomek za Rokosz zapłacił Kalwaryą, imię jego nosząca, ale sierotką była ubogą, w dzieciństwie wzięta przez księżnę i stała się dla niej jakby własną córką, gdy jej zabrakło za mąż wydanej. Obie one przywiązały się do siebie, nawykły być razem i w myśli nawet nie przypuszczały, aby się kiedy rozłączyć mogły.

Helena, którą przybrana matka zwała poufale Hela, była bardzo pięknem dziewczęciem, ale sieroctwo własne i to obcowanie z poważną, smutną, pobożną wojewodzina, uczyniło ją zawczasu dojrzałą i odebrało jej wdziek naiwnej młodości. Świeża, młoda na wejrzenie,—w obejściu się, ruchach, mowie miała coś nad wiek swój poważnego, zapożyczonego od księżnej. Obecując z nią, mimowoli przejęła jej cały obyczaj,—i rzadko kiedy po ustach Heli prześliznął się uśmieszek: nie знаła pragnienia zabaw, nie była ciekawą ani ludzi, ani świata. Nie mówiąc jej nic o tem, ks. Gryzelda myślała, że stworzoną była na zakonnicę.

Obie one były bardzo pobożne —a jednakże nie w ten sposób, jak inne... Księżna czytała więcej, niż się modliła, a ściśle dopełniając religijnych obowiązków, do drobnostek nie przywiązywała wagi zbyticznej. Z domu dziada wyniosła przekonanie, iż tolerancya była powinnością miłości chrześcijańskiej — nie wahała się też obcować z dysydentami, których w innych domach naówczas przyjmować się wzdragano.

Wychowana przez księżnę, Hela Zebrzydowska była odmlodzoną jej wizerunkiem. Skromna i cicha, choć swej przybranej matce, której wychowanie było bardzo staranne i niemal męskie, winna była i umiejętność kilku języków i zamięlowanie w czytaniu i oswojeniu się z zadaniami, które nie wchodziły w zakres kobiecej działalności —nie wydawała się z tem, była skromną i wogóle milczącą...

O lat dziesięć prawie młodsza od księcia Michała, naprzód lubiona przez niego, jak miła dziecina, zwolna dorosła do stosunków ukochanej siostry, istoty sympatycznej, do życia mu potrzebnej. Z natury swej dosyć zamknięty, nie zwierzający się łatwo, smutny, księżę

Michał przed matką tylko i przed Helą mógł otworzyć serce i wypowiadać się z myśli. One jednę go rozumiały...

A Hela?—rosnąc tak z oczyma wlepionemi w tego tęsknotą obłożonego, pięknego, poważnego młodzieńca, przywiązując się do niego bratersko naprzód, w końcu całem sercem, duszą, sama nie wiedząc, jakim uczuciem zapłonęła dla niego. Nie rozbierała ona tej miłości swej, ani się w niej domyślała namiętności, gdyż w jej uspokojonej duszyczce, żadne uczucie dotąd nie przechodziło do tego stanu wrzenia... namiętność była jej nieznana.

Księżna ani się domyślała, ani przypuszczała, żeby między tem przybranem rodzeństwem, więcej coś nad miłość siostry dla brata powstać mogło.

Tymczasem książę Michał, który był młodym i czuł potrzebę kochania; a w towarzystwie, w którym się obracał, płochę tylko miłości spotykał, w jednej Heli widział ideał kobiety, któraby mu szczęście dać mogła... Nigdy jednak ani myślał, ani przypuszczał, aby uboga kuzynka mogła go pokochać, albo on się w niej, wedle pojęć ówczesnych tego świata, w którym się obracał, rozmiłować jak Koloander i t. p.

Smutną przyszłość własną miał przed oczyma, bo nieraz Lubomirski, czasem książę Dymitr mówili mu o niej. Potrzebował się ożenić bogato dla podniesienia rodziny, szukano mu tej narzeczonej, a że rodem stał na równi z najwyższymi położonemi, miał prawo sięgnąć wysoko... Wychowanie nader wykwintne, powierzechowość bardzo miła, choć na one czasy, nieco sztywna, — na ostatek umysł wykształcony, a życie surowe zalecały go najwybredniejszym.

Ale matka nie chciała się śpieszyć z ożenieniem syna.

Książę Michał, który mało miał przyjaciół męskich, bo młodzież odstręczała jego powaga i ubóstwo, gdy powracał do domu, po zdaniu sprawy matce z tego, na czem spędził ranek, poufalej potem wywnętrznił się przed Helą z tego, co widział i słyszał.

Było to dla niego potrzebą, a piękna kuzynka słuchała z zajęciem opowiadań nawet o toaletach paryskich księżnej Radziwiłłowej i pani marszałkowej Sobieskiej. Ostatniej — nie lubiła księżna Gryzelda i wcale się z tem w kółku swoim nie tała. Był to wstręt zarazem instynktowny i oparty na tem, co słyszała i wiedziała o tej wychowanicy Maryi Ludwiki.

Przypisywano jej też wygórowaną ambiację, daleko śmielsze, niemal zuchwałe dobijanie się majątku i znaczenia. Wyjście za mąż za starego Zamojskiego, mimo naówczas już rozpoczętych miłostek z pięknym Sobieskim, pożycie z nim, o którym się różnie wyrażano, potem powtórne śluby, — zaplątanie w intrygi Kondeuszwskie, panowanie samo nad rozmówianym mężem, a zalotność uderzająca w obejściu się z innemi — nie czyniły ją surowej księżnie sympatyczną; ale sąd bezwzględny, lub potępienie, — nie wyszło nigdy z ust księżnej.

Gdy mówiono o przepięknej, czarującej marszałkowej — milczała. To było oznaką, że mówić na jej pochwałę nie nie mogła, lub nie chciała. Zmuszona, chwaliła zwykle tylko wielki smak w strojach, któremi się piękna Marya odznaczała... Książę Michał, który ją widywał i spotykał często, nie był też zachwycony pięknością, nie zaślepiającą i nie osłaniającą charakteru tej Armidy, żywy do zbytku, despotyczny, kapryśny, chciwy panowania.

Była to jedna z najgorliwszych stronnicek Kondeusza, o której powiadano, że wszystko

prowadziła, a męża miała tylko dla spełniania swych rozkazów.

W dworku księżnej Gryzeldy była ona prawie niewidywanym gościem.

Przyjemności w towarzystwie smutnej wdowy, żywa i wesoła pani znaleźć nie mogła, a wpływu ani pomocy od Wiśniowieckich się nie spodziewała. Zdała spoglądała czasem na pięknego księcia Michała, którego strój francuski się jej podobał—ale nie wabiła go ku sobie. Na nie się jej przydać nie mógł.

Marszałek Sobieski nie miał też czasu i sposobności zbliżania się do rodziny nieboszczyka Jeremiego, z którym młodzieuchny jeszcze walczył nieraz na jednym polu.

Nie było naówczas czynniejszego, więcej zaprzątnionego, poruszającego się żywiej człowieka nad niego... Wybór Kondeusza, do którego pomagał Prymasowi i żonie całą duszą, sprawy wojskowe, które go pociągały i zajmowały, starania o majątności, które na bardzo wystawne życie nie starczały, — tak czas wypełniały Sobieskiemu, iż zdawał się nieustannie śpieszyć i ledwie móżdż wszystkiemu wydolać.

Wśród tego zamętu, który elekcję przygotowywał i poprzedzał, książę Michał grał rolę bierną. Matka nie chciała, aby się zupełnie usunął, był bezczynnym. Lubomirski życzył go też mieć przy sobie, — ale on sam, — skazany niezamownością swą na stanowisko bardzo podrzędne, nużył się tem poruszaniem bez myśli i ochoty.

Wybór nowego pana dość był obojętnym księżnej matce; uważano tu Kondeusza jako na pewno już przeznaczanego do korony, Lotaryński i Hamburski krzatali się jeszcze, jak sądzono—nadaremnie... Posłowie tych kan-

dydatów urzędowi i nieumocowani, zapobiegali wszyscy, jednając sobie przyjaciół.

Książę Michał miał imię piękne, Lotaryński więc i Hamburski zbliżyli się do niego, a że naówczas tak było w obyczaju kupować głosy, iż nikt z tego nie czynił tajemnicy, hr. Chavagnac ośmielił się małym datkiem pozyskać sobie księcia Michała.

Książę bardzo dobrze wiedział, że się tego mógł spodziewać, nie mniej jednak mocno się zmieszał. Chavagnac widząc to, usiłował go przekonać, że obyczaj był tak przyjęty, tak jawny—tak nikomu krzywdy nie czyniący, iż odmowa znaczyłaby chyba wypowiedzenie wojny. Zręczny francuz zmusił niemal do przyjęcia ofiary.

Powróciwszy z nią tego dnia do domu, książę Michał nie miał odwagi przyznać się matce, ale naprzód poskarżył się przed Helą, której rumieniec nagły mógł zaświadczyć, jak przykro jej było się o tem dowiedzieć.

Zalamala białe rączki, oczy jej po chwili zaszczyły łzami.

— A!—zawołała—i ty wzięłeś?!

— Musiałem — odparł kwaśno książę Michał — inaczej bym sobie nieprzyjaciela w nim zrobił. — Powiedział mi wręcz, że gdy Hetmanowie, Marszałkowie i Prymas przyjmują ofiary, które żadną tajemnicą nie są,—ja nie mogę odtrącić... datku, który niemal stał się obowiązkiem.

Hela milczała.

— Księżnie — rzekła cicho — chyba lepiej o tem nie wspominać. Gdy Sobieski, Lubomirscy, Potoccy przyjmują, może to wcale im nie uwłaczać, — choć dla mnie wydaje się dziwnem, bo są bogaci, ale my... ale my... ale ty...

Spuściła oczy nie kończąc.

— Jest to rodzaj zobowiązania się i zaprzędania—dodała.—Cóż, gdy potem sumienie nie dozwoli popierać kandydata?

— Chavagnac mi to tłumaczył, że do niczego więcej obowiązany nie jestem, oprócz tego, że przeszkadzać nie będę — dodał książę Michał. — Jest to dla mnie rzecz nader łatwa, bo ani pomódz, ani zaszkodzić, gdybym chciał, nawet nie potrafię.

Uśmiechnął się smutnie.

— Zresztą — rzekł po małym przestanku, z twarzą, która się rozjaśniać zaczęła—małeńki ten przypływ do mojego szczupłego skarbcza jest bardzo pożądanym. Miałem wielką, wielką ochotę i potrzebę sprowadzić sobie ubranie z Paryża wprost... a było mi trudno... mam nawet zręczność...

— Wiem, że to słabość twoja — odezwała się cicho Hela — ale w twym wieku i przy stosunkach, ciągle zmuszających bywać w tym eleganckim świecie, nie to dziwnego.

Książę Michał westchnął.

— Na cesarskim dworze nawykłem do tego—odezwał się... tłumacząc.

— A! — odparła wesoło Hela — wiem od księżnej, że od małego chłopięcia miałeś to upodobanie w wytwornych sukienkach i ładnych gałgankach... Co to za smutna rzecz, że wszystko takie drogie!

Książę Michał brał przedmiot rozmowy bardzo na seryo, i dodał przejęty nim.

— A tu, u nas, w kraju, ani w Krakowie, ani w Warszawie sukni francuskiej, choćby po dług najlepszego wzoru, nie potrafią tak uszyć, ażeby pochodzenia nie zdradzała. To, co przychodzi z Paryża, nosi na sobie takie piętno smaku i elegancyi, że niepodobna się nie zachwycać; — człowiek inaczej wygląda w tym stroju.

Hela słuchała z oczyma smutnie jakoś spuszczonemi. jak gdyby przykro jej było słyszeć zeznanie tej słabości kuzyna, z własnych ust jego powtórzone.

Książę Michał zaś z taką naiwnością mówił o stroju, który lubił, jakby w upodobaniu jego nie widział nic ani dziwnego, ani mężczyźnie uwłaczającego.

Zwolna dobył z kieszeni rulon złota... i podsunął go ku Heli.

— Ty pewnie także potrzebujesz — odezwał się — podzielę się z tobą chętnie.

Z niezmierną żywością, prawie przestraszona Zebrzydowska odepchnęła rulon, który się potoczył do rąk księcia Michała.

— Ja! — zawołała — ja! Mam wszystkiego z laski księżnej aż do zbytku! Na cóż bym ja pieniędzy potrzebować mogła!

— Ty bo najmniejszej wagi nie przywiązujesz do ubrania — z pewnym rodzajem wymówki począł książę Michał, a jednak... ubranie, szczególnie dla kobiety...

Hela się uśmiechnęła.

— Tak — rzekła — są panie, które nic nie robią, tylko się rozbierają i ubierają i o niczem nie myślą oprócz stroju; ale ja do tego bractwa nie należę.

— Na czele tych pań, co się ubierać umieją — odezwał się Michał, — stoi marszałkowa Sobieska. Gasi ona wszystkie inne swemi strojami paryskimi.

— No, i pięknością, — wtrąciła Hela, a gdyby jeszcze miała choć trochę wdzięku i uroku!... ale właśnie na tych jej zbywa... Jest w tej pięknej twarzy coś tak ostrego, że się jej obawiać prędzej można, niż rozmilować.

— Przypomina obejściem się nieboszczkę królowę — dodał Michał.

— Z tą różnicą,—szepnęła Hela—że tamta o wiele miłszą być umiała, gdy chciała.

Zadumany Michał zdawał się już rozmyślać o paryskich sukniach, które chciał wprowadzić. Była to dla niego najważniejsza sprawa w tej chwili. Hela odgadywała z łatwością, co go tak zaprzętało. Księżę Michał rozrachowywał zapewne kosztą tego odświeżenia swej garderoby, gdy powolnym krokiem weszła księżna matka, a rulon zniknął w ręku księcia, który ją pośpieszył witąć z poszanowaniem.

Pomimo nadzwyczaj skromnego wdowiego, czarnego stroju, którego małżonka niegdyś sławnego Jeremiego nie zrzuciła,—była to postać majestatycznej powagi, a mimowolnie nakazująca poszanowanie. Na lekko pomarszczonym licu, wyrazistem, ale nie pięknem, leżał niezamącony nieczem spokój chrześcijański, chociaż boleść się przez niego przebijała. Siwe włosy otaczały oblicze zwiędłe, lecz pełne jeszcze energii i życia.

Zobaczywszy syna, uśmiechnęła się do niego, wyciągnęła rękę i pocałowała w głowę.

— Helo kochana — rzekła — nie wiem, czy Michał jadł śniadanie. Młody jest i potrzebuje więcej niż ja, a nawet więcej niż ty, choć młodszą jesteś od niego; jest mężczyzną, musi być czynnym.

— Gdzież dziś? — dodała pytająco.

Księżę Michał zamyślił się nieco, jakby chciał sobie przypomnieć dnia program.

— Zawsze toż samo;—rzekł—księżę Prymas jest w mieście, mieszka u OO. Jezuitów, obok św. Jana, muszę być u niego, potem tuż blisko wstąpię do Lubomirskich, a dalej, nie wiem prawdziwie. Pociągną mnie zapewne z sobą.

— Choćbyś się miał znudzić i zmęczyć — dodała matka, siadając przy stole, na podsuniętym jej przez Helę z pomocą syna krześle — potrzeba się pokazywać wszędzie, nie dać o sobie zapomnieć, aż nadto jesteś cichy i skromny.

Książę Michał spuścił oczy, nie chciał powiedzieć matce, że nie wszędzie się mógł pokazywać, bo go lada półpanek bez imienia, lub świeżo wyszlachcony cudem, albo przywilejem cesarskim kupiec królewski mógł dworem, strojem i wystąpieniem zaćmić.

Szczególniej tych bogatych dorobkiewiczów, urosłych z frymarku złemi pieniędzmi, na Szląsku bitemi, wprowadzonemi do Polski, krakowski rynek i krakowska szlachta liczyła wielu; wytykano ich palcami, ale mieli imiona ogromne ponabywane, żenili się ze szlachciankami czystej wody, — jeździli poszustno, i choć szlachta surowszej obserwacyi sarkała, już wśród niej zdobyte miejsca zajmowali.

Księżna Gryzelda chwilę siedziała milcząca. Tymczasem piękna Hela zajmowała się przekąską, którą dla księcia Michała podać miano. Matka знаła tę drobną słabość syna, który lubił jeść, a jako zdrowy i młody, jadał ochoczo i dużo. Sprawiało jej to przyjemność patrzeć jak z chłopskim apetytem, wedle jej wyrażenia, które Hela na rycerskie zamieniała, syn o każdej dnia godzinie gotów był się odżywiać.

Było w tem coś niemal dziecięcego, bo jedząc, książę Michał zapominał o wszystkim.

— Na tę elekcyę nieszczęsną — odezwała się, pomilczawszy księżna matka — ty jeszcze wiele będziesz potrzebować. Radabym ci pomogła.

Książę podniósł głowę od talerza, nad którym siedział i chciał w pierwszej chwili potwierdzić zdanie matki, ale się wstrzymał, widząc ją zakłopotaną.

— Ale — rzekł — nie sędzę, abym potrzebował bardzo występować. Wszyscy wiedzą, że nam kozactwo odebrało, cośmy mieli.

— A tak — i zubożenie takie, jakie dotknęło ojca twego, nam raczej jest chluba, niż wstydem. Nie straciliśmy ojcowizny, — Jeremi złożył ją w ofierze ojczyźnie, która mu dług nie wypłaciła. Możemy być dumni z tego, że ty dziś skromnie zmuszony jesteś wystąpić. Nie mniej krew jagiellońska w twych żyłach płynie; a spojrzawszy na ciebie, każdy ją w szlachetnych rozpozna rysach.

— Ale — są rzeczy niezbędne — dodała księżna po małym namyśle — konie, które tyle kosztują, trochę więcej slug, — co do niczego nie służą — no — i barwa nowa dla nich.

— Ach, na liczną i bardzo potężną czeladź, — odezwał się książę Michał, — napróżnoby się sadzić było, sędzę, że dosyć będzie, gdy ja tam wystąpię, jak synowi Jeremiego przystało, mój orszak jest szczupły.

— Te konie, konie! — westchnęła matka — mieliśmy najpiękniejsze stada. Nawet Koniecpolskich konie się równać nie mogły z naszymi — a teraz.

Wojny są mordercze — dodał książę Michał. — Ja dla siebie mam kilka weale pokaźnych, tylko dla czeladzi.

Nastąpiło milczenie.

Księżna Gryzelda zapytała o dzień wczorajszy — i rozmowa byłaby się przeciągnęła, gdyby nie wszedł młody paź, przyjaciel księcia, który z galanterią francuską — i on bowiem nosił się modą cudzoziemską — pośpieszył powitać gospodynią domu.

Gość był wesół, miał twarz nie piękną, choć młodą, ale rozpromienioną, ożywioną, niemal szczęśliwego człowieka, któremu na niczem nie zbywało. Myśli też jego w kółku

zaczarowaniem powszednich rozrywek się obrać.

Wiedział najlepiej, gdzie dnia tego miał być obiad dla dostojniejszych, a u kogo wieczorem *conversazione* i zabawa z tańcami.

Jak wszyscy Pacowie współcześni i ów powagą kanclerza Krzysztofa wsparty, czuł się silnym. A dawał to czuć tym, z którymi raczej obcować. Za wielką łaskę tej rodziny tak wielkiego wpływu i znaczenia musiała księżna liczyć, że młody starosta synowi jej okazywał życzliwość i żył z nim na przyjacielskiej stopie.

Przyjmowano go też tu z oznakami wielkiego poszanowania, do którego wiek nie dawał mu prawa.

Jedna Hela Zebrzydowska najmniej okazywała uprzejmości dla butnego, zbyt śmiałego i dumnego młodzieńca.

Pacowie stali jeszcze naówczas całą rodziną, a tej zastęp był niemały, z Kondeuszem litewskim na czele, z Prymasem i Sobieskim razem przy Kondeuszu. Ale współzawodniczący z nimi o znaczenie, czynny Sobieski i jego żona już im niemiłymi być zaczęli. Nie dawało się to jeszcze widzieć jawnie, lecz potajemnie już się do wybuchu gotowało.

Na Litwie zawadzali im potęgą lwią i wpływem Radziwillowie, z którymi walka głucha już się wywiązywała.

Nie dziwiła się więc może księżna Gryzelda, gdy młody Pac, rozpoczynając rozmowę, z przekazem pewnym odezwał się o marszałkowej Sobieskiej i o jej mężu. Należeli wprawdzie do jednego obozu, lecz przewidywać łatwo było, że lada najmniejsze rozdrażnienie—pociągnie za sobą wojnę.

Z ożywionych opowiadań młodego Paca, sympatyje jego i wstręty niezbyt ukrywane, na

jaw wychodziły. Często szczególniej potraçał o Radziwiłłów.

— Nie radziłbym bardzo księciu Kondeuszowi liczyć na niektórych, a nawet i na Sobieskiego... Podejrzewam ich, że dla tego tylko, aby moc swą okazali, gotowi się przerzucić do przeciwnego obozu.

— A cóż wy, panie starosto, — odezwała się gospodyni — zowiecie obozem przeciwnym? Wątpię, aby szczupła garstka przyjaciół Lotaryńskiego i Neuburga na to nazwisko zasługiwała?...

— Dziś, nie — odparł Pac — lecz gdyby jakiś niespodziany wypadek, czego się nie spodziewamy, zachwiał wyborem Kondeusza, wówczas Lotaryński stanie na czele kandydatów.

Rozśmiał się Pac.

— Radziwiłłowie jedni pójdą z Neuburskim!

— Do tego przyjść nie może, — wtrącił ksiązę Michał — aby przygotowanej tak troskliwie elekcyi Kondeusza — mogło coś stanąć na przeszkodzie!

Pac poruszył ramionami.

— Bóg wie! — odezwał się obojętnie. — Chodzą śmieszne pogłoski. Są ludzie, którzy utrzymują, że nasza szaraczkowa szlachta zazdrosna o to, iż my pana prowadzimy sami, chce stanąć do walki z nami i szuka Piasta, aby go przeciw Kondeuszowi podniosła. Piasta — śmiał się ciągle młody Pac — ciekawym, kogo mają na myśli?

Księżna niedowierzająco poruszyła ramionami.

— Są to niedorzeczne plotki — rzekła.

— My wszyscy nie ścierpielibyśmy jednego z pośród nas na tronie — dodał Pac. — Dałoby to jednej rodzinie przewagę... wywołałoby

mogło wojnę domową. Za Zygmunta Augusta nie chciano na tronie nawet kobiety Radziwiłłówny, co dopiero króla, z pośrodku równych nagle tak podniesionego.

Chwilę jeszcze toczyła się przy stole rozmowa, ale starosta wstał, pożegnał się z księżną i, ujawszy pod rękę księcia Michała, wyszedł z nim do jego pokojów.

Mieszkanie to, które miłość macierzyńska i ręka siostry, starały się przyozdobić i upiększyć, w istocie było najwytworniejszą częścią starego dworu. Cały jeden pokój obwieszony był zbrojami, po części wschodniego pochodzenia i starożytnym orężem. w sypialni księcia Michała, obok spartańskiej prostoty pamiątek, po ojeu odziedziczonych, błyszczały z zagranicy przywiezione cacka, w których książę Michał zdawał się znajdować upodobanie.

Pac upadł na wysłaną skórą ławę i żywo mówić począł.

— Wszystkim nam staje się nieznośną ta francuzka, która tu sobie chce dawać tony królowej. Ona prowadzi Kondeusza, ona dyktuje posłami, co mają czynić; ona i tylko ona wszędzie... Prymas nawet schyla przed nią głowę. Dopókiż to tego będzie?

— Zapewne aż do elekcji — rzekł Michał.

— Ale ona zechce tak władać przyszłym królem, jak rozporządzała temi, co go prowadzą... My tego w końcu nie ścierpiemy; Radziwiłłowie są jawnymi nieprzyjaciółmi naszymi... a ci trzymają z Sobieskim.

Książę Michał chłodno poprawił.

— Z marszałkową Sobieską!

— Masz słuszość, ten śliczny Celudon jest dotąd w takiej adoracji przed swem bóstwem, iż słucha jego skinienia... Prawda, że piękna Marya nie popsuka go miłością wielką ze swej

strony, i dla innych ma uśmiechy daleko czulsze, niż dla męża.

— Daje mu czuć, jak wielką łaskę uczyniła, wychodząc za niego — szepnął książę Michał. — Sobieski jej winien wszystko.

Pac przerwał złośliwem opowiadaniem o nadzwyczaj poufalitych stosunkach marszałkowej z Francuzami. Przesunęły się potem w ciągu rozmowy wszystkie obiegające towarzystwo plotki... Książę Michał słuchał ich obojętnie, widać było, że tego życia był tylko widzem, czynnie się nie mieszając do niego, gdy Pac gorący we wszystkim brał udział.

Po krótkim spoczynku Pac wstał, ale nie dozwolił Michałowi zostać w domu i pociągnął go z sobą. Wiśniowiecki był mu potrzebnym do orszaku i na pokaz, tak samo, jak niegdyś książętom Ostrogskim kasztelan lub wojewoda na marszałka ich dworu.

Razem więc wyjechali z dworku przy Miodowej przecznieży młodzi kawalerowie i rozpoczęli cały długi szereg odwiedzin po domach, w których Pac chciał się pokazać, a książę Michał musiał towarzyszyć przyjacielowi.

III.

Była wiosna, czas na elekeyę przeznaczony się zbliżał, a Prymas najczęściej przebywał w Łowiczu, dokąd codziennie zjeżdżali się wszyscy przyjaciele Kondeusza.

Po twarzach i z humorów gości można było zmiarkować łatwo, iż sprawa francuskiego kandydata stała jak najpomyślniej. Prymas przed poufalemi otwarcie wyznawał, że pewnym był wyboru.

Zawczasu już rozporządzano wakansami, jakie w czasie pomiędzy konwokacją a elekcją się odkryły, lub mogły być spodziewanemi.

Stary Prażmowski rozdawał je po nara-dzie ze swemi pomocnikami, nie wątpiąc, iż woli jego zadość się stanie... Pomimo tej pe-wności, czuwano jednak, i Prażmowski codzien-nie odbierał wiadomości z prowincyj o usposo-bieniach, jakie się tam objawiały.

Trzej najdzielniejsi Kondeuszowi poplecz-nicy, arcybiskup, Sobieski i kanclerz Pac, znaj-dowali się właśnie w gabinecie Prażmowskiego na naradzie zwykłej, gdy starszy dworzanin oznajmił o przybyciu Stolnika Gorzeńskiego... a Prażmowski dał znać, aby go natychmiast wpuszczono.

Mazur, pan Cedro Gorzeński, bardzo da-leki powinowaty rodziny arcybiskupa, człowiek skromny i nieznaczny, kryjący się niemal z so-bą i stosunkami swojemi, był jednym z tych wiernych sług Prażmowskiego, którzy rozkazy jego spełniali i czuwali nad przygotowaniem przyszłej elekcji — *anima damnata* starego swego pana, Gorzeński miał dar szczególny wciskania się wszędzie, odgrywania różnych ról wedle potrzeby i zaciągania potrzebnych informacyi. Niktby w tym skromnie ubranym, łysym nieco, pokornym, cichym Stolniku nie domyślił się narzędzia Prymasa, który, jakgdy-by go nie znał, nigdy w Łowiczu pokazywać mu się nie dozwalał nawet.

Gorzeński miał dosyć miru u szlachty, a nikomu nie zawadzał. Nie wystrzegano się go wcale, gdyż nie domyślano się w nim czyn-nego pomocnika Kondeuszowych... W stosunku do swego protektora i przyjaciół jego, Cedro tak się okazywał pokornym, posłusznym, mięk-kim, jakby sam przez się nie znaczył i zna-czyć nie mógł—jednakże, dzięki nadzwyczajnej

gibkości swej,—umiał nieznacznie wyśledzić to, co mu wiedzieć było potrzeba i pokierować wedle swej myśli panami bracią.

Ukazanie się Gorzeńskiego w tej godzinie nie oznajmywało nic nadzwyczajnego; niemal codzień stawiał się on z doniesieniami do Prymasa, po rozkazy jego... Przytomność Sobieskiego i Paca, dla których tajemnic nie miał, nie przeszkadzała mu poufnie rozmówić się z wiernym sługą.

Stolnik skromnie stanął w progu pokłonił się z kolei bardzo nisko dygnitarzom i czekał.

Prymas z widocznem ukontentowaniem spoglądał na przybyłego, lubił go i cenił.

— Cóż nam przynosisz, mój Cedro!—rzekł cichym i miękkim swym głosem arcybiskup... *Quid novi!*

Gorzeński namyślać się zdawał chwilę, badające czy porozumiewające się wejrzenie, rzucił na Prymasa, ale odebrał odpowiedź niemą, iż otwarcie mówić może. Samo wszakże pytanie i wątpliwość zwiastowały coś niezwykłego i Prażmowski się poruszył niespokojnie.

— *Quid novi!* — powtórzył.

Gorzeński poglądził lysinę, poruszył głowę i trochę wahając się, rozpoczął:

— W istocie nowego coś przynoszę, chociaż może to być niedorzeczną bajką, która sprawdzenia potrzebuje.

Wszystkich oczy ciekawie zwróciły się na mówiącego.

— Szlachta w Kaliskiem, w Sandomierskiem i w Krakowskiem—ciągnął dalej Gorzeński—burzy się trochę.

— Oh!—przerwał Prymas—będzie miała czas się wyburzyć!

Cedro głową potrząsał.

— Tymczasem przeciwko Kondeuszowi się sposobią, — mówił — jedynie dla tego, iż sena-

torowie i *primates Regni* są za nim... Ruch ten się wzmacnia.

Zmarszczył się prymas.

— A kogóż oni chcą? — zapytał gniewnie prawie... Lotaryńskiego może!

— Wcale nie — odparł szlachcic — oni sami nie wiedzą, kogo postawić... potrosze im Piast księdza Olszowskiego głowy zawrócił.

— *Absurdum* — zamruczał Prymas. — Nie widzę w tem najmniejszego niebezpieczeństwa, bo na Piasta żadnego nigdy się nie zgodzę. Cóż nam to szkodzi, że się zabawiam urojeniem. Jaki Piast? który? gdzie? — coraz żywiej unosząc się, mówił Prymas. Olszowski ten, to prawdziwy *turbator chori*. Posądzam go, że tylko dlatego, aby nam troski przymnożyć, na żart Piasta zaleca, boć wie, że go niema i być nie może!

Gorzeński milczał z poszanowaniem, aż gdy Prymas, skończywszy, zamilkł — począł znowu:

— Z tem wszystkiem pomiędzy szlachtą agitacya wielka, jeżeli nie przeciw Kondeuszowi, bo mu nie zarzucić nie mogą, to przeciwko panom senatorom i starszej braci.

— Także mi mów — gorąco odezwał się Prymas. — Stare to dzieje: duch przeciwności, podmuch szatana, zepsucie wszelkiej karności i posłuszeństwa władzy, przez Boga wyznaczonej!! Poczęło się to dawno i nie rychło skończy... równy wojewodzie, brzmi jako hasło!

Zamilkł chwilę.

— Lecz — dodał — jak mawiał wielki ów kanclerz Zamoyski, szlachta wykrzyczyć się musi, a rychło ostygnie. Znał to w niej i Chmielnicki. Dać się wyburzyć, a wszystko się potem ukoji i uśmierzy.

Gorzeński nie przerywał, lecz gdy nastą-

pilo milczenie, a oczy znowu na niego się zwróciły, mówił spokojnie.

— Nie chcę powtarzać złośliwych kalumnij, ale noszą się z tem, że Kondeusz kupił sobie wszystkich, że pieniądze idzie do korony, że ją zawczasu, bo aż za Jana Kazimierza, miał sobie zapewnioną.

Sobieski i Pac spojrzeli na siebie, a kanclerz litewski mrużyć zaczął coś po cichu.

Marszałek, który dotąd się nie odzywał, rzekł dosyć obojętnie:

— Na wszystkich elekcjach zawsze się musiał jakiś opór objawić, bo to jest niemal potrzebą dla szlachty, aby miała zręczność okazania, iż się do pewnego znaczenia poczuwa. Jeden nasz ostatni pan, winien był *unanimitatem*, kozakom... a i ten wprzód księcia Karola musiał uprosić, aby mu ustąpił.

— O Piaście mowy być nie może — odezwał się prymas — lękam się, aby to nie było sztuczką Lotaryngeczyka, który szyki pomieszawszy współzawodnikowi, chce z mętnej wody korzystać. Chavagnac daleko jest chytrzejszym i przebieglejszym, niż się wydaje.

To mówiąc, arcybiskup rękę podniósł do góry i głową począł potrząsać.

— Lotaryngeczyka — rzekł śmiało Sobieski — wcale się niema co obawiać. Sam poseł jego uważa sprawę za przegraną.

— Zatem i nikogo już by nie było do współzawodu — rzekł Pac — bo ja Neuburskiego nie liczę, choć u nas na Litwie słyszę, że się z nim niektórzy noszą.

Mówiąc to, spojrział na Sobieskiego, nie chcąc spokrewnionych z nimi wymienić Radziwiłłów.

— Ja o tem nie wiem nic — odparł Sobieski — i nie sędzę, aby się tak źle przysłużono,

na sztych go wystawiając, gdy za sobą niema nikogo.

Po krótkiej pauzie, Gorzeński się odezwał:

— Już mi to nie nowina panów moich szlachtę widzieć w wielkiem poruszeniu i animozyi, ale, jakem żyw, takiego rozdrażnienia nie znałem nigdy. Domyślał się więc, że tu czyjeś drożdże się znajdują na dnie...

— Czyjeż?—zapytał prymas kwaśno—Lotaryński by się zdradził, a gdy nie on, to któż znowu?

Zamilczał Gorzeński.

— Prawda, że o Piaście mówiąc—szepnął poczekawszy, mianować go nie umieją i Polanowskim się śmieszają...

Wszyscy to nazwisko dzielnego wojaka, ale mało znaczącego człowieka, przyjęli ze śmiechem. Uśmiechał się też Gorzeński.

— Pewnie pociesznym kandydatem jest książę Dymitr Wiśniowiecki — rzekł prymas. W rodzinie tej już jagiellońska krew się wyczerpała, a niczem się nie odznaczają.

Poruszył ramionami.

— Żaden z znaczniejszych naszych dygnitarzy i panów nie przyjąłby tego brzemienia—dodał.—Wiedzą dobrze, iż koronę musieliby wdziać cierniową, boby wszystko, co żyje, powstało przeciwko Piastowi...

Śluchał Gorzeński cierpliwie...

— Ten cały ruch i gorączka uśmierza się — mówił cichym ciągle, stłumionym głosem prymas — gdy na pole elekcyjne się ściągną... Ale któż wywołuje to warcholstwo i przewodzi?

Stolnik zacierał ręce.

— Właśnie w tem trudność jest—odezwał się—aby dosłedzić początku i dojść, kto rzucił to zarzewie... Sądzę, że ono w Sandomierskiem się rozpałiło, ale z czyjej poszło ręki—nie wiem.

— Toż pierwszy raz — rzekł Prażmowski — nie umiałeś dotrzeć do dna... i naprawdę przyszedłeś z niczem...

— Nie wiele ja sam ważę to, co przyniosłem — odezwał się Gorzeński — i byłbym zmilczał może, ale sądziłem, że obowiązkiem moim przecie i o tem dać wiedzieć...

Staraj-że się dojść, skąd to płynie — przerwał prymas — a mówić nie potrzebuję, że należy oddziaływać i wyśmiewać tych krzykaczy...

Cedro znając prymasa, domyślił się, że temi słowy dawał mu odprawę, pokornie więc jak wehodzil, tak z kolei kłaniając się wszystkim nisko, wysunął się z gabinetu.

Po wyjściu jego trwało czas jakiś milczenie... Trzej wodzowie Konduszowskiego stronnictwa, krótko coś poszeptawszy z sobą, zdawali się uspokojeni. Pierwszy do wyjścia ruszył się kanclerz Pac... schylił do ręki prymasa, skłonił zdala Sobieskiemu i — odprowadzony do drzwi zniknął. Po odejściu jego, Prażmowski poufalej pochylił się ku Sobieskiemu.

— Smutna to rzecz wyznać — rzekł cicho — ale ja nie zupełną mam ufność w kanclerzu... Wprawdzie musi iść z nami, lecz... lecz...

Nie dokończył.

Sobieskiemu uśmiech przebiegł po ustach, pokręcił wężem.

— Ja też nie dowierzam Pacom — odparł, — ale na Litwie, nie można zaprzeczyć, dorobili się znaczenia i potęgi. Urosli dużo.

— Przecież z Radziwiłłami się mierzyć nie mogą — rzekł prymas.

— Ale nie mniej wszędzie, gdzie mogą, podstawiają im nogę — mówił Sobieski. — Prędzej, później przyjdzie musi do walki.

— Tymczasem trzeba ich oszczędzać — zakończył prymas.

Sobieski, który dnia tego powrócić musiał do Warszawy, po krótkiej rozmowie pożegnał prymasa.

Hetman i marszałek, jeden z najczynniejszych tego czasu i największego znaczenia dygnitarzy, Jan Sobieski, któremu jeszcze z większą gorączką poruszająca się, krzątająca, zapobiegająca żona nie dawała pokoju, należał do wybitnych wodzów partii Kondeusza, a raczej kandydata, jakiego się Francyi podobalo checieć osadzić na tronie polskim.

W tej chwili była to jeszcze postać zarysowująca się niejasno, której ambicya i chciwość Maryi Kaźmiry nadawała barwę fałszywą.

Niefortunny los chciał, że ten znakomity ze wszech miar mąż, który przy wychowaniu i oglądzie zachodniej zachował nigdy nie starły charakter szlachcica polskiego, zawczasu się rozmiłował w zachwycającej wychowance królowej Maryi Ludwiki.

Piękna, ale bez serca francuzka, która poświęciła naprzód Sobieskiego staremu Zamoy-skiemu, dla jego fortuny i znaczenia, dała się potem, nie okazując zbytnej miłości, zaślubić pierwszemu ukochanemu, wiedząc, że on będzie w jej rękach narzędziem posłusznym.

Pierwsze lata tego małżeństwa, w którychby nieledwie posadzić można marszałkowską, że uciekała od męża — były straszną próbą, na którą, kochający do szaleństwa mąż, był wystawiony... Wymagająca, nienasycona, kapryśna, przepiękna Marysieńka wywarła wielki a zgubny wpływ na słabego Sobieskiego. Cudem jakimś znakomity wojownik tam, gdzie szło o służbę Rzeczypospolitej, nawet wszechmocnej tej pani nie dawał sobą rządzić... Ale w chwili gdy to opowiadanie się rozpoczyna — mimo, że

był hetmanem i marszałkiem, to jest stał na najwyższym szczeblu dostojęństwa, jeszcze nie było pewnem, czy piękna Marysienka nie każe mu się wyprzedać ze wszystkiego i wynosić z sobą do Francyi. Podróż i pobyt Sobieskiego ostudziły ją może i przekonały, że lepiej być hetmanową w Polsce, niż jedną z mnóstwa markiz i hrabinią nad Sekwaną...

Niezmiernie wydatkami żony uciśnięty Sobieski, który jako hetman i marszałek z własnej kieszeni i wojsku często płacić i posłom dawać musiał podarki, tak, że po odjeździe tatarskiego posła pisze, iż ostatnią srebrną miednicę z nalewką poświęcił, — troskał się teraz głównie o pieniądze. Obiecywano je we Francyi — rachował na nie wielce hetman i jego żona.

Oboje oni, — a szczególnie sama pani, z jej przyczyny więcej mieli nieprzyjaciół i zawistnych, niż wiernych sobie... Czyniło to życie trudnem, bo się z wielką ostrożnością poruszać było potrzeba.

Ci nawet, co szli w zwartym szeregu partyi Kondusza pod wodzą prymasa i Sobieskiego, choć na oko z nim byli w najlepszych stosunkach, potajemnie mu zazdrościli i szkodzili.

Można rodzina Paców, której trzej koryfeusze stawili czoło spokrewnionym Radziwiłłom i Sobieskim, dysymulowała tylko nienawiść swą dla hetmana.

W koronie tak samo uśmiechano się im wdzięcznie, ale obgadywano i starano szkodzić pokątnie. Wszystkiemu temu winną była Marya Kaźmira, której duma i pewność siebie raziły i zniechęcały...

Sobieski, który był stworzonym raczej do obozowego i familijnego życia, niż do zawikłanych intryg, w które go żona wplątała, jak pra-

wdziwy męczennik obracał się w tym ogniu, zmuszony obowiązkiem hetmana do czuwania nad bezpieczeństwem kraju, elekcyą do popierania niepopularnego kandydata, — naostatek potrzebą duszy do gospodarowania na rozległych majątnościach, w których się lubował, tulipany i drzewka sadził, a nawet karety pod swym dozorem w domu wykończyć kazał.

Rozkochany w kobiecie, która wtedy tylko czulszą się okazywała, gdy coś wymódl potrzebowała, zarzucony sprawami różnemi, Sobieski tchnąć swobodnie czasu nie miał. Marysieńka była wymagającą bez miary, on powodującym się aż do zrzeczenia własnej woli...

Słaby dla tej kobiety, do której go więcej temperament i zmysły przywiązywały, niż serce, hetman był nieskończenie wyższych zdolności i wykształcenia od tej żony, która nim miotała. Cheiwy wiedzy i nauki, lubiący książki, przekładający nadewszystko towarzystwo ludzi uczonych, znakomity strategik i hetman — stał na wysokości ducha wieku, wśród którego żył, ale miał też wszystkie jego słabości, wady i przywary; niepomierłą żądzą grosza i zбо-gacenia się zaraziła go żona; tak, że sprzeda nie korony Kondeszowi, nie wydawało mu się frymarkiem występny, ale bardzo naturalnym targiem, za który zapłaty wymagać było wolno.

Kandydat francuski, krajowi z tego tylko znany, co o nim stronnicy jego głosili, u szlachty, w wojsku był najmniej popularną postacią, bo Francuzi naprzykrzyli się za Jana Kaźmirza i Władysława, a rosnąca ich buta oburzała.

Począwszy od peruk, które pudłami zwano, aż do pończoch, trzewików, mankietów i kryz — wszystko w nich wydawało się śmiesznem. Pierwszeństwo, jakie im we dworze

dawano, naśladowanie ich obyczaju w pańskich kołach, niechęć tę powiększało. Francuzowi krwawą wypłatać sztukę było najmilszą zabawką.

Kondeusz więc wcale sere nie pociągał ku sobie, a sposób, w jaki oddawna knuto około tego poddania Polski zwierzchnictwu i władaniu Francyi — mnożył wstręty...

Posądzano stronników Francuza, że go wbrew prawom kardynalnym za żywota Jana Kaźmirza chciano wybrać i ogłosić—twierdzono teraz, że namówiony, zmuszony, uwiedziony Kaźmirz ustępował tylko dla tego, aby miejsce Francuzowi opróżnił.

Można więc było przewidywać opozycję, ale panowie zbyt ufali swej potędze i wpływowi, ażeby się jej obawiać mieli. Szlachta miała zdawna tę sławę, że głośno krzyczała, miotała się gorąco, ale wystygła prędko i naburczawszy senat, szła za nim posłuszna.

Hetman, powróciwszy z Łowicza, wprost zajechał do dworu, który zajmował, nie mogąc się doprosić, a raczej nie chcąc siłą zabierać Cekhauzu, który mu należał na mieszkanie czasu sejmów i elekcji. Dwór ten i dwa przy nim sąsiednie, z kuchniami, stajniami, oficynami, zaledwie ciasno i niewygodnie pomieścić mogły piękną Marysieńkę i czynnego hetmana.

Pomimo oszczędności, Sobiescy nie mogli uchylać się wymaganiom wysokiego swego dostojęstwa; hetman lubił wystąpić, a Marya Kaźmira potrzebowała jaśnieć i pierwsze zajmować miejsce. Dwór z poczem, jaki Sobieski przyprowadził z sobą, wynosił kilkaset ludzi. Stajnie dla pomieszczenia koni nie starczyły, ludzi wiele obozowało po szopkach i zakątkach.

Cały jeden dwór zabierała dla siebie hetmanowa, u której, jeżeli była w domu, nigdy nie przebierało się gości płci obojga. Tu się zbiegały, stąd rozchodziły nowiny i hasła...

Lecz niczem to było jeszcze obok kancelaryi i pokojów Sobieskiego, w których tłok był nieustający. Co chwila przybywali posłańcy, co chwila też wyprawiano ich. Około kilku dziesiątek pisarzy ledwie mogło starczyć pisaniiu listów i przepisywaniu wiadomości. Starszyzna z trudnością utrzymywała porządek; cisnęli się wojskowi, pchali cywilni, nabijali żydzi... Straż jednych wpuszczała mileząc, drugich odpychała niemiłosiernie...

Sam hetman pomiędzy gości a kancelaryę dzielić się musiał...

A była to natura dziwna, nigdy prawie nie czująca się silną, ani zdrową, skarżącą się codzień, a mogąca podolać i bezsennościom i natężonej pracy i nieustannym drażnieniem. Rzadki dzień Sobieski bez jakiejś porady doktora lub pół-doktora się obchodził... — a mimo to, z młodzieńczym zapalem po całych dniach hasał na łowach, noclegował po lasach i odbywał podróże pośpieszne bez odpoczynku... Często zmuszali go starzy przyjaciele wieczorem się więcej napić, niż było potrzeba, za co nazajutrz pokutował.

I tego dnia powrót hetmana powitała gromada oczekujących nań ludzi z dóbr jego, z wojska, z różnych stron kraju przybyłych, tak, że mu się przebrać nie dano, a już drzwi się uchylały ciągle i posły od pani hetmanowej ku niej go wzywały co prędzej.

Przed najpilniejszymi sprawami, powitanie Marysieńki było pierwszym.

Czekała go nie sama, ale w świetnem pań i młodzieży gronie. W pokojach już oświeconych gwar wesoły słyszeć było zdaleka, w salce

kręgiem siedziały postrojone panie, żywą zajęte rozmową ze stojącymi przed nimi, po większej części młodymi panami, z niewielu wyjątkami we francuskich strojach i w perukach.

Wśród kobiet pani Dönhoffowa z czarnemi, wyrazistemi, żywo biegającemi oczyma, najgłośniej się odzywała i śmiała, mówiła najśmielej, choć każdy wykrzyk nieznaczny, drżenie brwi i ust na piękną twarz gospodyni wywoływał.

Marysieńka, która już o powrocie męża była uwiadomiona, czekała na niego przy bocznych drzwiach salki, któremi był zwykł przychodzić, niecierpliwie wachlarzem potrząsając... Świeża jeszcze na podziw i młoda, pomimo dość już nużących lat i słabości przebytych, hetmanowa blaskiem swych wdzięków odznaczała się wśród liczego orszaku, który ją otaczał. Chłodem i dumą wiało od niej, ale rysy oblicza klasycznej regularności, cera nadzwyczaj delikatna i biała, oczy pełne ognia — nadawały jej majestat zwycięskiej piękności. Nie pociągała niczem, budziła może trwogę jakąś, chociaż odgadnąć było łatwo, że chcąc być miłą i czarującą, mogła serca podbijać i panować nad nimi. Kobiety wszystkie bez wyjątku, niepostrzeżone wzrok na nią zwracały, patrzyły z obawą i niechęcią. Nie starała się też wcale przypodobać nikomu z wyjątkiem kilku panów, dla których na chwilę łagodziła wyraz twarzy. A gdy się ku innym zwracała, przybierała natychmiast zwykłą swą despotyczną fizjonomię.

Oczy pani Dönhoffowej, która nieustannie pochylając się, powołując do siebie, nader żywą zajęta była rozmową, ani na chwilę nie schodziły z gospodyni. Z wymiany wejrzeń między nimi, obcy nawet mógł odgadnąć stosunek naprężony, przyjacielski z musu, w sercach pełen

niechęci. Dönhoffowa nie mogła, ani myślała o jabłko piękniejszej się ubiegać, lecz walczyły o wpływ i znaczenie, o rolę w politycznych intrygach, w których obie były czynne.

Zmuszona oszczędzać Dönhoffową, piękna Marysienka podobną była czasami do rumaka, gryzącego żelazne wędzidło.

Sobieski, cicho stając, zbliżył się do drzwi, zawieszonych gobelinową portyera, w których czekała na niego żona, z brwiami zmarszczonemi i zniecierpliwionym twarzy wyrazem.

Szedł ku niej przejęty cały, rozpromieniony, śląc jej od ust całusy i byłby może przypadł przed bóstwem na kolana, gdyby nie obawa ściągnięcia gniewu na siebie. Marysienka nie dała mu się zbliżyć do ust, wyrwała od ust białą rączkę i ściągnęła brwi.

— Zostawiłeś mnie samą na cały dzień — poczęła, wcale się nie rozezulając widokiem męża, który ją zjadał oczyma — bawileś się gdzieś na próżno, zapominając, ile tu czeka na ciebie. Egipcjanka (szepnęła ciszej) jest dziś tak wesolą i roztrzęsioną, iż ją posadzam, że nam jakiegoś figla chyba splotać musiała. Usta się jej nie zamykają, a kasa! Widziałeś Wardenńskiego? przywiózł pieniędzy? ja nie wiem. Elent, jak mi mówiono, samemi boratynkami za dzierżawę wóz wyladował. Nie potrzeba ich przyjmować.

— Ale bóstwo ty moje — szepnął Jan — pieniędzy tak potrzebujemy, że bodaj boratynkami brać muszę.

Marya Kaźmira poruszyła ramionami.

— Znowu strata. Aron tylko na tem skorzysta.

Korzystając z zadumania krótkiego, Sobieski nieznacznie pochwycił rączkę i wycisnął na niej pocałunek gorący.

— Jak się ma Fanfenik!

— Zdrów, ale krzyczy niezdolnie i tak już samowolny, jak ojciec — odparła hetmanowa.

— Samowolny? — zapytał mąż z uśmiechem.

— Despota! — odparła Marya Kaźmira. — Napozór zawsze posłuszeństwem mnie uspakajasz, aby się pozbyć, a potem robisz swoje.

Hetman westchnął.

— Masz mi co do rozkazania?

— Bądź bardzo uprzejmym dla Egipcyan-ki (Dönhoffowej), inaczej domyśli się, żem się na nią skarżyła — szepnęła gospodyni i ustępując od progu, wprowadziła męża z sobą.

Oblicze pana hetmana, które dla żony łagodnem było i jakby rozczulonem, w progu już oblekło się powagą pańską, ale zarazem spokojem. Chciał okazać, jakby najmniejszej nie miał troski i ze wszystkiego, z całego obrotu spraw był zupełnie rad.

Zobaczywszy go panowie, którzy dworowali przed postrojonemi damami, poczęli z kolei zbliżać się dla powitania, a hetman wszystkich pozdrawiał z taką swobodą, z taką poufałością pańską, jakby wśród nich nie było ani jednego dwuznacznego i wątpliwego przyjaciela.

Pomiędzy innemi znajdował się tu i młody Michał Wiśniowiecki, nie z Pacem, ale z Lubomirskim, szwagrem swoim, mimo młodości, powierzchowności, imienia i rodu, zajmując bardzo podrzędne miejsce na uboczu.

Nie młoda już, bardzo strojna i klejnotami okryta wdowa, księżna Radziwiłłowa, zabawiła go rozmową. Inne panie niemal z politowaniem spoglądały na młodzieńca, który nie miał za sobą nic, oprócz wspomnienia nieszczęśliwego ojca i miłej twarzyczki. Nikt się nim tu nie zajmował, a Radziwiłłowa tylko dla tego

bawiła go konwersacją, że nikogo innego do niej nie miała. Wiśniowiecki też widocznie czuł się tu nie w miejscu i jakby z musu przyciągniętym.

Gdy Sobieski zbliżył się, poszedł go powitać, ale hetman zaledwie głową go pozdrowiwszy, mimochodem poszedł na stronę z Lubomirskim.

Rozmowa ogólna głośna toczyła się o Janie Kaźmirzu i jego podarkach hojnych przyjaciółom. Zazdroszczono Ujazdowa — a szczególnie wieści o ex-królu były bardzo sprzeczne, jedni utrzymywali, że już żałował swej abdykacyi, drudzy, że się nią cieszył i wiele obiecywał z pobytu spokojnego we Francyi, gdzie mu król—nadanie opactw i pensyj obiecywał.

Uśmiechając się, wyliczano osoby, które zabrał z sobą, lub przodem wyprawił.

— Nie może być, aby mu po nas tęskno nie było — utrzymywał wojewoda kijowski — bądź co bądź, kochaliśmy go, a on się do nas przyzwyczaił. Francuzi milszemi mu nie będą.

— Ah!—przerwał pisarz polny koronny — od ożenienia z nieboszczką królową nikt go nie widział nigdy idącym w taniec, a w Krakowie pono dał się wyciągnąć i bardzo był dobrej myśli.

— Tak bardzo — wtrącił wojewoda ruski z przekąsem — iż przez cały czas na Polskę i Polaków wymyślał, na nikim pocziwej nie zostawując nitki.

— U Jana Kaźmirza wszystko to nie więcej znaczy, nad humor chwilowy — przerwał wojewoda kijowski — kochał on i zniechęcał się łatwo, serce miał miękkie, a fantazya niem rządziła. Wiele mu też przebaczyć należy, bo w życiu szczęścia nie miał wcale.

Po tym epizodzie krótkim, towarzystwo się podzieliło na pomniejsze kupki i w każdej z nich zaczęto się po cichu zajmować tem, co w języku ówczesnym — wtajemniczonych, zwało się Hyacentami, — to jest przyszłą elekcją.

Ponieważ wszyscy prawie tu zebrani należeli do Kondeusza, otwarcie mówiono o współzawodnikach. Neuburski nie miał najmniejszego nawet prawdopodobieństwa, aby go na serjo wzięto. — Lotarynski stał słabo, ale wielka zręczność i przebiegłość jego posła Chavagnaca — nakazywała czuwać. Był on nadto dobrze ze wszystkimi, otwarcie zbyt się oświadczał zawczasu zwyciężonym i pobitym, aby mu chciało uwierzyć.

Pani Dönhoffowa utrzymywała, że zapewne pana swego do korony, nie mając pieniędzy, lub mając ich bardzo mało, nie doprowadzi, ale i drugim dojście do niej może utrudnić...

— Cóżby mu z tego przyszło? — zapytała gospodyni.

— Miałby przynajmniej wymówkę tę, że innym się też nie poszczęściło, jak jemu — wytłómaczyła Dönhoffowa.

Wtem Morsztyn, referendarz, którego z powierchowności i mowy za rodowitego Francuza wziąć było można, odezwał się cynicznie trochę, choć niby na wpół żartami:

— Nie potrzebuje się Chavagnac tłumaczyć, dość, aby pokazał sakiewkę wypróżnioną. Cóż się dziś robi bez pieniędzy? Lotarynski chciał być na kredyt obranym, ale któż nam mógł ręczyć, iż potem popłaci długi! Najtańsza z elekcij ostatnia, przecież półtora miliona kosztowała księcia Karola, który nigdy jej straty zapomnieć nie mógł.

Chavagnac, gdy przyjdzie stawić się przed sejmem i pana zalecać, nie wiem jak na przy-

zwoitą kalwakatę i dwór się zbierze. Żal mi go biedaka, bo zresztą człowiek jest miły i gładki.

— Książę Lotaryński — dodał ktoś z boku, — z początku liczył na poparcie króla francuskiego.

— I niepotrzebnie się ambarasował — szepnął chorąży koronny.

Goście wśród tej rozmowy powoli się rozchodzić zaczynali, Lubomirski zegnał już gospodynię, która na jego towarzysza, księcia Michała, zaledwie spojrzeć raczyła.

Zwyczajem powszednim drzwi się nie domknęły za niemi, gdy oba stali się przedmiotem mowy złośliwych.

— Książę Michał — odezwała się gospodyni — bardzo musi opłakiwać syna naszej królowej, która miała słabostkę dla niego. Słyszałem ją żartem raz prorokującą, że młodzieniaszek kiedyś królem być może.

Wszyscy goście głośnym wybuchnęli śmiechem, tak się to wydawało poczwarnie dziwacz-nem.

— Mogło to chyba zrodzić się teraz w głowie tak obcego świata naszemu człowiekowi, jak ten biskup Chełmiński — rzekł Morsztyn — aby Piasta na tron prowadzić. Nigdy do tego nie przyjdzie i nie należy życzyć, abyśmy próbę taką uczynili, bo kraj by się niechybnie rozpadł, zamącił i wojna domowa a rokosze by się z tego zrodziły.

— Królowa Marya miała słabość do księcia Michała, gdy był jeszcze wyrostkiem — ciągnęła dalej gospodyni — ale nie przewidywała, że z dosyć ładnego chłopczyka tak nieznacząca, zimna, sztywna wyrośnie istota. Ja go nigdy nie widziałam po młodemu wesołym.

— Trudno po nim wymagać, aby się radował, bo niema czemu — rzekł referendarz. —

Codzień musi patrzeć i słuchać uzalań matki i troski jej o majątności pozadłużane—w domu niedostatek prawie. Spotkałem niedawno w drodze księżnę Gryzeldę. Jechała w przedpotopowej, wypelzłej kolebce, konie chude, barwa ludzi wyszarzana i przedwieczna. Wierzycielom się opędzić nie może.

— *Nous en ferons geulque chose!* — wtrąciła gospodyni domu, spoglądając na męża, który wesał pokręcał, ale zmilczał.

Kobiety poczęły dosyć otwarcie mówić o księciu Michale, jak się on której wydał i podobał. Wszystkie prawie znajdowały go znośnym, ale ani powierzchowność jego, ani wykwentne wychowanie, nie pociągały ku sobie. Dönhoffowa chłodnym i zbyt nieśmiałym go sądziła.

— Zyskałby na odważniejszym występowaniu.

— Mój Boże — przerwał żartobliwie Morstyn, — aby mieć odwagę, trzeba być sytym i mieszek czuć pełny, a na obojgu zbywa biednemu księciu Michałowi.

— Lubomirscy go przecież czemś uczynić muszą—rzekł chorąży koronny.— Ma czas, boć zaledwie może liczyć lat trzydzieści. W ostateczności powrociłby mógł na dwór cesarski, gdzie go, słyszę, ceniono dosyć... — dodał Morstyn.

— Ani Lubomirscy, ani książę Dymitr nie dopuszczają do tego — szepnął chorąży.

Na wspomnienie księcia Dymitra Wiśniowieckiego, z którym Sobieski był w otwartej niemal wojnie, po twarzy jego przebiegł wyraz jakiejś pogardliwej niechęci i rozmowa na tem się skończyła.

Reszta gości zegnała hetmanową i hetmana, który z galanterią panie do powozu odprowadzał, prawiąc im słodycze.

Gdy potem powrócił do salki, w której żonę się zastać spodziewał, — już jej tu nie zastał i pośpiesznym krokiem pogonił za nią do jej gabinetu.

Maryja Kaźmira siedziała w krześle a przywołana służa, francuzka ciemnej plei, opalona, niepiękna, z kwaśnym twarzy wyrazem — zajmowała się ułożeniem włosów i przygotowaniem pani swej do spoczynku.

Widok Pierrety, której się tu nie spodziewał zastać, trochę zniecierpliwil hetmana — przy niej bowiem wezbranej swej czułości, która się w pieśczościach i całusach objawiała, nie mógł puścić wodzów. Można było nawet posadzić, dosyć znudzoną i ostygłą panią, że pośpieszyła przywołać służę właśnie dlatego, ażeby męża trzymać zdaleka.

Jakiem uczuciem była ożywiona w tej dobie małżeńskiego pożycia dla swego Jasieńka, — o tem ona tylko może wiedziała. Hetman nie mógł się pochwalić żadnym dowodem czułości, — przeciwnie, składało się tak zawsze, iż nawet jemu nie dopuszczono zbyt być natrętym.

I tym więc razem Orondat nie mógł mówić z Astreą o niczem innem, tylko o sprawach ogólnych, lub o interesach prywatnych, a te szczególnie zaprzętały panią hetmanową. I nie bez przyczyny, gdyż wszystko, co miał Sobieski, należało już prawnie tytułem zapisów i dożywocia do żony.

Dopilnowała się w tem tak dobrze, a przypominała tak natrętnie, iż uległy i posłuszny, zakochany Orondat ułedz musiał i wszystkie akta darowizn, przekazów i zapisów już były dokonane.

Oprócz troski o siebie, Maryja Kaźmira miała ojca, brata i siostrę, któremi się opiekowała.

Hetman, który rozkazywał w wojsku Rzeczypospolitej i razem z prymasem miał w niej władzę największą, z pokorą musiał słuchać instrukcyj, jakie mu dawała żona. Najmniejszy szczegół nie uchodził jej baczności i pamięci. Powtórzyła mu, co miał nakazać swemu rządcy dóbr, Wardeńskiemu, jak odprawić dzierżawcę Kałuskiego, Elenta... i użyć zręcznego do posług Arona.

Rozmowa się przedłużała — po kilkakroć Pierreta zabierała się odchodzić, ciągle na nowo przywoływana przez panią. Hetman siedział uparcie, chcąc się doczekać, aby sam na sam zostali.

Wtem Marya Kaźmira powstała, spojrzała na zegar bronzowy, stojący na kominie. Ziewnęła kilka razy i stanowczo zapowiedziała służącej, że natychmiast idzie do łóżka, dając dwuznacznie do poznania mężowi, że go się pozbyć potrzebowała.

Zamruczał jakąś prośbę pokorną hetman, lecz otrzymał tak ostrą odprawę, iż jej powtórzyć nie śmiejąc, zbliżył się już tylko dla — pożegnania, przyczem mu się ciężkie wyrwało westchnienie.

Marya Kaźmira z niecierpliwością skróciła czułe dobranoc i głosem nakazującym zwróciwszy się do sługi, pośpieszyła ku usłanemu pod pawilonem łożu. Sobieski rzucił na nie okiem utęsknionem — i powolnym krokiem wyszedł, wygnany z raj!

IV.

Żywy ten ruch, jaki w przededniu elekcji panował w Krakowie, nie dochodził prawie do spokojnego dworku przy Miodowej ulicy. Odgłosy jego tylko przynosił z sobą książę Michał, który tak mało się zajmował wogóle sprawami publicznymi, iż o nich nawet matce nie umiał przynieść dokładnych wiadomości. Nieco apatyczny, — przyciśnięty swem ubóstwem i położeniem, które mu żadnego nie dawało znaczenia, wprawdzie codziennie bywał u Lubomirskich, u Branickiego, u księcia Dymitra, lecz nigdzie żywego nie brał udziału w tem, co tak mocno innych roznamiętniało.

Przywiązany do matki, gniewał się tylko na wszystkich, którzy jej spokój zakłócali — a naówczas wybuchał aż nadto gwałtownie; ale zresztą było mu obojętnem i kto królem zostanie i jak się potem złożą owe wielkie zastępy, które z sobą o władzę rzeczywistą walczyć miały.

Za każdym powrotem do domu szedł matkę zabawiać opowiadaniem o tem, co słyszał i widział wśród tego świata, od którego się ona usuwała, — ale chciała wiedzieć, co się w nim działo.

Tak po bytności u pani hetmanowej musiał też wieczorem powtórzyć ks. Gryzeldzie urywki rozmów, jakie uszu jego doszły. Sobiescy nie należeli do ulubieńców staruszki, której hetman naraził się procesami, wymaganiami sum, jakie miał na dobrach Jeremiego, a naostatek i swą jawną nieprzyjaznością, a zatarciem z ks. Dymitrem.

Nie lubiła szczególnie francuzki, której wszystkie wady i rysy charakteru znała i odgadywała doskonale. Wielkie znaczenie i wpływ,

jaki uzyskali Sobiescy w ostatnich czasach, niepokoiły ją i raziły.

Po każdym opowiadaniu syna, nie spowiadając się z tego, co czuła, księżna Gryzelda córaz była smutniejszą. Ani Lubomirsey, ani Wiśniowieccy nie się od Sobieskich dobrego dla siebie spodziewać nie mogli.

Nazajutrz, gdy już ks. Michał wyszedł był z domu, a księżna matka siedziała sama z Helą swoją, prowadząc bardzo długimi przestankami milczenia przerywaną rozmowę — dały się słyszeć powolne kroki od przedpokoju.

Zebrzydowska powstała z siedzenia swego, staruszka podniosła głowę, a w progu ukazał się mężczyzna lat już podżyłych, ale krzepki i rzeźki, w sukni duchownych świeckich, z płaszczykiem czarnym na ramionach...—i głębokim ukłonem pozdrowił księżnę, witając wyrazem zwyczajowem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Księżna z rozjaśnioną twarzą wstała, podchodząc ku niemu, a Hela pocałowawszy w rękę, poprowadziła go ku krzesłu, które stało naprzeciw stoliczka i zwykłego siedzenia gospodyni.

Twarcz księdza nie odznaczała się wielką rysów dystynkcyą, była wyrazistą, grubo wyciosaną, ale zarazem w prostocie swej kształtną i sympatyczną. Pomimo wieku wiele życia było w tych rysach, które powaga stanu czyniła majestatycznemi. Był to ksiądz Fantoni, kustosz warszawski, dawny przyjaciel domu Wiśniowieckich, pomimo nazwiska swego i pochodzenia, od dzieciństwa w kraju żyjący i z Włocha w Polaka przeistoczony.

Dawne i nowe stosunki jego dawały mu przystęp do wszystkich znaczniejszych domów, a niezależność, gdyż ks. kustosz za dosyć ma-

jętnego uchodził,—dozwalała poruszać się wśród arystokracji tem swobodniej, że Fantoni nie potrzebował jej, bo ambicyi nie miał i infuły się dobijać nie myślał. Mimowoli prawie zostawszy kustoszem, urządziwszy się wygodnie w kamienicy, kustodnią zwanej, w której mieszkał aż nadto przestronno,—nie pragnął więcej: obowiązki duchowne przy kolegiacie, stosunki towarzyskie, zajęcie czytaniem, które lubił, starczyły mu na zapełnienie życia. Rodziny nie miał bliskiej.

Litościwego serca, dla ks. Gryzeldy miał szczególny szacunek, na który charakterem swym i losem zasługiwała. Energia, z jaką stawiała czoło ciosom, które ją dotykały, obudzała w ks. Fantonim podziwienie i uwielbienie. Widząc ją osamotnioną, kustosz miał sobie za obowiązek odwiedzać ją. Lubił też i cenił Hełę, która się umiała poświęcić swej przybranej matce, wcale nie dając czuć ofiary, wesolo i ochoczo.

Naostatek zajmował go i ks. Michał, w którymby był może rad rozbudzić więcej życia i ufności w siebie; apatyę jego, niewłaściwą wiekowi, czynniejszym udziałem w sprawach publicznych zastąpić.

Lecz młody Wiśniowiecki, pomimo łagodności swej, opierał się wpływowi. Nawet matka, choć go miała posłusznym zawsze, przemienić natury nie potrafiła.

Ks. Fantoni w poufnej z matką rozmowie, gdy o ks. Michale wspominali, a ona się na tę jego obojętność uskarżała, utrzymywał, iż chwila nie nadeszła i jeszcze się nie zjawiły okoliczności, które z odrętwienia wyprowadzić go miały.

— Wolę to opóźnienie w ks. Michale, — mówił kustosz — niż innej młodzieży zbytnią porywczosć do życia, na którą siły się najlepsze

zużywają; ks. Michał, gdy wybije godzina jego z całą mocą i zasobem, jakie po ojcu odziedziczył, — stanie w szrankach!

Księżna Gryzelda wzdychając, odpowiadała:

— Daj to Boże!

Ale oka matki ujść nie mogło, że Michał wychodził z tej apatyi czasami tylko, gdy szło o strój wykwintny, o elegancyę, którą lubił się otaczać, a naostatek o stół wytworny, w którym do zbytku smakował. W innych sprawach żywota zimnym był tak, jakby one całe mu były obojętne. Ambicyę trudno w nim obudzić było. Nie mając zajęcia, czasami chętnie brał książki do ręki, ale rzucał je, nie czując potrzeby powrócić do nich.

Nawet te młodzieńcze przyjaźnie, które się w wieku ks. Michała zawiązują łatwo i służą w życiu wiele, — nie pociągały go. Michał miał wielu dobrych znajomych, ale prawdziwych poufałych druhów nie znał. Jedna Hela miała całe jego zaufanie i przed nią zwierzał się ze wszystkiego, z najtajniejszych myśli swoich.

Matka, znając to braterskie przywiązanie i wpływ Heli na syna, używała też jej, gdy sama mu czegoś poddać i rozkazać nie chciała.

Ks. Fantoni przychodził, jak zawsze, z pewnym zapasem nowin do księżnej. Z ust jego wychodząc, przybierały one charakter inny może, niż obiegając płochy świat ówczesny, bo kapłan chętniej im dobre, niż złe nadawał znaczenie.

— Już się wielu zjeżdża na elekcye, szopę postawiono i wkopano. Województwo i ziemie dawne swe obozowiska wytykają. Zjazd, spodziewać się, będzie bardzo liczny i ożywiony... — począł kustosz. — W Warszawie dla panów senatorów niemal miejsca już braknie. Dwory z sobą prowadzą liczne, choć nie sędzę,

ażeby milicyi potrzebowali, jak niegdyś, bo się żadna walka nie zapowiada. Francya jest za- nadto potężną, aby po takim wysiłku nie była pewną zwycięstwa.

— Sądzicie? — zapytała księżna Gryzelda.

— Prawie tego jestem pewnym, — mówił dalej ks. Fantoni — a najlepszym dowodem, że Cesarz, który z tradycyi powinien był zajmować się tą elekcyą — i czynnym w niej być, — wcale się prawie nie miesza.

— Wszakże cesarskim kandydatem jest Lotarynski, — rzekła ks. Gryzelda — i słysza- lam, że w razie, gdyby mu się poszczęściło, arcyksiężniczkę dla niego w pogotowiu trzy- mają.

Kustosz się rozśmiał, cicho powtarzając:

— *Tu Feliks Austria nube...*

— Tak—dodał—jest to już tradycyą i oby- czajem.

— Wystaw że sobie — zniżając głos, prze- mówiła ks. Gryzelda, pochylając się ku stoją- cemu, — że Lotarynski poseł usiłował mojego Michasia pozyskać.

Poruszyła ramionami.

— Michała tak mało ta elekcyja obchodzi — dodała, — że go często namówić trudno, aby poszedł się poinformować i gdyby Lubomirski mi nie przynosił wiadomości, — żadnych bym nie miała.

— Elekcyja — odparł kustosz — cała się smaży i gotuje u naszego ks. prymasa i u het- mana Sobieskiego. Tym dwom potęgom cóżby się oprzeć mogło?

Ks. Gryzelda zwolna podniosła blade swe, wypłakane oczy na Fantoniego.

— Wczoraj — rzekła — był u mnie stary sługa Jeremiego, Sandomierzanin, który teraz na swe śmiećisko powrócił. Prawił mi dziwy, do których ja nie przywiązuję ważności; — po-

wiadał, że szlachta zbiera się stanąć murem przeciwko panom i nie dopuścić Kondeusza!!

Rozśmiał się dobroduszenie ks. Fantoni.

— Uliczna gadka! — zawołał. — Przy każdej elekcji szlachta staje okóniem przeciw starszej braci, ale ją łatwo ułagodzić i pozyskać... — niema się czego obawiać Kondeuszu!... Zresztą kogóżby oni chcieli i mogli wybrać? Dla nich tak dobry Kondeusz, Lotaryńczyk jak Neuburg, bo żadnego z nich nie znają.

— Ja prawie obojętnie patrzę — mówiła ks. Gryzelda — na wypadek elekcji, Kondeusz będzie miał na względzie, że królowa nieboszczka wielce była Michasiowi życzliwą i jej winniśmy, że wychowanie odebrał staranne... o co mnie chodziło najmocniej. Jeżeliby cudem Lotaryński się miał utrzymać, tego z pewnością cesarz będzie popierał, ożeni się z arcyksiężniczką — i dwór austriacki mieć będzie wpływ wielki, a Michał ma na nim stosunki i przyjaciół. Neuburczyk zaś...

— Wprost niemożliwy — dodał ks. Fantoni. — Dwór rakuski tylko pozornie mu sprzyja, nie ma nikogo, a pieniędzy niewiele, spokrewnieni Radziwiłłowie nie na wiele się przydadzą.

Ks. kustosz, chociaż do rozmowy treści się przebrało, siedział jak gdyby go tu coś jeszcze trzymało, oglądał się, a że Hełę ciągle widział za sobą, milczał.

Domyślała się księżna, iż coś poufałego mógł jej mieć do zwierzenia. Nieznacznie skinęła na Hełę, która zrozumiałwszy to — wyszła natychmiast.

— Jesteśmy sami — odezwała się księżna. — Zdawało mi się, ojcze, że możecie mieli co do powiedzenia mi?

— A! tak jest! tak! — żywo podchwycił kustosz. — Noszę się z tem oddawna, a nie

śmiałem... odzywać się. Teraz zaś czas jest ostatni i muszę prosić was, M. księżno, abyście mnie wysłuchali bez gniewu...

— Bez gniewu! — śmiejąc się, zawołała staruszka.

— Nie obrażcie się otwartością moją — mówił ks. Fantoni. — Dla syna Jeremiego i wdowy po nim — w tym starym dworcu mieszkać nie przystało. Dla świata, dla rodziny coś uczynić potrzeba... a nadewszystko dla przyszłości ks. Michała. Chociaż dzisiaj interesa są ciężkie, muszą się one polepszyć, a tymczasem choć z trochę wysiłku, potrzeba księcia na świetniejszej stopie postawić. O żadnych nie mówię zbytkach, ale syn Jeremiego...

Ks. Gryzelda załamała ręce i łzy się jej z oczów potoczyły.

— Sto razy o tem marzyłam i rozważałam, co czynić, — odezwała się — ale na obronę moją mam: że ubóstwo nasze — to chluba, to zasługa, to oznaka, jakiej największa świetność nie zrówna! Michał zmuszony brać pensję od królowej — nie jestże to świadectwo ojca, że wszystko ojczyźnie poświęcił?

— Lecz jest we wszystkiem miara; — podchwycił kustosz — co dla innego byłoby dostatkiem, dla syna Jeremiego jest niczem... Zbyt nisko nie potrzeba upadać.

— Wszystkie moje źródła wyczerpane — przerwała ks. Gryzelda. — Lubomirskiej prosić nie mogę, — Dymitr niema wiele... moi...

— Zamilkła.

— W takich razach, — odezwał się ks. kustosz — gdy się na pewną przyszłość czeka, potrzeba, rachując na nią, zapożyczyć się bodaj... Ja dla W. ks. mości u kanonika Brandta mam tysiąc czerwonych złotych leżących... a mojej kustodyi cała kamienica na usługi. Pustką stoi...

Tam i przyjąć można przystojnie i ze wszech miar wygodniej.

Wzruszona księżna ledwie odpowiedzieć mogła i powtarzała ciągle:

— Niech wam Bóg płaci... Ja się pożyczać lękam, a ten dworek...

Kustosz nie dał dokończyć.

— Dworek zupełnie dla księżnej i dla ks. Michała nie przystał. Mógł tylko służyć tymczasowo, póki się co innego nie znalazło. Ja nalegam na kustodyę; stoi w pogotowiu.

Na te słowa nadszedł właśnie powracający ks. Michał; posłyszał je i z radością nie tajoną rzucił się ręce księdza całować. Matka zobaczyła go tak uszczęśliwionym, iż protestować nie miała serca. Westchnęła tylko.

— Ale mnie, mnie, — rzekła — pozwolicie tu jeszcze pozostać. Niech Michał będzie swobodnym swoim dworem.

Młody książę się zachmurzył; kustosz widząc, że matka i syn najprędzej się porozumieją zostawszy sami, wstał i pożegnał starą księżną, która go do progu odprowadziła.

— Zaledwie z oczów jej zniknął, podniosła wzrok na syna.

— Pocziwy ten przyjaciel — rzekła — tak bardzo troszczący się o nas, jak żaden o krewnych... Ma on po części słusność, że zanadto jesteś ukryty i dajesz wszystkim iść przed sobą... ale mogłoż się inaczej ułożyć, przy tak szczupłych środkach — a takiej nawale długów? Ludzieby uwłaczali pamięci ojca, mówiąc, że my długów tych nie płaciemy, a na zbytki tracim. Ks. Fantoni ma może słusność — powtórzyła księżna — czyniąc mi wyrzuty... Ja mogę pozostać w kątku i zakryta, ale ty...

— Ja — począł syn z widocznem zakłopotaniem — ja idę za radami Lubomirskiego, nie kryję się, jeżdżę i bywam wszędzie, alem nie

winien temu, że inni, świetniej występujący, więcej oczy ściągają.

— O! tyś bo rzadko nieśmiały — odparła matka. Wszysey to mówią, ja to widzę. Wieluż uboższych od ciebie, a nie mających takiego imienia, hałaśliwie sobie torują drogi i w towarzystwie odgrywają rolę...

— Ja nie potrafię tego — uśmiechnął się ks. Michał.

Zaraz po wyjściu ks. Fantoniego przybyła Hela, stała tuż i słuchała.

— Potrafilibyście, — wtrąciła — gdybyście chcieli tylko, ale ta powolność wasza, ta obojętność na wszystko...

Ks. Michał zwrócił ku niej oczy z wymówką.

— Że i ty nawet mnie obwiniasz! — rzekl. — Ależ zachowanie się moje doskonale się godzi z położeniem...

— Ono mówi tylko, jakbyś niczego nie żądał od losu i nie czuł się stworzonym do niczego więcej nad taką zapomnianą, ubogą egzystencją — podchwyciła Hela.

— Ale w świecie bez środków, bez zewnętrznej okazalności — przerwał ks. Michał — nie się nie robi, a na śmieszność naraża. Stojąc na boku, nie wymagając nic, łatwiej mi jest moją godność zachować. Gdybym się cisnął zbyt natarczywie, mógłbym się narazić na nieprzyjemne odparcie, którego bym nie zniósł.

Rozmowa pomiędzy matką, która zamilkła dumając, a synem, zmieniła się na małą sprzeczkę Heli z kuzynem. Ks. Gryzelda, która potrzebowała być samą wyszła, zostawując ich z sobą, pewna, że młode dziewczę wypowie myśl jej własną razem ze swoją.

Michał usiadł naprzeciw niej z rodzajem rezygnacyi, ale, jak zawsze, gdy z nią był sam na sam, twarz zwykle zasepiona rozjaśniła mu

się, wziął jej rączkę, pocałował, uśmiechnął się i rzekł prawie dziecinny wyrazem głosu:

— Nie łajcież bo mnie wszyscy!... czego chcecie odemnie!... Jestem i bez tego dosyć biedny i umęczony...

Hela niecierpliwie poruszała ramionami, ale wejrzenie jej z wielką czułością spoczywało na kuzynie.

— Wszyscy my o was się troszczym — rzekła — wszyscy, aż do ks. kustosza, który choć obcy, znajduje, że wam przystało więcej się i okazać pokazywać na świecie — jeden tylko... sam ks. Michał tak jest obojętnym...

— A! Helo moja — przerwał ksiązę, ciągle goniąc za rączką jej, którą usiłował pochwycić, a która mu się wysuwała. — Helo moja... ten biedny Michał wcale dla siebie czego innego pragnie i marzy, niż wy byście mu dać chcieli. Ja nie jestem stworzony do tego świata, w którym mi ciągle czegoś dobijać się, coś zdobywać potrzeba, aby nazajutrz jeszcze większego i wyższego pragnąć. Takby mi dobrze było w bardzo miernym stanie, w bardzo skromnym pałacyku, z kilkunastu służby w ładnej barwie, z parą kolebek poszóstnych w stajni, z dobrym kucharzem i pasztetnikiem.

— No i z garderobą z Paryża! — dodała szyderczo Hela.

— A to się rozumie! — wesoło ciągnął dalej ksiązę.

— Cóż więcej? — pytała Hela.

— Bez troski o te boratynki, bez długów, od których się trzeba wypraszać...

Tu zamilkł chwilę.

— Bez nieprzyjaciół, bez tych walk i intryg, które zatruwają życie — dokończył.

— Obraz tego pożycia niepełny, — wtrąciła Hela — dla dopełnienia go potrzeba dostojnej i miłej małżonki...

— Wiesz, — żywo zawołał ks. Michał — bylebym miał matkę i ciebie, nie zatuszuję za nikim więcej. Kobiet się boję... a spokój tak mi jest drogi.

— Leniuszek jesteś — odpowiedziała Zebrzydowska. — Boisz się wszystkiego, gdy o ciebie twój niczego się przecież nie lękał.

Zmarszczył się na to wspomnienie Wiśniowiecki.

— Mylisz się, Helo moja! — rzekł poważniej. — Jeżeli się w polu nie lękał nieprzyjaciela, tego i ja się nie obawiam, ale tych, co pozorem przyjaźni i braterstwa zdradę przynoszą, co jemu życie tak ciężkiem uczynili, — tak jak ja się obawiał i nienawidził. Nie idę więc chętnie tam, gdzie się z niemi spotkać mogę!

Zebrzydowska siedziała zamyślona.

— Wszystko to w kobiecie byłoby do wytłómaczenia, — odpowiedziała po przestanku. — Mężczyzna stworzony jest do walki; nie do takiego żywota sybaryty w spoczynku; cóż, gdy jak wy, młody jest, gdy nosi imię Wiśniowieckich i gdy ma wszystko, coby go na świecie zalecić mogło...

— Ah! — rozśmiał się ks. Michał. — Mylisz się właśnie, przyznając mi, czego nie mam!...

Oboje milczeli chwilę, Hela badała go wzrokiem, on milczał, lub spotkawszy jej wejrzenie uśmiechał się słodko.

— Wierz mi, Helo — rzekł, wstając — póki mam matkę i ciebie, więcej nic a nic nie pragnę. Tak mi z wami dobrze... Sądzisz, że zbliżając się do tego świata, najeżonego intrygami, smaku do czego nabrać można!... Patrzę, słucham i wzdrygam się. Widzę ich, jak się ściśkają, całują, zwierzają sobie, jak się bratają, a w chwilę potem ośmiewają się wzajemnie i dołki kopią pod sobą... Walka Paców z Radziwiłłami, walka Lubomirskich z Sobieskim,

niedowierzanie, sprzedawanie się wzajemne, zgody, które są zawiązkiem nowych kłótni, przy-
mierza, nazajutrz zrywane, zazdrości, współza-
wodnictwa, ambicje nienasycone, a fałsz—chle-
bem powszednim!...

Hela słuchała ze smutną rezygnacją.

— Wy wszystko widzicie za czarno—ode-
zwała się.—Ludzie są słabi, ale nie tak źli, jak
się wydają, a z takimi, jakimi ich Pan Bóg
stworzył, żyć przecie potrzeba, bo na pustynię
uciec nie można...

Widząc Michała mocno zasepionym, lito-
ściwe dziewczę usiłowało go rozerwać.

— Spodziewam się, — rzekła — żeście nie
zapomnieli wysłać do Paryża zamówienie na
suknie?...

— Wczoraj jeszcze — żywo odparł ks. Mi-
chał.— Coś podobnego mieć muszę, jak Chava-
gnac.. Na nieszczęście te koronki są tak dro-
gie, a hafty i galony tak sobie płacić każą.

— Będzież-że to miał w porę na korona-
cyę?—pytało litościwe dziewczę.

— Wyraźnie położyłem ten warunek. Sejm
elekcyjny, który się dopiero rozpoczyna, nieza-
wodnie się przeciągnie. Choćby nie szło o kan-
dydata, szlachta różne wprzód położy warun-
ki, — odzyskanie ziem oderwanych, zabezpie-
czenia praw dyssydentów i tym podobnie. Bę-
dzie to pretekstem do długich mów, rozpraw
i straty czasu... Przyjdzie potem posłuchanie
posłów, kandydatów do tronu, narady... burze...
i w najszcześniejszym razie miesiąc czasu od
otwarcia upłynie. Nie wiem zresztą, ale jeżeli
jest w interesie Interrexa naszego dłużej się
bawić tą władzą, jaką ma... przeciągnie... Cze-
kać może zechce, aby Kondeusz miał czas zbli-
żyć się do granicy i ukazać potem natychmiast
w aureoli swego rycerskiego bohaterstwa...

— Jeżeli mi nie przywiozą na czas tych sukni z Paryża — dodał z wielkim naciskiem książę — przyznam się, że będę w czasie uroczystości następnych dosyć zakłopotany... Jeden tylko garnitur cały mam świeży i wytworny, inne, nie nowe są i znać na nich, że niewiele do zmiany mam w garderobie. Chavagnac mi wielką oddał przysługę, wcale się tego nie domyślając...

— Zdaje mi się, — szepnęła Hela — iżby się bez niej obeszło, bo księżna spodziewa się pieniędzy i wiem, że one są dla was przeznaczone...

— Naprzód powinna pamiętać o sobie — wtrącił książę.

— My niczego nie potrzebujemy — sprzeciwiła się Hela. — Wam wszystkiego trzeba... Suknie, konie, barwa, ludzi...

Nie dokończyła. Książę Michał westchnął.

— Nadewszystko potrzeba wam ochoty do życia... — zakończyła Hela.

Spojrzeli sobie w oczy. Wiśniowiecki nie odpowiedział, wziął jej rękę, przyłożył do ust i wyszedł zadumany. Wkrótce potem kazał sobie podać konia i wyjechał na miasto.

Dzień wiosenny wabił wszystkich ku Woli, tłumy ciekawych ciągnęły ku szopie. Książę pojechał też ku dworowi kanclerzyny Pacowej, który stał na drodze z Warszawy ku okopom. Dla ciekawych pań, przyjaciółek Kondeusza, które elekcyja żywo obchodziła, tak, że pragnęły być jaknajbliżej Woli i pod okopami, właścicielka rozkazała właśnie przybudować wzdłuż dworu długą, całą oszkloną galeryę, w której, jak kwiaty w cieplarni, po całych dniach, od dnia rozpoczęcia zjazdu, siedziały wszystkie piękne i niepiękne, młodsze i starsze panie, przypatrując się przejeżdżającym, krytykując powozy, konie, ubiory, służbę, zatrzymując zna-

jomych, powiewając chustkami i bawiąc się ruchem ożywionego gościńca doskonale.

Kancelrzyna ledwie mogła pomieścić gości, tak się jej tu napraszano, panie siadywały po całych dniach, mężczyźni przybywali, siedzieli, odjeżdżali, wracali.

A że sprawa Kondeusza, którego niewidzialna chorągiew powiewała nad tą galeryą, stała w przekonaniu wszystkich doskonale, wesołość i najlepszy humor panowały tu ciągle, galerya rozlegała się śmiechem, piękne panie trzpiotały. Nie pomiął nikt kancelrzyny, aby nie stanął lub przynajmniej nie zwolnił kroku i parę słów nie zamienił z kobietami.

Kancelrzyna, hetmanowa, piękna, młodziechna księżna Radziwiłłowa, Dönhoffowa i inne, miały na usługach mnóstwo kawalerów, krewnych, dworzan... Ci pomiędzy Wolą, Warszawą, a w pośrodku stojącym dworem tym utrzymywali nieustający związek. Zbiegały się tu nowiny najświeższe, plotki i wiadomości z obu stron.

Nikt do okopów nie mógł się dostać, nie przejechawszy pod oczyma ciekawych pań, które na dane hasło zbiegały się do okien, cisnęły, pozdrawiały znajomych i rozpierzchały około stołów, przez cały dzień przekąskami, konfiturami, ciastami i winem zastawionych. Jadący konno, podjeżdżali pod samą ścianę, aby podaną im białą rączkę uścisnąć i odebrać z koronowych ust rozkazy; z kolebek niektórzy wysiadali, inni, jak prymas, wychylali się, błogosławili.

Gawiedzi też ciekawej zawsze nieco opodał stały gromadki, które więcej oknom galeryi, niż przejeżdżającym się przypatrywały.

Książe Michał bezmyślnie skierował się w tę stronę, ale wpół drogi, spojrzawszy na swego wierzchowca, na towarzyszących mu

dworzan w dosyć wytartej barwie, zawrócił... O białym dniu on i jego dwór nadto niepocześnie wyglądali, aby się narażać na porównanie z temi, którzy pod galeryą znaleźć się musieli, a ci właśnie stanowili część towarzystwa najwytworniejszą.

Nawet młody przyjaciel Pac, z którym się spotkał, namówić go z sobą nie mógł do kancelrzyny; książę Michał wymówił się tajemniczą jakąś sprawą pilną, a udał się na samotną przejażdżkę...

Gdy się to działo, a księżna Gryzelda po żywej rozmowie z Helą, wzięła książkę, aby czytaniem zatrzeć przykre wrażenia i smutne myśli, — stary sługa dał jej wiedzieć, że ów niegdy księcia Jeremiego dworzanin z Sandomierskiego, niejaki Wacek Grąbczewski, chciał się pokłonić.

Nie dobrze zrozumiała księżna, czego on mógł potrzebować, gdyż raz już mówiła z nim, ulękła się nawet trochę, aby nieświadomy jej położenia, nie zażądał w imię dawnych zasług, jakiej pomocy, lecz ktokolwiek przychodził w imię nieboszczyka — odepchnąć go nie mogła.

Grąbczewski zyskał więc powtórne posłuchanie.

Z wielką pokorą stanął ubogo odziany, chudy, długi, z szyją wyciągniętą, z głową śpiączastą, niegdy Wackiem poufale zwany podkoniuszy Jeremiego.

Pozdrowiła go uprzejmie księżna, nie powstając z siedzenia, zakłopotana samą myślą tą, że może czegoś żądać, czego mu odmówić będzie musiała.

— Ja to — odezwał się szlachcic od progu, pociągając wąsa, widocznie zmieszany... jakający się — ja to do stopek W. ks. mości raz jeszcze przychodzę z prośbą wielką.

Księżna aż pobladła.

— Kiedy mi moją śmiałość pani przebaczy — mówił dalej Grąbczewski. — My Sandomierzanie wszyscy w wielkiej mamy weneracyi tych, co dla Rzeczypospolitej cierpieli i walczyli za nią, więc też i imię nieboszczyka, Panie mu świeć — Jeremiego, jest u nas w największej estymie; zatem i ród jego cały... Wielu się u mnie prosi, żeby choć syna bohatera oglądać mogli. Jużci to trudno wszystkich przyjmować, ja to wiem, ale mam jednego pocziwego przyjaciela, a po trosze i plemiennika, którego bym, za pozwoleniem księżnej mości (tu się pokłonił) — rad przyprowadzić... Niechby miał to szczęście krew wielkiego naszego hetmana oglądać.

Księżna słuchała, powoli ochłonywając ze strachu, ale prośba pocziwego Grąbczewskiego nie mniej tak się wydała dziwną jakoś, że nie rychło odpowiedź na nią znalazła...

— A wyście ks. Michała nie spotkali, nie widzieli? — spytała.

— Niech mi W. ks. mość daruje — rzekł szlachcic — oczyska mam złe, niedowidzę, a co prawda, nie widywałem ks. Michała od jego dziecięcych lat, poznaćby mi było trudno.

Uśmiechnęła się staruszka wesoło, bo ta cześć dla imienia męża miłą sercu jej była.

— Mój Grąbczewski — odezwała się do niego — jutro rano przyjdź z tym „przyjacielem”. Michał będzie w domu i starego sługę ojca pewno przyjmie wdzięcznie. Za przywiązanie do domu naszego — Bóg zapłać!

Szlachcic, nie przedłużając już rozmowy nisko się pokłoniwszy, wyszedł natychmiast.

Dziwne trochę żądanie Grąbczewskiego przez cały dzień w wesołym usposobieniu utrzymywało staruszkę; pochwaliła się tem Heli na przód; potem ks. kustoszowi, który przyszedł na chwilę, naostatek powracającemu ks. Mi-

chałowi, który wiadomość tę przyjął dosyć obojętnie.

Dać się tak na widowisko nie było mu miłym. Nie był wcale usposobionym do przypochlebiania się i pozyskiwania sobie serc panów szlachty. Wychowaniec innego świata, dziecie innej cywilizacji mało rozumiał tę tradycyjną, starą, domową, która nie mając powierzchownej ogłady zachodniej, w pewnych względach stała z nią na równi.

Śmiałem się, może wyda to twierdzenie, lecz nie mniej pewna, że moralne i religijne pojęcia w lepszej części szlachty rozwinięte były wielce, a tam gdzie ani fanatyzm, ani przesąd nie skalął ich, na łacinie samej wyrobieni ludzie, mogli na francuszczyźnie wypolerowanym sprostać.

Skrzywił się nieco ks. Michał, gdy mu matka prośbę Grąbczewskiego przełożyła, dodając, że mu posłuchanie zapewniła. Matce niczego w świecie odmówić nie mógł, ale gdy sam na sam pozostał z Helą, zamruczał.

— Nie podobam się im, to pewna, chociaż starać się będę, abym pamięci ojca nie uczynił krzywdy... Ale co za pocieszna myśl chcieć mnie oglądać?...

Hela nie znajdowała jej wcale tak dziwną.

— Mój Michasiu — odezwała się łagodnie — przygotuj się tylko jutro z wesołą twarzą do szlachty... po co świat ma wiedzieć, jakie my troski w sobie nosimy?

Nazajutrz około dziesiątej zjawił się zapowiedziany Wacek Grąbczewski, prowadząc z sobą drugiego, mało co pokaźniej niż on sam, wyglądającego pana brata.

Był to Ireneusz Piotrowski.

Uprowadzona służba, której stara księżna kazała się w trochę większej liczbie i w najlepszej barwie stawić, wprowadziła do salki ja-

dalnej gości, w której staraniem Helki niezbędna przekąska była przygotowana.

Hela, której o sławę domu nie mniej chodziło, jak księżnie Gryzeldzie, postarała się o to, aby w zastawie stołu resztki sreber, szkła rzniętego, i najpiękniejsze obrusy wystąpiły...

Śniadanie też zimne, z wędlin, chleba, maśła, suszonych owoców i różnych przysmaków złożone, wcale pańsko wyglądało...

Przychodzących przywitała Hela, a tuż i ks. Michał już ubrany, w najświeższej peruce, w najwytworniejszych sukniach, z dosyć jasną twarzą ukazał się na progu, na komplement Grąbczewskiego odpowiadając bardzo grzecznem powitaniem.

Wacek natychmiast powinowatego swego Piotrowskiego przedstawił, ale pod imieniem Sasa, które klejnot oznaczało...

Piotrowski po krótkim preliminarzu zręcznie zawiązał rozmowę, której ks. Michał dosyć roztargniony słuchał. Niewiele go obchodziło to wszystko. Kiedy niekiedy rzucał słówko od niechcenia.

Tymczasem przepić musiał do gości i razem z nimi ochoczo się wziął do śniadania.

Hela wyszła zaraz, zostawując ich samych, i wkrótce Piotrowski bardzo zręcznie na elekcyę zawrócił.

— My byśmy radzi co najprędzej tę pańszczyznę odbyć — mówił — bo dla nas, hreczko-siejów, to ciężka rzecz w samą porę wiosenną, przy nadchodzących sianokosach, a gdzie może niejeden się jeszcze i nie obsiał, stać w polu kilka tygodni; a choć suche dni minęły pościć często gęsto, bo nie każdemu stać na kuchtę.

— Zdaje się, — wtrącił książę obojętnie — iż elekcyja się nie przeciągnie, wszyscy zgodni prawie na Kondeusza. Drudzy kandydaci niewiele za sobą mają.

— Myśmy to słydzeli i wiemy o tem, — odezwał się Piotrowski — ale i to nam wiadomo, że Kondeusz za gotowy grosz sobie przyjaciół pokupował, a to jest obrazą Bożą, simonią, wprowadzać tam, gdzie ducha świętego się wzywa i jemu potem przypisywać, co się pieniędzmi uczyniło. U nas szlachty, Kondeusz nie jest *persona grata*...

— A któż? — spytał ciekawie ks. Michał.

— Bóg wiedzieć raczy, kogo nam podda duch święty — śmiejąc się, mówił Piotrowski. — Czemuby Piast nie miał być?

— Ah! — rzekł Wiśniowiecki. — Wybór Piaśta bardzo trudny, bo to tak dobry jeden, jak drugi... a zazdrośćby się zrodziła nadto...

— My też nie przesadzamy nic — ciągnął na pozór obojętnie Piotrowski — to tylko W. ks. mości powiemy, co jest rzetelną prawdą, iż szlachta niemal wszystka (trutniów się nie liczy) nie chce ani Kondeusza, ani żadnego z tych, co się jemu przekupić dali.

Rozśmiał się książę, słysząc to.

— Wybór będzie bardzo trudny; — rzekł żartobliwie — ja tam w te sprawy się mało wdaję, za młody jestem, ale że pomiędzy panami mało kto jest nie pozyskany dla Kondeusza, — więc kandydata nie łatwo znajdziecie.

— Ha! — rozśmiał się Piotrowski. — Przy pomocy Bożej, gdzie kilkadziesiąt tysięcy głów jest do wybierania i do wyboru razem, jedną zawsze się wyszuka, której korona będzie do twarzy... Śmiejąc się, wołają niektórzy, żeby bodaj Polanowskiego, aby nie Kondeusza, ani tych, co się przekupstwem skazili.

Książę Michał milezał a Piotrowski popatrzywszy na niego, ciągnął dalej:

— Ja to Waszej Książęcej Mości z naszych arkanów się spowiadam, bo syn Jeremiego, srode pokrzywdzonego, do magnatów tych nie

należy, co bez szlachty, sami chcą koroną rozporządzać.

Zarumienił się Michał; — rozmowa poczynąła być drażliwą.

— To pewna — odparł, nieco się zawahawszy — iż ja do żadnej partyi nie należę, a za młody jestem, abym mógł co znaczyć między koryfeuszami... Dla mnie, kogo Bóg natchnie, a szlachta wspólnie z szatanami okrzyknie panem, równie będzie wdzięcznym...

— My też nie inaczej o Waszej książęcej mości wróżyliśmy sobie — mówił Piotrowski. — Imieniem i rodem należycie nietylko do magnatów, ale do jagiellońskiej dynastyi, a no sercem i duchem potem, czegoście doznali, trudno wam z panami iść; szlachta też tem więcej was miłuje.

Skłonił się, zmieszany nieco ks. Michał, nie wiedząc już, co ma odpowiedzieć. Nastąpiła chwilka milczenia; przerwał ją Grąbczewski.

— W. książęca mość nie możecie tego ani wiedzieć, ani widzieć, jaki duch szlachtę zagrzewa — a jak oburzoną jest, że jej Simoniacy chcą swego króla narzucić. Głoszą go bohaterem wielkim, wodzem i hetmanem, ale pono inna to rzecz wojnę prowadzić z Niemcami czy Francuzami, niż u nas z kozaki i tatarzy. Namby drugiego Jeremiego potrzeba... a przedewszystkiem szlachta, której więcej jest stokroć, niż panów, pragnie obrać sobie króla po swej myśli a woli Bożej.

Słuchał ks. Michał zdziwiony nieco, niedowierzający, lecz ciekawy.

— Pierwszy to raz o tem usposobieniu waszmościów się dowiaduję — rzekł. — Ale życzę, aby lepiej porozumieć się i iść zgodnie, a do rozterki i rozdziwienia nie dać asumptu.

— Lubo nam się widzi — dodał cicho i skromnie Piotrowski — nie może być ani walki, ni

rozdziału. Nas szlachty jest co najmniej kilkadziesiąt tysięcy, Kondeuszowych panów, licząc hojnie, kilkuset... więc liczba weźmie górę...

Śluchając tego programu, jak zabawnej baśni, Wiśniowiecki, który widział w tem tylko fantazyę szlachecką, nie mogącą się urzeczywistnić, wesóło napełnił kieliszki winem, które przed nim stały i odezwał się, konkludując do Piotrowskiego:

— Zatem waszego kandydata zdrowie.

I wypił, a Grąbczewski z Piotrowskim żywo i głośno okrzyknawszy.

— Vivat!

Poszli w jego ślady.

Wkrótce też potem, pod pozorem zajęcia, Wiśniowiecki wstał, a szlachta się z nim pożegnała.

Wprost od niej przeszedł ksiązę do matki, aby jej zdać sprawę z przyjęciem gości, choć staruszka siedząca w sąsiednim pokoju część rozmowy słyszeć mogła.

— Mameczko droga—rzekł wesóło, w rękę ją całując, rad, że się pozbył szlachty — nasz Grąbczewski przyprowadził mi osobliwego Sandomierzanina... Utrzymuje on, że na złość pry-masowi i Sobieskiemu Kondeusza nie wybiorą...

I śmiać się począł,—nie mogąc powstrzymać...

— Szlachta myśli o Piaście! — dodał, ramionami zżymając. — Górą pan Polanowski!!

V.

Kilka tygodni upłynęło na wstępnych rozprawach około królewskiej elekcji, sam wybór przeciągał się bardzo, a panowie szlachta szemrali.

W istocie przyczyn zwłoki trudno się było dobadać.

Na Woli, około okopów, obozowiska województw przedstawiały obraz tak ciekawy i ożywiony, iż tłumom, które się tu ściągały, aby mu się przypatrywać choć zdala, wcale się dziwować nie było można.

Mało kto zamożniejszy mógł się w mieście wygodniej rozłożyć; uboższa szlachta, a tej liczba była przemagająca, w najściślejsem znaczeniu tego wyrazu obozowała. Tylko był to obóz *sui generis*, bez taborów po większej części, a że już od miesiąca się tu rozłożył, miał czas sobie stworzyć pewną fizyognomię odrębną.

Nie mówiąc już o tem, że Litwa i Ruś samą powierzchownością, mową i obyczajem na pierwszy rzut oka różniła się ogromnie od Wielkopolski, małopolan i mazurów, każda ziemia miała odznaczające ją właściwości. Po sukniach, po wozach, po uprzążach i po garnuszkach z jadłem odróżnić było można, skąd kto pochodził...

Prześmiewano się tak dobrze z mazurskiej mowy, jak ze śpiewania Litwinów, ale drwiono też z różnych właściwości Krakowian i Sandomierzanów. Rzadko jednak między panami bracią przychodziło do drapieżnej waśni, a dłuższe obozowanie pozawiazywało mnóstwo stosunków i przypominało dawne kolligacye i związki.

Życie tu wiodło się w osobliwszy sposób. We wszystkich województwach naczelnicy ich, starszyzna, pan wojewoda, kasztelan mieli rozbite namioty, pańskie ogromnie, często po kilka ich otaczało chorągiew, a tabor wozów je opasywał; — ale pan wojewoda nigdy lub bardzo rzadko noc przepędzał w polu, miał każdy pomieszczenie w klasztorze, dworze, w najętej kwaterze w Warszawie, a na Wole do swoich zjeżdżał tylko we dnie, gdy było potrzeba.

Stoły były otwarte, marszałkowie dworu obsługiwali, zastępując panów.

Oprócz tych różnobarwnych, kosztownych szkarłatnych, złocistych, pasiastych namiotów pańskich, które zdawa widać było, mało kto miał pokażniejszy.

Bracia szlachta albo sobie kleciła szatry płótnem zgrzebnem i wojłokami okryte, lub budowała szalasy, budki i szopki. Niektórzy mieli domki z tarcie wcale pokażno sklecone, słomą okryte, ale tych było niewiele.

Wóz, a przy nim daszek od sloty przyparty, ognisko wykopane w ziemi i od wiatru przysłonięte, były najzwyczajszem schronieniem. Około wozu czeladź legiwała na gołej ziemi, chroniąc się pod wóz, gdy deszcz nocą padał. Sam też pan niewiele więcej wymagał, bo każdy był do łowów i do koczowania nawykły, a choć potem łamało w kościach,—nie zważano wiele i lada smarowanie pomagało.

Konie musiały dzielić los panów, choć wielu o nie więcej prawie dbało niż o siebie i ludzi i dla nich szopki kleciło, a żłoby kupowało. Ubożsi wszakże płóciennym żłobem i workami na łeb zarzuconemi się zaspakajali.

Można się było rozliczności tych gospodarstw przypatrzyć, bo i tu charakter, temperament, obyczaj człowieka dobitnie się malował. Jeden dbał tylko, aby jego taborek pię-

knie świecił, drugi, aby mu wygodnie i zaciszno było.

Nie zbywało i na stowarzyszonych po kilku, którzy do spółki obozowali, gotowali, jedli, pili i noclegowali.

Bracia, powinowaci, przyjaciele chętnie się tak skupiali, bo im kupką było najweselej — jeden kuchta warzył, expens był mniejszy, jadło lepsze... spiżarnia obficie zaopatrzona.

Z tą po czterech tygodniach, gdy się z wozów wyjadło wszystko, niejeden miał kłopot niemały. Trzeba było po wszystko do miasta na rynki i targi posyłać, bo przekupnie zabiegali po drogach i gościńcach, wykupując od wieśniaków wszelką żywność, a potem ją dwakroć sprzedając drożej. Przychodziło nieraz z temi przekupniami, po większej części żydkami, do kłótni i do bójki po przesmykach, a przymyślniejsza szlachta posyłała po wsiach okolicznych dla picowania.

Jadło swoją drogą, a napój też był niemałą troską, bo i o dobrą wodę dla koni i ludzi nie łatwo było; rozbijano się u studni z wiadrami, wozili ją beczkami sprzedający. Tandem bez piwa, gorzałki i nawet wina mało kto się obchodził. Co się z domu przywiozło, nie na długo starczyło przy dobrych humorach, o piwo wareckie, częstochowskie i inne trzeba się było starać w Warszawie, a nie zawsze go łatwo i tanio dostać można było, — na gorącu też kwaśniało prędko.

U skrajów obozu stały wprawdzie budy z wiechami sosnowemi, w których sprzedawano gorzałki, piwa, miody, a nawet liche wina, ale w tych szynkach czeladź się po większej części napijała, bo szlachcie do nich szedł niechętnie. Najuboższy nawet swoją chciał mieć piwa bodaj baryłkę.

W gorące dni wychodziło ono tak, że ani się było patrzeć, gdy drożdże tylko pozostały. Przyjęcia u wojewodów, dygnitarzy i panów nie starczyły szlachcie — a nie codziennie bywało tego świętego Jana. Kłopot więc, bo raz trzeba było sięgać do mieszka, leżąc się z tem, czy starczy do końca, a i z powrotem do domu.

Jeśli komu tu gody były to chyba czeladzi, — dla tej elekeya rajem się mogła nazwać, bo i swobody miała więcej i zabaw różnych do wyboru.

Około bud, szynków i kramików, gromadziły się przybysze z miasta pleci obojej, nie samej ciekawości k'woli. Postrojone jejmościanki, pod wieczór zawodzące pieśni, czeladź na pokuszenie wiodły.

Obok tych nadechodziło dużo kosterów z miasta, na oko ludzi porządných, z kośmi podrabianemi, z kubkami umyślnie na oszukaństwo robionemi. Kto się tu wdał w grę, nie wyszedł cały. Z tych zawsze prawie i kieszeń próżną i guzy w dodatku wynosił.

W szalasach niektórych cyganie, żydzi i różne narody grały do tańca, śpiewały pieśni, a młodzież z pannami z miasta patrzała się na płasy. Na tem jeszcze nie koniec pokusom, bo ławek i straganów z rozmaitem kupią — stały całe szeregi, tak obrachowanych, że właśnie najpożądańsze towary w sobie zawierały, przyczem każdy taki przekupień zapewniał i poprzysięgał, że gorszy towar w mieście Warszawie, dwakroć był droższy.

W budach tych czego dusza zapragnąć mogła, dostał każdy. Czapki, obuwie różne, suknie nowe i przenoszone, chusty wschodnie, bramowania, kutasy, sznury, rzemień, sprzączki, żelastwo... leżało tu pod dostatkiem. Wszystko za bezcen!

Nie jeden łatwowierny szlachcie tak się tu zaopatrzył, że dopiero nazajutrz rano dojrzał oszukaństwo, gdy tego, co go odrwił, ani było znaleźć.

Do miasta wprowadzie z ciekawości samej każdy się włókł, gdy mógł, ale codzień tam bywać nie stało czasu.

W niedzielę tylko obozowisko przy okopach inną przybierało postać. Budy z kupią były pozamykane, szynki nie wszystkie otwarte, bo kto mógł na nabożeństwo do kościołów śpieszył.

W obozie było kilka kaplic pańskich, ale do tych się docisnąć nie każdy mógł i umiał. Wabiły też uroczyste nabożeństwa u św. Jana, u Jezuitów, u Bernardynów i po innych bliższych kościołach. Obóz w święta i w niedzielę zmierzał, panowie wszysej uctowali w mieście, gdzie zawsze któryś z ważniejszych przyjmował, czasem prymas, hetman, kanclerze, marszałkowie, Radziwiłłowie, Pacowie, Lubomirscy.

We dni powszednie szlachta weześniej od panów otaczała szopę i nierychło doczekała się z miasta prywatów. Każdy z nich stawiał się z pompą i okazałością, z pocztom, z hajdukami, z czeladzią, a kolasy pozłociste, a barwy jak z igły.

Biednej szlachcie, już zmęczonej wyczekiwaniem, widok tych wspaniałości świadczących o dostatkach, więcej przynosił goryczy, niż pociechy. Klaniano się duchownym, okrom prymasa, który miru nie miał, ale innych zuchwale mierzyły wzroki i nie jeden nieprzyjemny wykrzyknik doleciał do ucha. Przez kilka tygodni miał czas każdy poznać i barwę i konie i dwór i oblicza dygnitarzy. Pokazywano ich sobie palcami.

Szopa, w której się naradzano, obleżoną była po dniach całych, a szlachta otaczająca

często bardzo burzliwie i krzykliwie się znajdowała... tak, że prymas i staruszkowie biskupi nieraz bledli, bo i szable pobrzękiwały i odgróзки latały w powietrzu.

Nikt już teraz nie mógł zaprzeczyć, że usposobienie umysłów po województwach bardzo pachnęło rokoszem. Spodziewał się jednak każdy z wojewodów i starszyny, że u siebie, przez owych wiernych klientów burzę zażegna.

Nie pierwszy to raz butna szlachta chciała moc swą pokazać, a gdy ją długo wytrzymano na słocie, o głodzie, w końcu szła, gdzie jej wskazano.

Tak, zdaniem prymasa i hetmana, tym razem też być miało. A że niecierpliwość rosła coraz i objawiała się codzień gwałtowniej, — postanowiono wreszcie, że miano posłów od kandydatów do korony przyjmować, co zapowiadało już zbliżającą się elekcję. Dla wszystkich była ta chwila stanowczą, bo partyzanci rachowali i na wystąpienie posłów, gdyż z wspaniałości ambasady wnoszono o zamożności panów, którzy je wysyłali.

A nie łatwą rzeczą było wystąpić tak, aby ludziom zaimponować tam, gdzie naprzykład hetman Sobieski z królewskim niemal przepychem się pokazywał codzień, z końmi, kolaskami, usaryą, kopijnikami, kozakami, z których kapłało złoto.

Obok hetmana przyjeżdżali Radziwiłłowie też z niemniejszą ostentacją, a Lubomirscy, Pacowie, nawet Morsztyn nie dawali się im zatrzeć.

Jedni przepychem, drudzy smakiem, ci końmi, tamci rzędami i uzbrojeniem celowali, tak, że było codzień na co patrzeć.

W szopie czasem wrzało i huczało, a gdy się tu poczęło, toż do koła szlachta brała udział we wrzawie. Dopiero pod wieczór kończyły się

narady i znowu począwszy od kolaski pry-
sa ciągnęło to wszystko mimo domu kanclerzy-
ny do miasta.

Tu mało kto nie był zmuszony stanać, bo
piękne panie nie dawały się pominąć, nie za-
sięgnawszy wiadomości u źródła. Często bar-
dzo przed tym domem kanclerzyny było tyle
powozów, koni i ludzi, że drogę zapierali. Roz-
legały się wesołe śmiechy, szumiały rozmowy,
spragnionym rzucano z okna pomarańcze. Pa-
cowa kazała roznosić po gościńcu wino i na-
poje, jakich kto zażądał.

Weale się nie troskano o to, że oprócz osób
należących do tego towarzystwa, mnóstwo szla-
chty, mieszczan i gawiedzi różnej przypatry-
wało się temu pańskiemu... mięsopustowi na uli-
cy, który szlachtę szczególniej raził i oburzał
wyzywającym swem lekceważeniem przyzwoi-
tości.

Na tem kończyły się prace dzienne sena-
torów, którzy powróciwszy do Warszawy, prze-
brawszy i otrząślszy z okrutnego kurzu, który
najczęściej na drodze tumanami się wzbijał, je-
chali albo na nowe narady, lub zaproszeni na
biesiady, najczęściej kończące się takimi upo-
jeniami, że niektórzy z niego dopiero około po-
łudnia wychodzili, całkiem już do szopy i oko-
pów jechać nie mogli.

Tu także noc miała swą odrębną fizyogno-
mię. Nie mówiąc o budach pod wieżą, otwar-
tych do białego dnia, z pod których dromle,
cymbały, szalawaje i skrzypki ze śpiewkami
słyszeć było, a do nich czeladź się wykradala,
pod wielą namiotami i szalasami ucztowano nie
wytwornie, ale obficie, składając się na wspól-
ne biesiady.

Napoje wówczas podbudzały umysły, ży-
wiej poruszały serca, śmielej się odzywano,
i tu niechęć przeciwko panom, która była ha-

słom elekeyi, od początku rosła, coraz groźniejszą się stając.

Karmiono ją umiejętnie codziennie nowymi opowiadaniem, a dosyć było samego widoku tych przepychów urągających szlacheckiej mierności i ubóstwu, aby oburzyć i do zemsty podbudzić.

Lada słówko prawdziwe czy fałszywe, jakoby na pokojach wyrzezione, które piórkami różnemi przystrajano, rozechodząc się z ust do ust, jątrzyło szlachtę coraz więcej. Utrzymywano, że prymas i hetman ze wzdargą się wyrażali o gawiedzi szlacheckiej, o szaraczkowych kapotach, którą obelżywie «szują» zwali. Szlachta zrywała się do szabel, zgrzytając zębami i czasem panowie tylko ostygnięciu w nocy i snom uspakajającym winni byli, iż ich nie napastowano, gdy do szopy jechali.

Trafiało się już wszakże, iż po drodze napili, a nieumiejący się utrzymać szlachcie pięść ściśniętą wyciągał bodaj naprzeciwko prymasa, a drugi szablą pobrzękiwał. Wówczas nie pozostawało im, jak — nie widzieć i nie słyszeć, odwrócić się i pominąć zuchwalec.

Pomimo tych oznak coraz częstszych podrażnień, panowie wcale nie zwątpili o sobie i swej sile.

Klienci ich, któremi się każdy posługiwał, nie mówili im prawdy i nie śmieli wyznać, że w obozie ust otworzyć w obronie Kondeusza i jego partyi już nie było można.

Gorzeński, który z raportami przychodził do Prażmowskiego, Korycki niejaki, służący w tenże sposób Sobieskiemu, Moczydło, który był Paea sługą, spróbowałszy panów swych ostrzedz, a nie znalazłszy u nich wiary, albo milczeli i dysymulowali, lub sprowadzali to, o czem donosili do najdrobniejszych rozmiarów...

W obozie szlacheckim, pomimo nocnych narad i spisków, we dnie panowała karność, bo i Piotrowski i jego pomocnicy ciągle to szlachcie wrażli, że do momentu ostatecznego powinna się zachować skromnie, cicho, aby przedwcześnie panów do obrony nie zbudzić.

Piotrowski był niezmordowanie czynnym, ale po swojemu — wszędzie był on, albo ręka jego, a nigdzie go widać nie było.

Tak stały rzeczy, gdy jednego poranku, hrabia Chavagnac, poseł niefortunny księcia Lotaryngii, kończył się ubierać i oblewał perfumami, mając wyjechać do kancelarzyny, wtóm służący mu oznajmił, że jakiś szlachcie życzy sobie z nim mówić.

Rola, jaką tu hr. Chavagnac odgrywał, była bardzo smutną. Godzien lepszego losu, lepszej sprawy, przebiegły, zręczny, umiejący sobie drogę utorować wszędzie, murów nie rozbijając, dworujący chętnie pięknym paniom bez różnicy, do jakiego obozu ich mężowie należeli i tym sposobem dowiadujący się mnóstwa tajemnic — od niejakiego czasu udawał zrozpaczonego i zwątpiałego.

Mówił otwarcie, że się już niczego nie spodziewał dla swego kandydata, ale mu honor kazał dotrwać do końca.

Potajemnie protegowany przez Austryę, Chavagnac przekonywał się, jak tu opieka w Polsce małego była znaczenia bez pieniędzy. A temi musiał bardzo oszczędnie szafować, bo zapasy się wyczerpywały.

Nieumiejętność krajowego języka zastępował Chavagnac jaką taką łaciną, a w najgorszych razach posługiwał się tłómaczem.

Oznajmienie o szlacheicu nieznanym, który z nim mówić życzy sobie — nie było mu w tej chwili pożądanem, bo mu żaden taki szlachcie nie mógł się przydać. Skrzywił się i byłby

go z niezem odprawił, gdyby nie myśl, że wszystkiego próbować i w zdesperowanych razach wszelkich środków chwytąć się należało.

Przyglądał się jeszcze w zwierciadło najwytworniejszemu swemu ubraniu, które mu było do twarzy i poprawił peruki, w lokach spadającej z obu stron świeżej i ładnej twarzy, pełnej życia i dowcipu, gdy w tem samem zwierciadło pokazał mu się wchodzący gość tak ubogo, biednie, nieobiecująco wyglądający, iż Chavagnac pożałował, że go kazał wpuścić.

Obok niego miał nawet postać żebraka. Żupanik wyblakły na piersiach, na tem kontusz sukienny dobrze przenoszony, pas zwiedły i wymęczony, na nogach buty niegdyś czerwone, ale dziś barwy, niedającej się oznaczyć; szabelka w prostej oprawie... czapka w ręku z barankiem, którego tylko resztki pozostały — oto był strój, w jakim Piotrowski się stawiał do eleganckiego posła księcia Lotaryngii.

Piotrowskiemu na posmarowanie biedaków, których używał do rozbudzenia szlachty na ospałych województwach, potrzeba było koniecznie pieniędzy. Zbierać ich po szlachcie nie mógł, straciłby mir u niej, przez to... od nikogo też brać nie chciał. Myśl mu przyszła śmiało zastukać do posła Lotaryńskiego, który miał w tem największy interes, aby szkodzić Kondenszowi. *Dictum, factum* i oto stał przed hr. Chavagnaciem.

Hrabia przyjął go ukłonem nader zimnym, ale grzecznym. Był nadto dobrze wychowanym, by komukolwiek chciał uchybić, a robić sobie nieprzyjaciół nie była też pora.

Mówisz pan po łacinie? — spytał go Piotrowski.

Chavagnac skłonił głowę.

— Z biedy się rozmówimy — odparł.

Po odezwaniu się oko dyplomaty poczęło badać przybysza i hrabia zaciekawiony, postrzegł, że może go powierzchowność omyliła.

Wejrzenie Piotrowskiego zdradzało inteligencyę. Nie płaszczył się też i nie uniżał jak inni, umiał zachować swą godność, co także za nim mówiło.

— Jesteś pan posłem księcia Lotaryńskiego? — spytał przybyły.

Chavagnac potwierdził.

— Musi więc waćpanu chodzić o to, abyś się niewygodnego i niebezpiecznego zbył współzawodnika. Mówię o Kondeuszu.

Wyrazy te w ustach tak niepoczesnego człowieka, wywołały uśmieszek mimowolny na usta posła. Co taki biedak mógł zaszkodzić Kondeuszowi, a pomódz Lotarynskiemu?

Uśmiech ten może dostrzegł Piotrowski, ale się nie zmieszał.

— Któż pan jesteś? i w czyjem mówisz imieniu? — zapytał Chavagnac.

— Kto ja jestem? — począł spokojnie szlachcic — to mój strój i mina powiada panu. Jestem jednym z tych dwudziestu tysięcy, *electores regum*, którzy stanowić będą w koronie.

Chavagnac się skłonił.

— Przychodzę sam od siebie -- ciągnął dalej Piotrowski, i mam panu do uczynienia propozycyę. Chcesz waćpan, abyśmy ekskludowali z liczby Kondeusza, jako jawnie o przestępstwo obwinionego?

Posel aż rzucił się w tył ze zdumienia.

— Ekskluzya Kondeusza! — zawołał żywo — zapewne! nie dla mnie pożądanśzemby być nie mogło, ale jakże się to może stać?

— Co panu do tego, jeśli ja biorę na siebie, że my go wyłączymy — odparł Piotrowski.

— Jakaż rękojmia?

— Żadnej... moje słowo. Cheesz waćpan, dobrze — nie — klaniam uniżenie. Servus.

— Czekajcie! na Boga! -- zawołał mocno zaintrygowany Chavagnac -- proszę pana, rozmówmy się lepiej, otwarciej. Nie cheesz mi pan powiedzieć nazwiska swego?

— Owszem, jeśli ono potrzebne -- rzekł -- Sas -- ale ono nie nauczy niczego. Jestem sobie ubogi i nieznaczący szlachcie -- a jak mnie waćpan widzisz -- ręczę za ekskluzyę Kondusza.

Chavagnac milezał.

— Tak -- rzekł w końcu -- ale jakież warunki?...

-- Nader przystępne -- odezwał się zimno Piotrowski. -- Sto dukatów, nie więcej.

Posel zaczął się śmiać.

— Żartujesz pan ze mnie? -- zawołał.

-- Bynajmniej, daję na to szlacheckie słowo, a u nas *verbum nobile* to tak jak przysięga, że Kondusz będzie ekskludowany.

— Pewność, z jaką to mówił Piotrowski, tak uderzyła Chavagnaca, że się głęboko zamyslił.

Targ, jaki mu szlachcie proponował, zdawał się śmiesznym, lecz Chavagnac znał już do tyła Polskę, iż wiedział, że tu z powierzchowności sądzić nie można. Śmiałość, pewność siebie Piotrowskiego, imponowały mu... wahał się. Ofiara była mało znaczącą, ale oszukanym być sobie nie życzył.

-- Przyznasz pan -- odezwał się -- iż prozocyja takiej przysługi od zupełnie nieznajomego, który oprócz słowa swego, żadnej nie daje rękojmi, potrzebuje namysłu. Nie idzie o tę sumkę, jest ona nieznaczącą, ale to wygląda na żart ze mnie!

Piotrowski się zmarszczył.

— Mówię seryo i słowa dotrzymam, a nie miła moja ofiara...

Skłonił się.

Powaga i zimna krew szlacheica zwyciężyła. Chavagnac wyciągnął rękę.

— Siadaj pan, przynoszę co żądasz.

Zamiast usiąść, Piotrowski począł się przechadzać po pokoju, a Chavagnac wkrótce powrócił z rulonikiem, który wcisnął w rękę przybyłemu.

Szlacheic mu nie podziękował i obojętnie wsunął go do kieszeni.

— Słowo jeszcze — odezwał się Chavagnac — zatrzymując wybierającego się odchodzić. — Jakie masz pan środki, aby dokazać tego cudu?

— Najprostszy w świecie, jeden tylko, wiemy kogo i za jaką sumę kupił Kondeusz, co wziął i co ma obiecane prymas, hetman i jego żona, Pacowie i inni... dosyć będzie huknąć, aby zmusić senatorów do ekskluzyi. Rzec jest pewna i stanie się jak powiedziałem—dokończył Piotrowski.

Wszystko to stało się tak jakoś niespodzianie i prędko, że dopiero po odejściu szlacheica, poseł rozmyślając nad tem, co uczynił—choć sam się śmiał z łatwowierności swojej—uznał dobrem, że sto czerwonych złotych ważył dla dokonania tego, za coby chętnie wprzód ofiarował był tysiące.

Ale był też w położeniu tak rozpaczliwem, że stawić tak małą sumkę z nadzieją choć najslabszą wygranej, mogło mu w każdym razie być wybaczonem.

Dnia tego, jak zwykle, jechał do domku nadrożnego kanclerzyny, gdzie się piękne pannie zbierały, aby słuchać kondolencyj nad swym losem i żarcików. Tym razem jednak mała ta, nieznacząca okoliczność, spotkanie z Pio-

trowskim dawała mu i isierkę nadziei i humor lepszy.

Gdy wszedł, księżna Radziwiłłowa pierwsza z twarzy jego wyczytała, iż był lepszej myśli.

Hrabio spytała go żartobliwie miał-żebyś od wezora pozyskać prymasa, czy hetmana, że tak dziś wyglądasz wesolo?

Ja? — odparł zręczny Francuz, ruszając ramionami — nie próbuję, jak księżna wiesz najlepiej, obiegać twierdz niezdobytych.

Ale dziś masz niemal twarz zwycięzcy! śmiała się księżna.

Bez mej wiedzy — rzekł Chavagnac — gdyż czuję się, wedle logiki ludzkiej, najniezawodniej pobitym... ale sobie przypomniał, co historia nieustannie powtarza, że los dumnych upokarza... a ci Konduszowi tak zawczasu tryumfują... iż mogą wywołać zemstę losu.

Z której hr. Chavagnac będzie się starał skorzystać! — zaśmiała się księżna.

Hrabia sklonił się w milezeniu.

O trzy kroki dalej siedziała w blasku swej piękności królewskiej Marya Kaźmira, przy niej wsparty na poręczy krzesła stał hetman, który, jadąc do szopy, na chwileczkę się tu zatrzymał.

Francuzka zrana odebrała listy ode dworu, a twarz jej promieniała tryumfem. Wszystkie warunki, jakie Sobiescy stawiali za wybór, upewniwszy Kondusza, zostały przyjęte — a mimo to hetman miał oblicze posępne i wesa tak targał, jak gdyby go co mocno drażniło. Po chwili razem z żoną wyszedł do sąsiedniego gabinetu.

Cóż tam znowu zaszło żeś tak chmurny? — zapytała Marysienka.

Jestem zmęczony jak wyrobnik — zawołał Sobieski, — ani dnia, ani nocy spokojnej

i drzwi się nie zamykają; ciągle wydatki, nie starczyć już na nie groszem — a na dobitkę młody Korycki przyniósł mi złe wiadomości z Woli.

— Z Woli? a cóż to być może? — pogardliwie spytała Sobieska.

— Szlachta nie żartem spiskuje — mówił cicho hetman — wre i kipi u Sandomierzan, w Krakowskiem, odgrają się, że nas na szablach rozniosą i wprost wołają, żeśmy koronę sprzedali.

Marya Kaźmira zaperzyła się.

— Hałastra! — zawołała gniewnie, tupiąc nogą. — Szablami grożą, jak gdybyście wy wojska nie mieli, które ich w puch rozbić może!

— A potem? — pytał Sobieski — któż będzie króla wybierał?

— Senat... wy! prymas go okrzyknie.

— Łatwo to powiedzieć, ale nie tak jak się zdaje dokonać. Za szlachtą stoi cała Rzeczpospolita i jej prawa, które szanować musimy.

Ze zmarszczonem czołem zabierał się odchodzić.

— Młody Korycki — przerwała nagle królowa — kłamcą jest. Chce tylko wyłudzić pieniądze. Strzeż się go.

— Pieniędzy nie żądał — odparł Sobieski — bo powiada, że teraz na nicby się nie zdały.

Niedowierzająco popatrzyła piękna pani, nie mogąc pojąć, aby kto nie potrzebował pieniędzy, gdy je mógł pod jakimkolwiek wyłudzić pozorem.

— Koniec końcem, całując białą rączkę, niechętnie mu podaną — rzekł hetman — panu Bogu dziękuję, gdy zaśpiewamy Te Deum; nie wytrzymałbym dłużej.

— Jutro, poseł Kondeusza? nie prawdaż — zapytała żona.

— Tak jest; dwie moje najpiękniejsze karety muszę posłać po niego, a moja pani i królowa będzie musiała niebieską się kontentować i temi woźnikami, co przyszły z Jaworowa.

Piękna pani byłaby może zaprotestowała przeciwko poświęceniu jej dla posła Kondeuszowego, ale dla Francyi gotową była na tę ofiarę.

Z kolei przed galeryą kanclerzyny przesunęły się wszystkie orszaki panów ciągnące do okopów. Młody Pac w towarzystwie ks. Michała, którzy dnia tego nie potrzebowali się znajdować przy swoich województwach, przybyli też do pawilonu kanclerzyny, aby bawić panie.

Pomimo bardzo starannego ubrania, księżę Michał w towarzystwie, w którem się znajdowało kilku Francuzów, Chavagnac, Pac i inni eleganci — stawił się nader skromnie.

Oczy pięknych pań zmierzyły go ciekawie.

— Ten biedny Wiśniowiecki — szepnęła młoda Radziwiłłowa — aż mi go żal. Tak wszędzie pokorną i nieznaczącą rolę grać musi.

— Był to ulubieniec Maryi Ludwiki — z przekazem odezwała się Sobieska, — ale tylko dobre serce tej pani mogło przywiązać się do istoty tak upośledzonej.

— Jakto? — przerwała Radziwiłłowa — słyszałam, że mówi ośmiu językami!

— A tak, ale żadnym z nich nie do rzeczy powiedzieć nie umie — rozśmiała się hetmanowa — i ten wiekuisty pozór ofiary, mający obudzać współczucie!

— Nie miał szczęścia się wam podobać? — podchwyciła Radziwiłłowa, — tembardziej mi go żal.

Sobieska ruszyła ramionami.

W istocie ks. Michał, zmuszony pozostać w cieniu, sam jeden, bo mało kto się chciał zbli-

żyć do niego, nie znalazł nikogo takiego oprócz Chavagnaca, który tego dnia miał więcej uprzejmości, niż zwykle i sam go przyszedł powitać.

— Na kiedyż wasz wjazd?—spytał go ks. Michał.

— Zapewne pojutrze—odparł wzdychając Chavagnac — mowę mam już gotową, ani się z tem kryję, że jej sam nie pisałem.

— Ks. Riquet—szepnął Wiśniowiecki.

— Tak jest — potwierdził hrabia — ale co znaczą najpiękniejsze słowa, gdy się niema ich czem poprzeć!

I żartobliwie ręce rozpostarł.

— Heroicznie—dodał—spełnię moją ofiarę i wypiję kielich do dna! Gdyby nie to, że Neuburg jeszcze jest biedniejszy odemnie, bo o nim nawet mowy niema, byłbym najnieszczęśliwszym z ludzi!

Wiśniowiecki stał obojętnie zadumany czy też roztargniony.

— Mój hrabio — rzekł w końcu — mówią, że w czasie elekcyi dzieją się czasem rzeczy niespodziane. A nuż szlachcie się zamarzy okrzyknąć Lotaryńskiego?

Chavagnac się skrzywił.

— Nie żartujcież! — odparł, — co niepodobna, to niepodobna. Mojem zadaniem twarzą pogodną witać złą grę. Patrz książe, jak mój rywal jest tryumfujący.

Chwila była jakiegoś milczenia — okna galerji stały otwarte; z daleka od okopów wiatr przyniósł jakby jakiś szum i wycie. Około szopy szlachta manifestowała się także.

Chavagnac wzdrygnął się cały.

— Trzeba przyznać — rzekł — że ta potwora Apokalipsy, która się zowie tłumem, głos ma wcale nie piękny. Ryczy nawet, gdy się weseli, a cóżby było, gdyby się chciała rozniewać!

Niektóre z pań zadrżały też na odgłos krzyków, dochodzących je od okopów. Sobieska, przypominając, co jej mówił mąż, pobladła, ale kanclerzyna Pacowa niestrwożona odezwała się:

— Szlachta jest w dobrym humorze, to dobrze! Im głośniej krzyeży, tem powniej zrobi, co jej każe starszyczna. Ja się raczej boję mileżenia.

Wtem zahuczało na gościńcu, na pole jeszcze pędził spóźniony biskup chełmiński, Olszowski, ale na widok jego wszyscy odwrócili głowy, panie się pochowały, i minął galeryę, nie mając się komu poklonić.

Przyjaciel Wiśniowieckich! — szydersko syknęła Dönhoffowa, spoglądając z ukosa na stojącego w cieniu ks. Michała. — Podziwienia godna odwaga, że śmie z tem występować.

Wtem weselszy jakiś przedmiot śmiechem wielkim szeptu te zagłuszył.

VI.

Nieodstępnym towarzyszem młodego Paca, który często księcia Michała odwiedzał, był w jego wieku, daleki i powinowaty, Zygmunt Kiełpsz, potomek starej litewskiej rodziny, sierota, miernego majątku, ale wychowany starannie, bo go Pacowie ze swemi synami razem w domu i za granicą kształcili.

Kiełpsz miał wprawdzie parę wiosek w Olszmińskiem, które puszczał dzierżawą, starczyło mu to na przyzwoite utrzymanie, ale obok Paców uchodził za ubogiego. Bardzo milej powierzechowności, paniezykowato wyglądający, po

francusku przebrany, wesół, śmiały, żywy, Zygmunt miał dosyć szczęścia między ludźmi, a szczególnie opiekowała się nim troskliwie pani kanclerzyna.

Łaski tej pani miały naówczas wielkie znaczenie. Niegdyś zachwycająca urodą i wdziękami, Klara Eugenia de Mailly, daleka krewna Maryi Ludwiki, powinowata Kondeuszowi, znakomitego rodu — teraz już trzydziestokilkoltnia, ale jeszcze piękna, a nadewszystko za piękną uchodzić pragnąca, nie mogła rywalizować ze swą przyjaciółką hetmanową Sobieską, ani świeżością, ani blaskiem, ale powagą i wziętością w niczem jej nie ustępowała.

Kiełpsz miał naówczas lat dwadzieścia i kanclerzyna obchodziła się z nim jak z wyrostkiem, ale zazdroszczono mu tej opieki. Zygmusć zresztą miał łaski u wszystkich i starał się wkupić w nie, będąc uprzejmym dla każdego.

Młody Pac przybrał go sobie za przyjaciela, a razem sługę, bo Kiełpsz słuchał jego skinienia, ułatwiał mu, pośredniczył — i rzadko ich widywano osobno, tak, że spotykając pojedynczo, natychmiast się o drugiego dopytywano. Zawistość tę swoją od Paców Kiełpsz zrobił, jako rzecz naturalną, wypływającą z położenia, o wyswobodzenie z niej nie dobijając się. Młody, wrażliwy, bywając często w domu Wiśniowieckich, Zygmunt spotykał zawsze Hełę, a składało się tak, że ona go zabawiała i on się nią zajmować musiał.

Piękność, a nadewszystko rozum i właściwy jej wdzięk, który nie odejmując młodości, nadawał Zebrzydowskiej rzadką w tym wieku powagę, powoli rozmarzyły i zachwyciły młodego Kiełpsza.

Zakochał się w niej szalenie. Miłość ta długo pozostała niepostrzeżoną, on sam się może

do niej przed sobą nie przyznawał, ale z każdym dniem rosła i naostatek stała widoczną. Pac zaczął Helą prześladować przyjaciela.

Było to uczucie bez przyszłości i bez nadziei. Najprzód Hela, mimo grzeczności dla Kielpsza, okazywała się obojętną, potem wiadomem było, że ona nie miała majątku, a Zygmunt był bardzo miernego. Pacowie chcieli go, obyczajem w wielkich rodzinach bardzo pospolitym, ożenić z jaką bogatą, niemłodą wdową, któraby mu wniosła zamożność do domu. Nie mogło więc być mowy o Zebrzydowskiej, nie mającej nie oprócz opieki ks. Gryzeldy, która sama cierpiała prawie niedostatek.

Wszystko to i on sam sobie i Pac mu ciągle powtarzał, a niemniej Zygmunt upierał się rozmiłowując coraz mocniej w wychowanko ks. Gryzeldy.

Zdradzające się atencye młodego chłopaka Helą przyjmowała z widocznym frasunkiem i zakłopotaniem. Była dla niego chłodną, a strzegła się najmocniej, aby grzeczności nawet fałszywie sobie nie tłómaczył.

Nadskakiwania Kielpsza nie uszły i oczów księżnej Gryzeldy, która o swą wychowankę spokojną była, ale radaby ją była widzieć szczęśliwą, może inaczej, a nadewszystko nie rozłączać się z nią.

Naostatek i ks. Michał dostrzegł, że Zygmunt się zalecał i wesoło winszował Heli. Ta się rozgniewała.

— Przepraszam cię, moja kochana Helo — odparł ks. Michał — niema się za co srożyć na mnie. — Kielpsz jest bardzo dobrym, miłym, zacnym chłopakiem i nikomu zaloty jego nie czynią krzywdy.

— Ale nie godzi się grzeczności młodego kawalera zwać zalotami — odparła Hela, bo ani ja jestem do zalotów, ani on o nich nie myśli.

— Dlaczegożby on w ślicznej mojej Heli nie miał się zakochać po uszy? — żartował kuzyn—ja to znajduję tak naturalnem, że gdyby widując cię, nie kochał się, posądziłbym go o ślepotę...

— Nie wiesz, jaką mi tem przykrość czynisz — przerwała Zebrzydowska — obracając w żart... to, co dla mnie jest bardzo smutnem. Ja nikomu żadnego nie zazdroszczę losu, ale bym pragnęła, aby mnie ludzie nie narzucali tego, który moim być nie może. Stworzoną jestem na cichą sługę i pomocnicę, na to, czem jestem przy twojej matce... więcej nie nie pragnę. Dla świata nie mam ani tych przymiotów, jakich on wymaga od swoich, ani mnie on nęci. Jestem szczęśliwą... bez załatów, bez marzeń o małżeństwie. Cóżbym ja komu przynieść mogła?...

— Jużciż przecie kiedyś za mąż wyjść musisz? — zawołał.

— Nigdy — mówiła Hela.

— I Kielpsz ci się nie podoba? — pytał książę.

— Owszem, jest bardzo miły i może bardzo dobry chłopak, gdy wy wszyscy za nim świadczycie—mówiła Zebrzydowska—ale w nim rozmiłować się nie myślę, a jego grzeczności dla mnie wielce mi ciężą.

Książę Michał trzymał stronę zakochanego, dowodził, że należał do bardzo dobrej rodziny, że nie był tak ubogim, jak utrzymywano, a rachować mógł na spadki, na protekcyę wszechmogących na Litwie Paców i na krescycatywę.

— Cóż mnie to wszystko obchodzi, kiedy ja ani za niego, ani za nikogo za mąż iść nie myślę — odpowiadała Hela.

— Ale dlaczego?

— Nie mam powołania do tego stanu — mówiła Hela, spuszczaając oczy. — Czyżbyście się mnie pozbyć chcieli?...

Ks. Michał porwał się zagniewany.

— Mnie o twoje szczęście chodzi — zawołał z gorącością, którą rzadko okazywał — bo nie w świecie przykrzejszemby być nie mogło, nad rozstanie się z tobą. Nie pojmuję życia bez ciebie...

Hela miała oczy spuszczone.

— Nie szukajże dla mnie także innego szczęścia nad to, jakie ja mam dziś i chcę jak najdłużej się niem cieszyć...

— Tak, moja Helo — ciszej rzekł ksiądz — ale przyszłość?...

— Przyszłość — odparło dziewczę — wiem co myślisz. Ty możesz, a raczej musisz się ożenić, ale twoja żona pozwoli przecie, abym ja jej służyła wiernie, jak twej matce. Ja więcej nie wymagam, tylko nie odłączać się od was. Od dzieciństwa przywykłam do tego domu i innego mieć nie chcę, a bardzo skromnym w nim kątkiem się zaspokoję.

Z uczuciem pochwylił ks. Michał wyrywając się rękę Heli i okrył ją pocałunkami.

— Ach! ten świat, te jego wymagania, obowiązki względem imienia i rodziny, wszystko to, co człowieka czyni niewolnikiem, jak to są rzeczy smutno i wstętno. Czemu się od tego uwolnić nie można, gdy kto niema ambicyi, a od losu dla siebie nie pragnie wiele?...

— Nie zapominajcie — poczęła Hela — że kobieta może się wyrzec wszelkiej ambicyi i samostności, a mężczyzna nie, bo jest głową rodziny...

Dajmy temu pokój — niecierpliwie dorzucił ks. Michał — po co przewidywaniami zatruwać sobie chwilę obecną! Będzie co będzie. Gotówbym moje szczęście twojemu poświęcić...

i dlatego łapię Kiełpsza, gdzie mogę, ale w istocie wszystkichbym prędzej porozpędzał, co nam cię odebrać grożą.

Chociaż sam tak na próbę, czy naprawdę protegował Kiełpsza księżę Michał, gdy ten więcej nadskakującym i natarciwym się okazywał, chmurzył się tak, że go można było o zażdrość posądzić.

Nie mógł nie zarzucić panu Zygmuntowi, ale szukał w nim jakichś śmieszności. Znajdował, że zbyt zależnym wisiał przy Pacach. Wszystko to mówił Heli, która uśmiechając się, odpowiadała:

— A przecież zalecałeś mi go?

— Bo ma też i dobre strony, ale właśnie dlatego, że go upatrzyłem dla ciebie, radbym mu wszystkie doskonałości przyswoić.

Rzadko którego dnia nie wspominał o Kiełpszu, a ta usta zamykała.

— Ale dajże mi z nim pokój.

Księżna Gryzelda, którą los wychowanki wielce obchodził, dopatrzywszy się zalocanek Zygmunta, mocno się nim zajęła. Postarała się zebrać wiadomości o rodzinie, stosunkach, majątku i znajdowała, że dla Heli nie byłby — do odrzucenia.

— Hela — zwierzała się synowi — pewno więcej warta; imię Zebrzydowskich samo wiele znaczy, a jej przymioty tysiąc razy więcej jeszcze, ale kto się pozna na tej stokrocie ukrytej w trawie, która główki nad nią podnieść nie chce? Ta dziewczyna, to skarb — niestety! ludzie się na nim nie poznają!!

Ks. Michał na zwierzenia odpowiadał tem, co słyszał od kuzynki, że ona ani za męża, ani z ich domu wychodzić sobie nie życzyła.

— Nie racya to, abyśmy się nie starali o to, co jej przyszłość zapewnić może — mówiła ks. Gryzelda. — Ja nie jestem długowieczną. Cóż

potem? Przy tobie pozostać nie może, chyba gdybyś się ożenił... a narzucać jej żonie twój niepodobna, jeśli się sama na niej nie pozna. Musimy przede wszystkim wyrzucić jej męża. Do kłósztoru, pomimo zamilowania spokoju i pobożności, powołania niema. Ja od dawna staram się i powoli dla niej gromadzę wyprawę...

Podobne rozmowy powtarzały się często, a Kielpaz tymczasem, nie zrażony okazywanym mu chłodem, coraz większą zapalał się namiętnością.

Doszło to do tego, że się nie powstrzymał i przed opiekunką Pacową, która Zebrzydowskić prawie nie znała, wychwalać ją zaczął. Ohudziło to do takiego stopnia ciekawość kancelerzyny, że rzadko odwiedzając ksi. Gryzeldę, dwa razy umyślnie pojechała do niej, aby się lepiej Helę przypatrzeć. Umiała ją wciągnąć w rozmowę, wybiadać, i wprawdę okiem kobiety na wielkim wychowanej dworze, oceniła ją jak zasługiwała...

Ma w sobie wszystko, co by z niej mogło uczynić bardzo znakomitą panią; ale jest uboga — bez rodziny, trudno, aby w towarzystwie dobili się należnego stanowiska. Nie dziwi się Zygmuntowi, że mu głowę zawróciła, choć ani on dla niej, ani ona dla niego. Kielpazowi potrzeba majątku, jej także... ubodzy, musieliby się na wsi zakopać... Nie każdy znajdzie Władysławów, jak Kazanowscy. Myślimy dla Zygmunta wiele uczynić gotowi, ale mu fortuny dać nie możemy. Kto ma dziś dosyć?

I kancelerzyna usiłowała wybić z głowy protegowanemu Helę. Biedny chłopak milczał, było to nad jego siły. Szukał wszelkich możliwych środków, aby się dostać do dworku Wiśnitowieckich i choćby spojrzeć na Helę. Pac zauważył, że się stał nawet z tego powodu pobożnym, bo wyśledził, w którym kościele ksi.

Gryzelda z wychowanką bywały i łapał je u kropielnicy, przy wyjściu, a potem odprowadzał na Miodową.

Widząc go za każdym razem, Hela rumieniła się, zbywała go często milczeniem upartem, ale to go nie zrażało. Przeciwnie ks. Gryzelda, która rachowała na protekcję Paców, na opiekę kanclerzyny, a nie dla Heli lepszego nie widziała, starała się Kiełpsza pociągnąć, ośmielić, zapraszała go, dawała małe polecenia.

Kiełpsz, który jej był za to niewymownie wdzięcznym, korzystał chciwie z uprzejmości ks. Gryzeldy. Wykładał się z odwiedzinami, siadał i przesiadywał przy krosienkach Heli i stoliczku staruszki, przynosił nowiny i skrypty, słowem nie wahał się okazywać, że konkurował o łaski panny.

Ale im on się stawał natarczywszym, tem Zebrzydowska zimniejszą się być starała. — Ostrożnie napomykała księżnie, że — możeby nie należało tak często przyjmować Kiełpsza.

— Cóż ci to szkodzi! — odpowiadała uśmiechając się staruszka — ja go dla siebie, nie dla ciebie zapraszam, bywa tylko przy mnie... Nie zaleca się tak, aby ci to mogło czynić ujmę... Ja go bardzo lubię i dziwię się, że ty go ocenić nie umiesz.

— Ale, mamuńciu — przyklękając przed staruszką, mówiła Hela — ja mu oddaję sprawiedliwość — jest z młodzieży może najprzyjstojniejszym — po księciu Michale, ma tylko tę wadę, że się chce zalecać, a ja tego nie lubię.

Za każdym razem księżna Gryzelda kończyła taką rozmowę długim wywodem konieczności zabezpieczenia się na przyszłość.

— Moje dziecko — mówiła — gdy się znajdzie człowiek zacny, uczciwy, który się gorąco przywiąże, nie potrzeba go zrażać. O ludzi nie łatwo... Choćbyś nie miała serca do niego —

trzeba się przyzwyczajać... oswajać... przywiązanie się znajdzie... a ja dla ciebie życzę całym sercem Kielpsza.

Ale ja wcale za mąż wychodzić nie myślę — powtarzała Zebrzydowska.

To dziwactwo — mówiła żalująca ją ks. Gryzolda — za mąż iść jest przeznaczeniem naszym! Choćbyś nie chciała, musisz... Klasztor ci się też nie uśmiecha.

Ach! — kończyła Hela — z dwojga złego jużbym wolala prawió klasztor, niż zamążpójście przeciw sereu i przeciw woli.

Świadek tego oporu, ks. Michał, w końcu przed matką brał stronę kuzynki.

Jeżeli się jej Kielpsz nie podoba — mówił — i za mąż iść nie chce, pocóż ją zmuszać?

Nie zmuszam jej — tłómaczyła się stara księżna — ale... zostaw to mnie.

Miała wielką pobudkę do tego troskliwa matka, że tak uporeczywie Helę nawracała. Oka jej nie uszło to, o czem ani Hela, ani ks. Michał sami nie wiedzieli, do czego się nie przyznawali przed sobą. Ks. Gryzolda widziała rodzącą się miłość syna dla wychowanki i jej uczucie dla niego. Napęłniało ją to obawą; nie lękała się żadnego ze strony obojga zapomnienia się, ks. Michał był statecznym, pobożnym i surowych obyczajów młodzieńcem; Hela dziewczęciem zbyt panującym nad sobą, aby im groziło niebezpieczeństwo, ale coraz bardziej przywiązując się, nawykając do siebie — mogli w końcu dojść do tego przekonania, że bez siebie żyć nie podobna — a Michał mógł zapragnąć się z nią ożenić.

Naówczas cała przyszłość jego byłaby złamaną — wszystkie nadzieje matki w niweczby się obróciły. Marzyła dla niego jakąś Zasławską księżniczkę, Lubomirską lub dziedziczkę ogromnych włości.

W ten tylko sposób dawny splendor domu mógł się podźwignąć. Wmawiała to często ks. Michałowi, który słuchał milczący, ale wcale się nie przejmując.

Widząc jak te dwie drogie jej istoty, kochały się, jak dla siebie zdawały się stworzone, jak Hela doskonale sobą dopełniała to, czego Michałowi brakło, matka smuciła się, iż los skazywał ich na rozłąkę; lecz teraz ona była głową rodziny, a nie mogła poświęcić jej dla szczęścia jedynaka... Wiśniowieckich imię i ród wymagały ofiary.

Wprzódby może, niż które z nich uczuło, że braterskie ich przywiązanie wcale inny przybiera charakter, nim ręka Heli zadrżała, dotknięta przez Michała, nim wejrzenie jej sięgnęło mu do głębi duszy, matka przewidziała tę nieuchronną ostateczność.

Jedynym środkiem zdawało jej się wydanie za mąż wychowanki, a nikt się nie nastroczał oprócz Kiełpsza. Musiała mu więc być pomocą.

Ks. Michał miał nawet zbytnią tę troskliwość za złe matce.

Przyjmowany bardzo mile przez ks. Gryzelę, pod pozorem, iż nowiny elekeyjne przynosi, pan Zygmunt codziennie już zachodził do księżnej... Gdy z okopów nie było nic nowego do ofiarowania, ratował się Kiełpsz powtarzaniem tego, co słyszał u kancelerzyny.

Zbierało się na wezwanie posłów od kandydatów, a pierwszym miał być kondeuszowy, gdy zrana wpadł Kiełpsz, zastając jeszcze ks. Michała przy śniadaniu, któremu matka i Hela tylko asystowały.

Kawa wprawdzie znaną już była naówczas i jako osobliwość, przywożono ją ze wschodu, gotowano, podawano, ale się w niej nikt nie kochał, a mężczyźni pili winną polewkę, piwo

grzane, albo jedli coś posilniejszego. Ks. Michał, który lubił jeść, właśnie był dwie miski opróżnił, gdy Zygmunt zjawił się na progu, z twarzą mocno ożywioną, zmęczony i zadyszany.

— Przybiegam tylko na chwilę — zawołał — aby oznajmić, że w okopach jakaś się na dziś gotuje burza... Książę Michał pewnie zechce być na stanowisku, ja także. Potrzeba pośpieszyć, bo rozprawa dziś szlachty z senatorami będzie żywą i stanowczą.

— Skądże o tem wnosicie? — zapytała ks. Gryzelda.

— Mam świeżuteńką wiadomość od okopów — mówił Kielpsz — przez Gintowta, który wprost stamtąd przybył, aby dać znać Radziwiłłom... Szlachta kilku województw zdaje się gotować formalny rokosz. Kupy się gromadzą, szopa otoczona, burza wre. — Wszysey mówią, że to wymierzone przeciwko Konduszowi.

— Przez kogo? — wtrąciła księżna.

— Bóg wie, bo tego zrozumieć nie można, do wieczora szala się przechyli i zagadka rozwiąże.

W tej chwili wchodzący książę Michał, który już na koń siadać był gotów, nie dał się nawet zbliżyć Zygmuntowi do Heli. — Potrzeba było w cwał pośpieszać na pole pod Wolę, aby być świadkami tego, co się tam odbyć miało.

Całując w głowę syna, matka nieznacznie krzyżyk mu zakreśliła nad czołem, młodzi panowie pożegnali się i wybiegli w ulicę, śpiesząc ku Woli.

Na gościńcu nie widać już było ani kolas pańskich, ani pocztów, ani opóźnionej szlachty, z miasta do okopów pośpieszającej — wszysey musieli być już na miejscu.

Już w dość znacznej odległości od szopy i okopu ks. Michał usłyszał wrzawę i huczenie tłumów, z pośrodku którego piskliwe krzyki wyrwały się niekiedy. Gdy się zbliżyli, widok, jaki się ich oczom stawił, nie dozwalał wątpić, że tu jakaś katastrofa się gotowała.

Szopa stała obleżona niepoliczonym tłumem szlachty, tak rozgorączkowanym, jak gdyby tuż na szablach miał roznieść osaczonych senatorów.

Ks. Michałowi i Kiełpszowi już by się nie dało pewnie bliżej szopy docisnąć, gdyby się nie trafił na drodze Gorzeński, znajomy księciu, który dopomógł mu tak dzielnie, iż konie oddawszy sługom, i za nim się przedzierając, dotarli aż do słupów i mogli wejrzeć do środka. Tu potrzeba było całych sił młodych ludzi, aby się oprzeć naciskowi fali tej ruchomej, która gdzieniegdzie tak szopę oblegała, że słupy jej trzeszczały.

Zewnątrz i wewnątrz — było na co patrzeć... Przy stole ogromnym na krzesłach i ławach, mając w pośrodku siebie bladego jak trup prymasa, siedzieli potrwożeni senatorowie i biskupi... Na twarzach ich malował się przestach niewysłowiony. Prażmowski drżącemi rękami ocierał pot z czoła, inni szeptali niespokojni, rzucając oczyma ku żywym ścianom otaczających. Nie było prawie jednego między nimi, któryby tej burzy, jak orkan strasznej, śmiał stawić czoło... Nie wrzawa, ale ryk dziki rozlegał się nieustannemi wybuchy, wśród których trudno było głosy pochwycić. Szczęk szabel podobianych z pochw, którymi nad głowami wywijając, szlachta ciągle uderzała... był jakby towarzyszeniem muzyki do tej pieśni szalonej.

Z senatorów żaden nie mógł przyjść do słowa; śmielsi podnosili się, prosząc o głos, ale zahukiwano ich wrzaskiem.

Oswoiwszy się dopiero z tą wrzawą, ks. Michał mógł zrozumieć pojedyncze wykrzyki.

— Precz z Kondeuszem! precz z przekupionami!

Jeden z biskupów powstał, ręce rozpostarł, podniósł je ku niebu—ale nie ubłagał milczenia — powtórzono:

— Precz z Kondeuszem! Ekskludować Kondeusza! Precz z Judaszami! precz ze zdrajcami!

Gdy prośby senatorów nie nie mogły na rozwścieczonym tłumie, szlachta po za szopą zebrana, zaczęła sama sykać, domagając się milczenia, które nie rychło, powoli... zaczęło się od uśmierzenia bliżej stojących i poszło potem w głąb tłumów... Szmer tylko głuchy i szczeł szabel nie ustawał...

Wtem po za szopą, podniesiono na rękach barczystego mężczyznę, a ten pomimo wielce niewygodnego na rękach panów braci umieszczenia, rozpoczął mowę.

— Jawnem to jest — mówił — i nikt się z tem nie kryje, wszyscy wiedzą, że Kondeusz ludzi i głosy zakupił... Stała się zdrada i świętokradzkie przysięg złamanie... Ojcowie to ojczyzny dopuścili się tej simonii... — sprzedali sumienia... Kondeusz ich kupił i taki nie może być królem naszym. Pocznie się to panowanie od frymarku, a skończy na zdradzie i sprzedaży ojczyzny. Precz z Kondeuszem, ekskludować Kondeusza!!

Senatorowie siedzieli jak niemi. Ze szlachtą do tego stopnia rozszalałą, nie było już sposobu ani traktować, ani ją chcieć uspokoić, ni przekonać.

Nikt prawie nie czuł się tu czystym w sumieniu, a z wyjątkiem niewielu twarzy, z których jeszcze duma i gniew buchały, reszta

wybladła i zmieniona zdawała się błagać o miłosierdzie.

Prymas drżał tak widocznie, słabł, oglądał się z taką trwogą ku tym brzękającym szablom, jak gdyby nadeszła ostatnia godzina.

W tej chwili potrzeba było może tylko jednego szalonego wybryku, aby się krew polała i szopa napełniła trupami. Tłum się upajał swoją potęgą, mruczał, groził, miotał — czuł silnym i nie myślał ustąpić, żadne błaganie nie mogło go zmusić do milczenia.

Pomimo wojskowej straży, która wejścia do szopy strzegła, deputacya szlachty wparła się do środka.

Sami tworząc tych wysłańców, mogli spotęgować trwogę; byli to ludzie zrozpaczeni, niepamiętni na nic, szli ku starcom i ojcom duchownym, na pół zmartwiałym na krzesłach, jak ludzie, co prawo dyktować mieli.

Najmniejszej oznaki względności i poszanowania dla dostojęństw nie okazywał z nich żaden. Czuli się wysłańcami tej siły pięści, która nie szanuje nic, a wszystko gruchocze.

— Precz z Kondeuszem! precz z Kondeuszem! poczęli krzyzczeć wysłani, z których jeden się zuchwale przybliżył i stanął nad prymasem tak, że starzec poczuł oddech jego piekący na sobie.

Prażmowski odwrócił się do niego.

— Na Boga! dzieci moje! co czynicie! — jęknął głosem osłabłym.

— Niema tu dzieci, jest naród, który przychodzi się upomnieć o poszanowanie przysięg i prawa, i woła na was, domaga się, nakazuje.

— Precz z Kondeuszem!

To mówiąc — gdy mu ogromny chór zawtórował — dokończył palcem, wskazując na arkusz papieru, leżący na stole.

— Ekskluzya Kondeusza!

Struchleli senatorowie milezeli, prymas drżał i dygotał jak w febrze, chwytając rękami suknię ku sobie, oczyma rzucił, błagając łitości — a niemilosierne — „precz z Konduszem,» wrzało nad nim.

Prażmowski chciał zwłec, rachując na to, że później usposobienie to się zmienić może, iż się burza zażegna, spoglądał więc na swych pomocników i filary konduszowego stronnictwa: na kanclerza Paca, Sobieskiego, Morsztynę; ale żaden z nich nie dawał znaku najmniejszego — nadziei.

Pac dumnie spoglądał, zagryzłszy wargi, na dach szopy i belki. Sobieski stał, węża kręcąc, z czołem pofalowanym. Morsztyn zdawał się sam z siebie i ze wszystkich uragać. Nie było środka — musiano uleść.

Szlacheć sięgnął po papier i podsunął przypadkiem siedzącemu blisko biskupowi chełmskiemu, Olszowskiemu.

— Proszę... z ekskluzywą Kondusza, krzyknął zuchwale, a nie, to my ją szablami pisać będziemy i nie atramentem... ale krwią.

Olszowski natychmiast wziął się do pióra — tem swobodniej, że do konduszowych nie należał. Szlacheć za nim stojąc, oczyma po papierze chodził za piórem, każde słowo śledząc — aż do końca. Niedając nawet zaschnąć inkau-stowi, porwał arkusz i poniósł go, rzucając przed prymasa.

— Podpisujecie! — zawołał nakazująco.

Prażmowski już się nie namyślał, szło mu teraz tylko o wyrwanie się ze szpon szlachty, środków przeciwko temu gwałtowi obiecywał sobie szukać później. Salwował życie, choć mu się ręka tak trzęsła, że trudno nią było nakreślić nawet tych kilka liter, podpisał się — a pismo poszło od niego do panów kanclerzy, którzy mileząc, musieli iść za przykładem prymasa.

Wszyscy też oni to, co on myśleli. — Byle się z okopów wydobyć! — Znajdziemy środek, aby tę ekskluzyę uczynić nieważną.

Wkrótce cisnąć się zaczęli senatorowie i wyprzedzać, aby co prędzej z pod szopy się uwolnić — chociaż wyjść z niej teraz jeszcze niktby był nie mógł, taka ciżba zbita, usiana, stała dokoła.

Akt napisany okrył się podpisami, prymas wstał, szukając oczyma krucyfera, kapelana dworu, ale do tego tłum się dostać nie dozwalał.

Tymczasem szlachcie wyszedłszy z pod szopy z arkuszem i nad głową go unosząc — krzyknął do stojących braci.

— Kondeusz ekskludowany!

Ogromny okrzyk radości powitał to zwycięstwo tysięcy.

Senatorowie w szopie stali zamknięci jeszcze, nie mogąc się wydobyć. Lękali się mówić i naradzać, aby nie śmignąć oczów. Prymas, który był blady i trząsł się przed chwilą, odzyskiwał nieco ducha, burząc się gniewem. Krew biła mu do głowy.

Upokorzonym czuł siebie i godność swą prymacyalną! On! vice-rex! zmuszony przez oszarpaną gawiedź do zadania kłamu, do potępienia samego siebie.

Na innych twarzach wyraz ten złości mniej był widoczny, ale całe koło czuło i wiedziało jedno — to, że szlachta zwyciężyła i zuchwała, teraz skorzysta pewnie z tryumfu.

Nie rychło dworzanom prymasa i wojskowym hetmana udało się z głównego wyjścia szopy rozdzielić ciżbę — i panom swobodną utrować drogę. Lecz w porównaniu z tem, jak przybywali — co za zmiana!! Było to coś jak sen, któremu się wierzyć nie chciało.

— Zrana Kondeusz był pewnym tronu — teraz — wszystko przepadło... szeptali między sobą senatorowie.

— To sprawa Lotaryńskiego, to ten lis układny, Chavagnac!

Drudzy posadzali Neuburskiego, inni składali to na jakąś piekielną kabałę. Sobieski zagrożony był w myślach, jakby gmach cały złudzeń runął na niego i przywalił go.

Gniewy panów musiało zwiększać i to, że naokoło szopy panowała radość, okrzyki, śmiechy, które paliły nieszczęśliwych. Chęć zemsty rodziła się w sercach przeciwko szlachcie.

Prymas ile razy mówić zaczął, płatały mu się wyrazy, jękał się, nie nie kończył ze wzruszenia.

Siadano do kolebek, na konie, jakby dla towarzyszenia pogrzebowi. Prażmowski kazał swoją kolebkę frankami zapuścić dokola, aby jego nikt i on nikogo nie oglądał.

Wieść o ekskluzyi błyskawicą z pod okopów poleciała do Warszawy, a po drodze obila się o pawilon kanclerzyny—ale Pacowa krzyknęła z oburzeniem:

— *C'est un mensonge infame!*

Hetmanowa łamała ręce.

Gdy drugi i trzeci z podjeżdżających, potwierdzili wieść pierwszą, Pacowa wpadła w rodzaj szału. Musiano ją trzeźwić, uspakajać kroplami, a że Chavagnac przypadkiem się znajdował tam właśnie, na niego spadły gromy.

Poprzysiągł, że o niczem nie wiedział.

Oczekiwano hetmana i kanclerza, aby się od nich o czemś więcej dowiedzieć. Pierwszy nadjeżdżał Sobieski i choć z posępną twarzą zsiadł z konia, nie okazał po sobie zbyt wiele rozpaczy. Miał już czas wiele rozważyć.

— Ale cóż się to dzieje?... ale to nie do wiary... ale jakżeście mogli pozwolić na to?

Kancelarz i Sobieski długo szli milczący, chcąc zapewne oba wyręczyć się sobą. Pac wybuchnął naostatek.

— Nikczemna, podła intryga! wszystko było ukartowane! Rozbój na gładkiej drodze. Prymas stracił przytomność, on zgubił wszystko. Mógł się oprzeć. Złął się tych szabel brzęku. Przecież szlachta by arcybiskupa nie tknęła! On! on! niepojętym czynem zgubił sprawę i nas.

— Więc się do szabel rwano?—krzyknęła Pacowa.

— Ba! ba!—rzekł kancelarz—mieliśmy ich tysiące nad głowami dobytých, a jeden zbój ks. Olszewskiemu do ucha wrzeszczał:

— Pisz, bo my szablami pisać zaczniemy i nie inkaustem, ale krwią.

Kobiety oczy sobie pozakrywały.

Hetman milczał, zbliżywszy się do żony, na którą patrzył z politowaniem.

— Prymas — rzekł ~~pożekawszy~~ ~~pożekawszy~~ nieco — złął się, co prawda, ale dziwować się nie można, bo my, co znamy związki wojskowe i ich zuchwalstwa, wiemy, co może taki tłum, gdy się upoi! Nie są to żarty! Szlachcie dobry i miękki, jak воск, gdy w domu siedzi, ale w polu i w kupie... wolałbym z niedźwiedziem i dzikiem mieć do czynienia.

Chavagnac, który napadnięty, zmieszał się i zarazem potem dla informacji odjechał, już nie przeszkadzał mówić otwarcie. Zaczęto więc badać przyczyny tego rozjątżenia, przypisując wszystko Lotaryńskiemu, ale i Neuburskiego z cesarzem można było posądzać.

Z całego towarzystwa, znajdującego się u kancelerzyny, nikt nie myślał głosować za Neuburskim. Z musu zwracano się ku ks. Lotaryńskiemu, roztrząsając już, jak się z nim mogły układać sprawy Rzeczypospolitej.

Stronnictwu Kondeusza pozostawało oprócz tego zadanie trudne, wytłómaczenia się, uniewinnienia. Katastrofa przychodziła tak niespodziewanie, tak dziwnie, iż wczoraj jeszcze wysyłano kuryerów z zapewnieniami o wyborze niezawodnym — dziś zaś musiano oznajmić, że nagle runęła ta budowa, nad którą Marya Ludwika pracowała, którą pomagał wznosić Jan Kaźmirz, a wysypano na nią krocie.

Zaufanie, jakie przewódcy stronnictwa francuskiego mieli u tamtejszego dworu, musiało runąć. Sobiescy, którzy budowali niemal przyszłość swą całą na spodziewanych łaskach, Marya Kaźmira, która dla swej rodziny potrzebowała tam opieki, była w rozpacz. Kazała zaraz zachodzić karecie i chora odjeżdżała do miasta. Wrażenie wypadku było niezmierne, ale ci, co na elekcję nastawiali, aby na niej coś zyskać, nie potrzebowali długiego czasu do namysłu i tegoż wczoraj byli już u Chavagnaca, który odżywiony nadzieją, rozweselony, przyjmował nieustannie gości napływających.

Przypomniął on sobie owego szlachcica, o którym nikomu nie wspominał i w duchu powiedział sobie, że w Polsce ani ludzi ocenić, ani zrozumieć obcemu nie było podobna.

Więc szlachcic dotrzymał słowa! Intrygę całą przypisano, naturalnie, Chavagnacowi, a nadto mu to pochlebiało, aby się wypierał zbytecznie.

Teraz z kolei wybór Lotaryńskiego zdawał się pewnym i potajemny kuryer pobiegł z tem do Wiednia nocą.

Chociaż i Neuburski coś na tem zyskiwał, o szczebel stając wyżej, nie łudził się nikt jego wyborem. Jedni Radziwiłłowie z częścią Litwy gotowali się dać mu głosy.

Wszędzie pogłoska o upadku Kondeusza

uczyniła wrażenie ogromne. Ale każdy to inaczej tłómaczył.

Ks. Michał, który w czasie burzy znajdował się ze szlachtą sandomierską po za szopą, świadkiem był niemym i biernym tego dramatu, który w nim niesmak obudził.

Przetrwał cały ten zamęt, stojąc razem z Kielpszem na koniu, nie mieszając się do niczego, dotrwał do końca, a potem dość apatycznie zawrócił do domu. Kielpszowi chwilami krew szlachocka w żyłach kipiała, lecz umiał się trzymać na wodzy. Później, gdy zobaczył kancлера, który szedł jak z krzyża zdjęty, żał mu się go zrobiło.

Pod miastem rozstali się z ks. Michałem, który wróciwszy do matki, znalazł ją jeszcze zupełnie nieświadomą wypadku, a gdy opowiadać zaczął, sądziła zrazu, że z niej żartuje.

Nawet w zimnym opisie ks. Michała, wypadki dnia tego groźnemi się wydawały, a ks. Fantoni, który zjawił się tu wkrótce — nie wahał się z dnia tego wyciągać następnie wnioski najgroźniejsze.

— Teraz już nie a nie przewidzieć nie można — mówił kustosz — szlachta zwycięska nie da sobie narzucić nikogo, wybierze po swej myśli i może panom na przekorę zrobić wybór najdziwaczniejszy.

Wszysey ręką już za Lotaryńskiego, a ja czuję, że umyślnie go pomina. Gotowi wybrać Polanowskiego.

Na zapytanie kustosza, gdy ks. Michał ożywiwszy się nieco, opisywać począł obłęzenie szopy, przerażenie prymasa, wtargnięcie deputacyi do senatorów i dyktowanie im ekskluzyi, wrzawę tę rokoszową — wszysey się wzdrygali ze zgrozy i strachu.

— Znam naszego arcypasterza — dodał kustosz — próżno i myśleć, ażeby on zdał się tak

pobity i zwyciężony na łaskę lub niełaskę. Jestem pewnym, że jutro rozpocznie walkę, że się szlachta rozbije może, a elekeya wśród zamętu przedłuży. Prymas się uląkł, ale właśnie za to się na wszystkich mścić będzie...

We dworku ks. Gryzeldy uczyniło to smutne wrażenie. Elekeya zmuszała ks. Michała i matkę do wydatków, na które ciężko było starczyć.

Z drugiej strony wybór Lotaryńskiego, kandydata rakuskiego, o którym już mówiono, że mu arcyksiężniczkę Eleonorę przeznaczono, jeśliby był królem—pomyślnym się zdawał dla księcia, który miał zachowanie u cesarza i stosunki na dworze.

Tylko kustosz, składając ręce i oczy podnosząc do góry, szeptał:

— Za nic nie ręczyé! Okrzykną Polanowskiego!!...

VII.

Nazajutrz dopiero szlachta swem zwycięstwem upojona otrzeźwiała się i rozmyślać poczęła — co dalej?

Tryumf wczorajszy był wprawdzie wielkiego znaczenia, ale nie przygotowano się poważnie, jak korzystać z niego. Pomiędzy senatorami a — ludem, jak szlachtę ową małą zwano — rozbrat był zupełny, lecz starszyczna wiedziała, dokąd szła i co miała na celu, a ów lud ślepo i namiętnie kroczył na przekór.

Nie stało Kondusza i znienawidzonych Francuzów, ale nie było go kim zastąpić.

Ci, co w myśl ks. Olszowskiego życzyli Piasta, nie wiedzieli jakiego wziąć, chcieliby go

szukać między panami — a to im było wstrętem, okrzyknąć zaś takiego wojaka w wytartym kubraku, jak Polanowski, śmiesznem się stawało... coby na to świat powiedział?

Lotaryński, rycerski pan... tak z francuska wyglądał im, jak Kondeusz.

— Nie kijem go to pałką! — wołał Piotrowski. — Ta tylko między dwoma różnica, że za Kondeuszem stała Francya, a za Lotaryńskim Rakuszanie występują.

U okopów nazajutrz panów widać nie było.

Prażmowski, już ochłonawszy, ale mściwy i przewrotny, a razem tehórzliwy, wołał miotając się po mieszkaniu wśród dworu i przyjaciół.

— Gdzie szablami dzwonią nad głowami, nie nasze miejsce! Jak sobie posłali, tak niech śpią, my tam niepotrzebni.

— Pozwolisz mi W. Eminencya uczynić sobie tę uwagę — zamruczał kanclerz — że do proklamowania króla, pod absencyę waszą dobrowolną, oni sobie innego biskupa znajdą, a ks. podkanclerzy jest na pogotowiu!

Gdy u Jezuitów, u Bernardynów po refektarzach w Warszawie odbywały się burzliwe senatorów narady — co poczynąć, prymasjechać na pole nie chciał, inni się też ociągali — a pod okopami szlachta chodziła namarszczona, groźna, ale zakłopotana również jak panowie.

Odgrażano się: — Sami sobie króla obierzemy! — Ale do skutku doprowadzić pogrózkę nikt nie miał odwagi.

— Czekajmy! — dodawali kunktatorowie — Ichmoście się namyślą, że nas więcej jest i że bez nas do końca nie trafiają.

Oczekiwano więc, ale od Warszawy nikt nie widać nie było, oprócz wysłanych na zwiad. Ci donosili:

— Naradzają się, wzajem sobie czyniąc wyrzuty... ale koni zaprzęgać, aby do okopów jechać, ani myślą.

— Cheą nas tak ichmość panowie starsi bracia skarcić — mówił Piotrowski, siedząc na opróżnionej beczce od piwa — aleby się powinni rozmyśleć, że my sobie na ich miejsce ludzi dobrać potrafimy, a oni bez tego tłumy, na który pluja, nie stąpią kroku. Jutroby im jednego dworzanina niestało, gdybyśmy krzyknęli na naszą młodzież: — Kto im służy to zdrajca!...

Wśród trochę ostygłych po wczorajszem rozgorączkowaniu gromad, które już się na nowo rozpalać i podżęgać zaczynały, Gorzeński, Korycki, Moczydło, wysłani po zasięgnięcie języka przez prymasa, Pacy i Sobieskiego, krążyli z rękami na plecy założonemi i przysłuchiwali się.

Gorzeński pierwszy przesznurkowawszy po województwach, powąchawszy tu i owdzie, czem ta rebelia wczorajsza pachniała, siadł na szkapę i pokłusował do miasta do OO. Jezuitów i prymasa. Jechał biedaczysko z głową zwieszoną, bo mu się to wszystko nie podobało, a wypadek był, jak się Francuzi wyrażali, bez precedensów, to jest bezprzykładny.

— Tego związki wojskowe nauczyły — szemrał Sobieski, a prymas dodawał:

— Mogli rozsiekać hetmana... potrafią i biskupa męczennikiem uczynić...

Wśród rozpraw tych nadjechał z raportem Gorzeński, z nosem tak zwieszonym, iż ani go pytać było potrzeba, co przywoził. Miał to wszystko wypisane na czole.

— A co? — zapytał prymas.

Gorzeński ramionami poruszył.

— Mówią — poczekamy mało, a nie zechcą

oni do nas, my do nich nie pójdziemy, obojdziemy się bez prymasa i hetmana.

Wszyscy panowie spojrzeli po sobie i milczeli.

— A lękać się znowu tego brzęku szabel dodał Gorzeński obracając się do prymasa — lękać niema czego. Hałas duży... a w rzeczy, to pusta wrzawa. Głos podnieść łatwiej, niż rękę...

Panowie naradzali się oczyma, prymas się ociągał. Nie tyle już może obawa katastrofy, co srodze obrażona duma, wstrzymywały go. Wczoraj on — interrex-prymas, najwyższy dostojnik duchowny państwa, którego tron biskupi dawniej malowano na równi z królewskim — on! musiał drżeć przed kubrakami. Tego im darować nie mógł. Gdy sobie przypominał strach własny, bladł z gniewu i upokorzenia.

Zemścić się, choć to uczucie kapłanowi i biskupowi nie przystało wcale, zemścić się, było jedynem jego pragnieniem...

W samym charakterze tego człowieka... leżało rozwiązanie zadania, jakby tylko ostygł i zapanował nad sobą — Prażmowski musiałby poddać się pozornie, uniżyć... i zdradę potem, a spiskiem zapłacić.

Przebaczyć! ani umiał, ani mógł... w starcu nadto jeszcze zepsutej krwi kipiło...

Co teraz we Francji mówiono o jego zaręczeniach uroczystych, co myślano o jego znaczeniu, jak się tam wyśmiewać musiano, lub o oszukaństwie go obwiniać! Tego przebaczyć nie mógł także...

Tak dzień cały upłynął w niepewności, ale od okopów przyszła wieczorem przez różne usta jedna rezolucya szlachty.

— Nie przyjedzie prymas i przekupieni koryfousze, obojdziemy się, dali Bóg i bez nich...

Prymas obawiał się podkanclerzego, że gotów był na wszystko.

Gdy późno już kilkunastu z województw ichmościów, niby *proprio motu*, stawilo się do prymasa, i poczęli radzić, a prosić, aby się nie absentował, Prażmowski był już przygotowanym.

Przybrał postawę smutną, bolejącą, a rozczuloną, łzy mu stawały na powiekach.

— Dzieci moje— odezwał się czule do posłów—ja wam, ojczyźnie i sprawom tej Rzeczypospolitej do tchu ostatniego służyć jestem gotowy. Siły mi dziś nie dozwoliły dojechać, smutek wielki przygnębiał. Modliłem się... aby Bóg zesłał opamiętanie i pokój...

Naznaczono dzień do posłuchania Neuburskiemu, pościągali się rozproszeni... Szlachta stała zimna, szyderska, cierpliwa.

Neuburski tak nędznie i niepokaznie wystąpił, że w szeregu powozów jego, dwie kołebki, które Sobieski z urzędu posłał od siebie, jako marszałek, najwięcej się odznaczały, a orszak hetmański o wiele i liczbą i blaskiem przechodził poselstwo, z którego się otwarcie naśmiewano. Sam pono poseł, który musiał go zalecać, czuł i widział, że się to na nic nie zdało... panowie senatorowie nie słuchali, myśląc o czem innem—tłum drwił i śmiał się...

Drugiego dnia kolej przychodziła na Lotaryńskiego... Hrabia Chavagnac zręczny, przebiegły, umiał ze wszystkiego korzystać.

Z rozbitej nawy Kondeusza, co tylko na brzeg dało się wyciągnąć—zagarnął. Umysły panów, nie mając się już do kogo skierować, skłoniły się ku ks. Lotaryńskiemu. Wielu mówiło za nim młodym był, rycerskiego usposobienia, obiecującym, przyrzekał ostatnią kroplę krwi wylać w obronie Rzeczypospolitej reku-perować awulsa! Wiedziano, że rakuską miał

opiekę i poparcie. Możeby to mu przyjaciół nie przyczyniło, ale gdy zewsząd groziła wojna, a szczególnie od wschodu, przymierze z cesarstwem do pogardzenia nie było.

Rozprawiano o Lotaryńskim, który też, choć się mierzyć nie mógł rozsypkami pieniędzy z Kondeuszem, okazańniej i zamożniej się stawiał.

Wjazd hr. Chavagnaca nie czynił mu wstydu; oprócz karet Sobieskiego, miał własnych cztery pozłocistych i świeżym aksamitem poobciąganych, a wewnątrz powyścielanych adamaszkami i lamami. W karetach jechał dwór hrabiego, strojny, błyszczący, wesóły. Barwa domu lotaryńskiego, w której występowała zielona ze złotem, połyskiwała i na służbie, której po dwunastu przy każdej jechało karecie.

Sznur ten umiejętnie i umyślnie przedłużony, wyciągał się na przestrzeni dosyć znacznej. Karety szły w pewnych odstępach od siebie, dalej jechali paziowie konno, kapiący od złota, a za nimi dwudziestu masztalerzy z czubami piór szkarłatnych, białych i zielonych. Prowadzono nawet konie paradne pod szytymi dywdykami... słowem, wjazd wcale się okazywał niczego... Szlachta mu się przypatrywała, szczególnie na konie zwracając uwagę, które jedni chwalili, drudzy w nich wad szukali... Wieczorem, gdy się te zalecanki kandydata skończyły, a szlachta rozeszła po obozie, namiotach i szopach, można było słuchając sądzić, że Lotaryńczyka wybiorą.

Z Neuburskiego wprost się wyśmiewano, nic go nie zalecało; za Lotaryńskim mówiło wiele, szczególnie zaś to, że pod ręką innego nie miano kandydata, a Piast... choć się uśmiechał im... innym wydawał się mrzonką.

Naradzano się, ziewano, a *Vox populi*, domagał się — końca.

Po tym wybuchu dawało się czuć znużenie, jak po wysiłku każdym. Tu i owdzie powtarzano:

— Do domów!... Św. Jan, kosowica, terminy. Żony nakazywały przez posłańców do mężów, aby wracali.

Tymczasem znowu prymasa i panów w okopach widzieć nie było... Prażmowski się zżymał.

Późnym wieczorem Sandomierzanie i Kaliszanie zgromadzili się i postanowili wyprawić do prymasa *ultimatum*.

— Nie zechcecie ichmość do nas! Bóg z wami, sami sobie rady damy, wybierzemy i proklamujemy... bez was...

Znowu tedy uląkł się Prażmowski. Paru deputatów kazał winem częstować, a tego się nie odmawia i u nieprzyjaciela; wyszedł do nich w komeżce, w półuroczystym stroju... łagodny jak baranek, namaszczoney, pobożny, serdeczny. Co słowo powtarzał:

— Moje dzieci!! i zapewnił, że stawi się na żądanie ichmościów.

— Raz to skończyć trzeba — przemówił przewodca poselstwa — szlachta się wyjadła, zmęczyła, pochorowała, przeszło miesiące darmo w polu stoi. Dobrze panom pod dachami i z kucharzami, a nam deszcz za kołnierz się leje i często o szklance piwa z suchą grzanką cały dzień trzeba pościć...

Poszło tedy wieczorem wszędzie jednym głosem: —Jutro króla okrzyknjemy!

Kogo?! Większa część myślała o Lotaryńczyku, innym było to prawie obojętnem, boć szlachta już raz zwycięstwo odniosła.

Od rana pod szopą było gwaro, ale tym razem województwa same pilnowały porządku i kupy, nie rozbijano się i nie rozpływano. Tylko bliżej owej szopy... życie drgało jakieś

wydatniej... a widok przybywających panów mógł zaprawdę ciekawość obudzać.

Z obliczów czytać było można jeśli nie myśli, bo z temi się nikt nie wydaje, to charaktery, co się zdradzają mimowoli.

Prażmowski wszedł, uroczyście prowadzony, starszy niż kiedy, umyślnie złamany, a tak pokorny dumnie i mądrze, a uśmiechający się łagodnie, że w niektórych litość obudzał.

Ci, co go przed chwilą widzieli, jak się przed poufałemi burzył, miotał, pięście ścisnął i piorunami rzucał, tu go poznać ledwie mogli. Niejednemu uśmiech mimowolny prześliznął się po ustach, niejednen szepnął sobie w duchu:

— O lis!!... lis szczwany!!...

Na innych twarzach maski wedle charakterów były różne. Sobieski hetman stał tak, jakby go nie dotknęło, jakby nie poniósł szkody, i zimno patrzył na wszystko, choć ruina Kondeusza na duszy mu gruzami leżała...

Ale w tej rycerskiej wąsatej twarzy, która do grania komedyi nie była nawykła, widać było przymus, jaki sobie zadawał — i co go on kosztował...

Pac kanclerz — dumą nadrabiał. Rodzina ta świeżo do potęgi urosła, gotową była zachowaniu jej poświęcić wszystko. Widać to z nich było... Czekali na jaką stronę szala się przechyli, bo z wyjątkiem Radziwiłłów, z którymi przejednanie było niemożliwe, mogli przyjąć każdego kandydata, jakiegoby im traf ślepy narzucił. Serce ich i skłonności ku Francyi ciągnęły, ale nawet miłość ku niej, interesowi familii ustąpić musiała. Widzieli się już panującemi na Litwie, pieczęć, buława, krzesła najpierwsze były w ich rękach. Morsztyn nie występował naprzód, i nie widać go było. Reszta zwyciężonych Kondeuszowych, już barwę Lotaryńskiego wdziała jawnie...

W umysłach wszystkich... niepewność oczekiwania, ciekawość... rodziły niepokój nadzwyczajny.

Każdy okrzyk głośniejszy zdawał się coś przynosić... Każdy drżeniem się odbijał pod szopą.

Ks. Michał od rana był na okopach i stanął przy sandomierskiej chorągwi, zmęczony, zmudzony, o jedno Boga prosząc, aby raz się to skończyło. Spełniał swój obowiązek z apatją, odrętwiony, obojętny, lecz goniąc ostatkiem cierpliwości.

Cały niemal dzień upłynął na niczem; brakło biskupów, prymas się opóźnił... a przybywszy i usiadłszy w swem miejscu — mścił się milczeniem.

Szlachta się zżymała. Koryfeusze ostatniej walki poczęli się wyrwać z głosami.

— Jeżeli imię ksiądz arcybiskup nie zagaja... prosimy księdza biskupa krakowskiego, aby przewodniczył. Czas do obrad przystąpić.

Głuchy szmer wtórował, a Prażmowski jakby się ocknął, cichym głosem zaprotestował, iż do ostatniego technienia ojczyźnie służyć gotów.

Tymczasem z senatorów, którzy stali, usta mając jak zamalowane, nikt się z niczem odzwalać nie śmiał. Oglądano się, potracano, a obawa wzniesienia burzy była widoczna.

Pod szopą więc — szemrano tylko, więcej pozornie, niż rzeczywiście radząc, czekano wskazówki od województw...

Tu jakoś dnia tego — umiarkowanie brało górę, ale głosy się słyszeć dawały. Kilka województw oświadczało się za Lotaryńskim.

Część Litwy radziwiłłowska wołała za Neuburskim, ale nikt nie poszedł za nią...

Tu i owdzie szlachcie się podnosił i głos

zabierał, prawil, rozwodził się, pluł i nie konkludował.

W bandomierskiem naprzód huknęło:

— Plasta! Plasta!!

Ledwie się dał słyszeć ten okrzyk, już jak łakra elektryczna przebiegł tłumy.

— Plast!

Zo śmiechem w kupkach wolano gdzieindziej:

— Polanowski...

Jakiś żartowniś przypomniał — Bandurę, ale go zahukano.

Wtem, ni z tego ni z owego podkomorzy kaliski, Krzycki, zawołał głosem donośnym:

— Michał ks. Wiśniowiecki!! Syn Jeremiego!!

Tak mało się kto spodziewał tego imienia, że go nie zrozumiano w początku, ale załedwie dosłyszano wyraźniej wymówione — stała się rzecz dziwna, niepojęta... Jak gdyby wszystko ku temu było przygotowane, zaczęły wybuchać wołania:

— Michał książę Wiśniowiecki!

Nie było oporu, nikt nie śmiał się przeciwić...

Spadł ten kandydat, jakby istotnie od Ducha Świętego zesłany... Pochwycono go z zapalem... Był to król, jakiego właśnie szlachta potrzebowała. Syn pokrzywdzonego przez magnatów Jeremiego, krew bohatera, plemię jagiellońskie... ubogi... nieznany, zapomniany.

W wyniesieniu go szlachta mogła dać znać swojej potęgi.

Vivat Plast! Vivat król Michał! Vivat Wiśniowiecki! zawrzało dokoła z gwałtownością nadzwyczajną...

Napróżnoby się był kto chciał przeciwić... Zapal rósł z taką niesłychaną szybkością i potęgą, że ani było podobna temu prądowi się

opierać... Jak ogień w posuchę, rozległo się na całym polu:

— Vivat Michał!

Szlachta podrzucała czapki, szable podnosiła w górę, gardlowała jak upojona, jak oszalała... Wołanie stało się krzykiem i ryczeniem zwycięskim.

Pierwszy odgłos z pola wpadający do szopy — przeszedł niezrozumiany. Tu tak nikt w świecie nie mógł się spodziewać ubogiego, nie nie znaczącego, bez stosunków i przyjaciół księżęcia, że uszom nie uwierzono. Z ustami otwartymi, z oczyma podniesionymi prymas stał — jak osłupiały... W kółko się oglądał, pytając wzrokiem.

Wtem z wrzawy tej naglej, dobitnie, jasno, głośno wypłynęło:

— Piast! książę Michał Wiśniowiecki!

Prażmowski, który się był podniósł nieco, nasłuchując, padł na krzesło bezsilny — z oczyma obłąkanymi...

Gniew, rozpacz, przestrah wypiętnowały się z kolei na twarzy starego. W tej chwili stanowczej, nieprzygotowanej, nie mógł być panem siebie, zdradził się, lecz z wolna to, co go otaczało, nakazywało choć pozorną rezygnację.

Rzucił wzrokiem wkoło.

Oburzenie jego podzielali: marszałek sejmowy, który podniósł się pierwszy, jakby chciał miejsce swe opuścić, Sobieski, już zabierający się do wyjścia, i znaczna liczba senatorów... Cała ta opozycja, która jeszcze się czegoś spodziewała, w momencie zbiegła się około krzesła Prażmowskiego.

Szło o to, aby go uprowadzić. Naówczas niktby może inny nie śmiał śmiesznego, jak się Morsztyn wyraził, króla — proklamować...

— Jedźmy! jedźmy precz!

Bez namysłu prawie, pochwycono starca pod ręce. Nie opierał się.

Pod szopą zamęt się stał wielki, rozerwanie jakieś — niepewność.

— Czekałmy! — wołali niektórzy.

— Jedźmy — nalegał Sobieski gniewny. — Żarty z nas stroją!

Przemogła gromada, która Prażmowskiego otaczała. Powtarzano — jedźmy!... prymas dał się wziąć i prowadzić do powozu.

W jednej chwili znaczniejsza część kolebek i koni stała w pogotowiu. Senatorowie uchodzili do miasta.

Nikt im drogi nie tamował, nikt nie wstrzymywał. Szlachta wybuchała śmiechem z tego popłochu, a coraz głośniejsze wołanie:

— Vivat Piast! Vivat król Michał! głużyło wszystko.

W tej ucieczce nagłej z pola elekeyi widać było nieporadność panów, którzy wcale nie przewidywali tej ostateczności, ale pozostali sami.

W polu zgodność głosów była — przerażającą...

Powozy, które uciekających z pod szopy unosiły do stolicy, sunęły się wśród tłumu, jak jeden mąż powtarzającego:

— Vivat król Michał.

A wołaniu temu towarzyszyła taka wesołość, radość i szal niekłamane, iż twarze senatorów bladły ze strachu i gniewu.

Nie jeden byłby się może zawrócił, ale było zapóźno... Oglądając się, obliczano kto w szopie pozostał.

Brakło wielu... Koryfeusze tylko uchodzili... Spostrzeżono, że Pacowie pozostali, że Lubomirskich nie było...

W miejscu marszałka sejmowego, Potockiego, który jechał za prymasem, w szopie osie-

roconą łaskę, po krótkiej rozwadze, pochwycił był Stanisław Lubomirski, starosta spiski, szwagier Michała Wiśniowieckiego... nie dopuszczał rozsypania się pozostałych.

Okolo niego Olszowski, biskup chełmiński, gromadził rozpierzchłych. Pacowie stali u boku, zdając się jeszcze rozmyślać, czy pojedą za prymasem, czy pozostaną z Olszowskim. U wielu widać było tę samą niepewność i obliczanie się z siłą przemagającą; lecz wołanie województw zgodne, nietylko nie ustawało, ale rosło, wzmagало się, brało górę — niepodobna było wątpić, że tej jednomysłności już żadna siła nie potrafi rozerwać.

Nie było prymasa do proklamowania króla, ale zastąpienie go przez któregokolwiek bądź biskupa ani było niemożliwem, ni bezprzykładnem.

Stanowczy krok Lubomirskiego wpłynął na to, że większa część senatorów została pod szopą...

Co się działo z ks. Michałem?! On sam z tego sobie nie mógł jeszcze zdać sprawy.

Przybył, jak zwykle, na Wolę z małym i skromnym poczem kilku ludzi.

Kielpsz, który mu towarzyszył, rozłączył się z nim, idąc do swojej Litwy, a książę Michał zajął zwykle miejsce pod sandomierską chorągwią.

Znali go tu niektórzy, a z wielu porobił był znajomość czasu elekcji. Ubogi ten książę ściagał oczy ciekawe... twarzą posępną i samotnieniem. Niekiedy zbliżał się do niego stary ów sługa, czasem przychodził Piotrowski, najczęściej jednak — był sam i dumał, nudząc się na tem stanowisku obowiązkowem.

Dnia tego był jeszcze może bardziej znudzony, niż kiedy...

Gdy w niewielkiem oddaleniu kaliskie zaczęło wołać: — Vivat książę Michał — Wiśniowiecki, vivat Piast! Książę się tak mało spodziewał tego, iż nie zrozumiał i nie dosłyszał okrzyku.

Ale wtem tuż sandomierskie buchnęło całe jak jeden mąż... zwracając się ku niemu.

— Vivat książę Michał!

Wziął to za żart i krew ogniście mu do głowy buchnęła. Zmarszczył się groźnie do tych, co bliżej stali, wołając.

— Mości panowie, żartów takich nie godzi się wyprawiać.

Nieskłonny do gniewu, zaperzył się. Ale wołanie nie ustawało i stary ów sługa przybiegł pierwszy, chwytając go za kolana.

— Królem was wołają! het! wszystkie województwa jednozgodnie.

— Dajcież mi pokój, to nie może być! — odparł książę Michał gniewny.

Wtem i drudzy nadbiegać zaczęli, wyrzucając czapki, wołając, ciesząc się, szalejąc.

Książę Michał stał blady jak chusta... Niepodobna już wątpić było o tym cudzie. Jak gromy i błyskawice przeleciały przez czaszkę jego... łzy strumieniem rzuciły się z oczów...

— *Transeat a me calix iste!* — zamruczał.

Stał jak posąg — osłupiony, a łzy ciągle lały mu się z powiek. Wspomnienie ojca, matki, przestрах jakiś nie dozwalały zebrać myśli.

Zdawało mu się, jak gdyby nagle siła jakaś w nowy świat go przeniosła. W oczach się émiło, nie wiedział nic. Pochwycono konia jego za cugle, opasano go, prowadzono... nie pojmował sam, co się działo...

Rażenie piorunem nie mogło być gwałtowniejszem.

Nigdy może elekeya żadna nie dokonała się z większą zgodnością głosów. Nawet ci, co

byli pozyskani przez Lotaryńskiego i zabierali się go okrzykiwać, porwani prądem, nie wiedząc co czynią, krzyczeli: — Piast! Szal szlachty przechodził wszelką miarę... Był to jej król! Wczoraj ubogi, stojący w kątku u tych możnych, którzy na niego patrzeć nie chcieli, dziś jej głosem, jej wołą na tron podniesiony...

Gdzieniegdzie dawało się słyszeć:

— Zmilujcie się, toż on pięciu koni niema na stajni, a przybył na plac bodaj samotrzeć... a skądże on wydoła.

Zapał był taki, że wszyscy natychmiast wołać poczęli:

— Odda każdy, co kto ma najlepszego! Jutro on niezego od panów potrzebować nie będzie. To nasz król, my sobie wstydu uczynić nie damy... Vivat Piast!

Można sobie wystawić, jakie wrażenie na paniach zgromadzonych w pawilonie kancelaryjny uczyniła wiadomość z pola elekcyjnego przyniesiona.

Przybiegl z nią jak szalony, goniąc, aby innych wyprzedzić, zdyszany Kielpsz. Wszystkie panie, zobaczywszy go podnoszącego czapkę do góry, wybiegły naprzeciwko niemu.

— Piast... Piast!...

Gdy potem dodał—książę Wiśniowiecki—panie mu się rozśmiały w oczy.

— *Farceur!* — zawołała Śobieska.

Kielpsz się w piersi uderzył, ale w tymże momencie przesunęła się kolasa prymasowska, nie zatrzymując się i Sobieski nadeiigał blady. Imię księcia Michała latało w powietrzu.

Kobiety stały zdrtwiałe oburzeniem i gniewem.

Maryę Kaźmirę musiano trzeźwić. Hetman zaledwie hamując się, mógł mówić.

— Tak — okrzyknięto go, nam na złość, to książatko, któremu koszule może sprawiać

będzie musiała Rzeczpospolita; ale go prymas nie ogłosi, a my go znać nie chcemy!...

Mała to była pociecha...

Kanceleryna Pacowa, więcej panująca nad sobą, dostrzegła pierwsza, iż mąż jej i rodzina nie przybywali, prawdopodobnie więc musieli w szopie pozostać.

Spytala o marszałka sejmu.

— Ten już jest w Warszawie — rzekł Sobieski — ale po drodze słyszałem, że starosta spiski po nim wziął łaskę.

Nie wszysej więc się cofnęli.

Pacowa usiadła zamyślona. Hetmanowa rzucała się wściekła, płakała, łamała ręce, odpychała męża, który ją chciał całować. Po dwakroć ponieść taką klęskę, ludziom, którym się zdawało, że wszystko mają w ręku, było ciosem nie do zniesienia. Wszysej szukali winowajców, zrzucając z siebie winę na drugich. Posądzano już Paców o zdradę.

Hetmanowa kazała się wieźć do domu.

Tymczasem u prymasa, gdzie się wszysej niemal zbiegli z pod szopy gromadzili, roztrząsano, co tu czynić należało, aby elekeyi niedorzecznej, a upokarzającej nie dopuścić. Chciano działać na wybranego, na jego matkę, ale na to nie było czasu. Zaprzeczyć ważności wyboru jednogłośnego, jawnego, przeciwko któremu tylko senat powstawał i to nie cały, nie było sposobu.

Pierwszy nadjeżdżający później już hetman zwrócił na to uwagę, że byli w mniejszości — i nie mieli za sobą żadnego prawnego środka.

Tym razem wielka cela generalska u OO. Jezuitów, w której prymas ledwie dysząc, otoczony swemi towarzyszami, naprzemiany słabł i burzył się z gniewu, podobną była zamętem i wrzawą do obozu na Woli.

Nie było sposobu, Wiśniowieckiego musiano przyjąć, ale można było przewidzieć, czego się miał spodziewać.

Do zgromadzonych tu koryfeuszów opozycji nadbiegł Gorzeński.

Sądzono, że coś przynosił, jeżeli nie pomyslnego, to przynajmniej nowego.

Szlachciec miał sobie tylko za obowiązek donieść, że jeżeli prymas nie przyśpieszy powrotu, innego biskupa zmuszą do obwołania króla i z nim pojedą odśpiewać *Te Deum* u Św. Jana.

Prażmowski się porwał, wszyscy czekali, co postanowi — badano się oczyma.

Trzeba było upokorzyć się i — wracać, — bo — nie mieli innego ratunku. Król był jednomyślnie obrany. Kazano zachodzić kolascę prymasa. Senatorowie niektórzy, wyprzedzając go, udali się nazad na Wolę, usiłując tylko wśliznąć się tam teraz tak, jakby jej nie opuszczali.

W szopie, gdzie podkanclerzy Olszowski i Stanisław Lubomirski gospodarowali sami — zmiana usposobień dokonywała się w oczach — cudownie.

Pierwsi, po krótkim namyśle, Pacowie, którzy nie wrócili do miasta, stanęli po stronie elekta.

— Jak skoro Kondeusz nie może być królem — rzekł kanclerz — wolę już Wiśniowieckiego, niż Lotaryńskiego, jestem pewniejszym, że go sobie pozyszczę.

Michał, około którego, wczoraj pogardzonego, skupiało się teraz wszystko, kłaniało mu i do pocałowania ręki dopraszało, płakał jeszcze, nie mogąc przyjść do siebie — i opamiętać się.

Wielkie szczęście jest jak wielkie nieszczęście — przybijajacem.

Myślał o matce.

Z tem większem uniżeniem powitał go powracający Prażmowski, że był judaszem, który miał zdradzić i zaprzedać. Nie myślał się tłumaczyć z dezercyi—ulegał woli narodu, objawionej tak silnie i stanowczo.

Michał, który ani winy żadnej nie widział, ani zdrady nie podejrzewał, przyjął go z poszanowaniem, należnem głowie duchowieństwa.

Ze skruszonych i powracających, najmniej pokory okazał hetman Sobieski, z dumą w milczeniu przyjmował tego króla, jak gdyby zapowiadał, że mu zgodę i pokój drogo opłacić musi.

Ci, co dalej i lepiej widzieli, rozumieli to, iż na Olszowskiego tylko, na Paców i Lubomirskiego wybrany mógł rachować, reszta uginała się przed koniecznością, była posłuszna, ale wściekle gryzła nałożone wędzidło.

Gdy przyszło jechać do miasta, aby Te Deum zanucić w katedrze, nie miał Michał tylko tego konia i dwu pacholików, z którymi przybył, i gotów był powracać jak przyjechał. Ale Prażmowski nie mógł dopuścić tego.

Ofiarował więc elektowi miejsce w swej kolebce i wobec cieszącej się szumnie swoim zwycięstwem szlachty, księżę Michał wsiadł obok wroga swego, do powozu.

Tłumy poprzedzały ich z wrzawą, płynąc z okopów do miasta, a w tem pospółstwie panowała radość nie do opisania.

W ciągu jazdy z Prażmowskim nie rozmawiali nawet słów kilka, starzec był przybity—młody król, rozrzewniony tą łaską Opatrzności, którą odnosił do zasług ojca, do modlitw pobożnej matki, nic sobie nie przyznając.

Od Woli aż do zamku i kościoła szeregiem poruszał się lud, szlachta, co tylko żyło w Warszawie, a oprócz senatorów, na twarzach

wszystkich widać było jakieś uszczęśliwienie i tryumf.

Zdawało się najbiedniejszym, że ten król ubogi, nieznany — był ich królem, dla nich wybranym — a w nim oni wszyscy zwyciężali.

Do kościoła Św. Jana, nabitego już, oświeconego naprędce, którego dzwony rozkołysane weselo zwiastowały nowinę szczęśliwą — docisnąć się już nie było podobna. Straż, którą hetman wyznaczył, musiała torować drogę elektowi. On wszedł, padł na kolana przed wielkim ołtarzem, a Prażmowski przeszedł do zakrystyi wdziać szaty uroczyste, aby hymn chwaly i dziękczynienia zanucić.

Rad nie rad musiał też hetman posłać rozkaz do cechhauzu, aby z dział bito.

W tym obchodzie, nie podobnym do żadnego z tych, co go poprzedzały, było coś dziwnie przejmującego, ale smutnego razem. Ten wybraniec narodu, otoczony nieprzyjaciółmi, na których twarzach ledwie tłumiona malowała się nienawiść, podobnym był do skazanego, któremu wyrok czytają.

Ze łzami i rezygnacyą go przyjmował. Hymn się rozlegał pod sklepieniami kolegiaty głosem, w którym brzmiało razem — Miserere pokutne i groźb pełne — Dies irae.

Czuli to wszyscy — panowanie narzuconego zapowiadało się jak walka, dni kary, boleści i sromu.

Na twarzy Michała ani na chwilę nie prześliznął się promyk jasnej łzy — stał blady, zmęczony i głosem zgasłym, szepnął podtrzymującemu go Lubomirskiemu.

— Do matki! do matki!

VIII.

Po wyjeździe zrana księcia Michała, w dwor-
ku przy Miodowej przecznicy, życie powsze-
dnie swym niezmiennym trybem ciągnęło się
dalej.

Tu, jak w innych gospodarstwach ludzi
podeszłych, wszystko się godzinami regulowało
i do nich stosowało. Starzy słudzy znali je i nie
potrzebowali wskazówek wiedząc, co każda go-
dzina znaczyła.

Ks. Gryzelda usiadła do swego stoliczka,
na którym robota ręczna obok książek i różań-
ca była złożoną. Hela Zebrzydowska wyda-
wała rozkazy, chodziła po domu, zbierała co
jej było potrzeba, aby znów powrócić do sta-
ruszki, sięść naprzeciw niej i zabawiać ją aż
do powrotu syna.

Goście bardzo się tu rzadko zjawiali, a tych
dni ostatnich, rozgorączkowanych nikogo się
nie spodziewano, z wyjątkiem codziennego przy-
jaciela domu, ks. Fantoniego.

Ks. Gryzelda otwarcie prosiła Boga, aby
się raz skończyć mogła ta utrapiona elekcya.
Spodziewano się też lada godzina dowiedzieć
coś stanowczego. Księżna, która tylko o synu
myślała, jak wprzód rachowała na Kondeusza
i ciągle o nim mówiła tylko, tak teraz o dwo-
rze cesarza, o pobycie na nim księcia Michała—
o nadziejach, jakie budować mogła na tem dla
jego przyszłości.

Wtórowała jej w tem Hela i obie roko-
wały sobie najświetniejszą karierę dla księcia,
który miał wcześniej wymagane przymioty dla
wysokiego stanowiska przy tronie, mianowicie,
imię, wychowanie, sławę przodków, osobistą
ogładę, przyjemną powierzchowność, charakter
łagodny.

— Michał — powtarzała wzdychając księżna Gryzelda — ma tę tylko jedną wadę, która w życiu często jest przeszkodą, by dojść do czego — ma nadto pokory i skromności.

Przez cały dzień tak siedziały same, ubolewając nad Michałem, który o głodzie musiał piec się na słońcu i w pyłe.

Już się miało ku wieczorowi, gdy Hela usłyszała tentent cwałem biegnącego konia ku dworcowi, i wyjrzawszy oknem, zobaczyła jeźdźnego, który do wrót się dobijał. Poznała w nim dawnego starego sługę Jeremiego, sandomierzana, który się podwakroć wpraszał do księżnej...

Pośpiech, z jakim przybywał, raził ją jak groźba. Złękła się, czy się co złego nie stało księciu Michałowi, ale wybiedz, dowiedzieć się, nie miała siły. Tchu jej zabrakło, złożyła ręce, zaczęła się modlić.

Tymczasem już w przedsieni słychać było spór żywy i wołanie.

— Puszczajcie mnie... na Boga, niosę dobrą nowinę.

Przebojem jak szalony wpadł do przerażonej ks. Gryzeldy szlachcic na wpół pijany i czapką wywijając po nad głową, padł przed nią na kolana i wrzasnął:

— Vivat! wybraliśmy królem naszego księcia Michała!!

Księżna wzięła go za obłąkanego lub napiętego. Rzecz dla niej była tak niemożliwą, że uśmiech bolesny wywołała tylko.

— Dobrze! dobrze — zawołała — napij się tam czego... i...

I, nie dokończyła tych słów, gdy drzwi otworzyły się znowu i niezmiernie blady, poważny jakiś — poruszony wewnątrz, jakby miał nieszczęście zwiastować, wszedł ks. Fantoni.

Tymczasem służba uprowadzała krzyczego «Vivat!» i opierającego się szlachcica.

— Księżna już wiesz? — zapytał głosem słabym kustosz.

— Nic nie wiem.

— Książę Michał obrany królem!

Wiśniowiecka słuchając bladła... nogi się pod nią zachwiały, upadła na krzesło.

— Rzec jest najpewniejsza, wybrany i okrzyknięty jednogłośnie. Prymas ze swą partią się opierał, ale zmuszony został powrócić do szopy, aby go proklamować.

Hela, która wszedłszy słuchała i jak ściana stawała się bladą, wydała słaby okrzyk i na wznak upadła zemdlona.

Szczęściem turecka sofa, przy której stała, a na nią spadła głowa — zabezpieczyła ją od większego szwanku, a krzyk ściągnął z pokoju obok dziewczęta. Zebrzydowska też po krótkim omdleniu odzyskała zmysły, ale pozostała jak od pioruna rażoną.

Matka chciała się modlić, złożyła ręce, poruszyła ustami, odmówiły jej posłuszeństwa. Hela też płakała, zamiast się cieszyć. Nie było radości, ale niewypowiedziana troska i obawa przyszłości.

Ks. Fantoni nie umiał słów znaleźć, aby uspokoić kobiety i natchnąć je męstwem. Ks. Gryzelda sercem matki widziała, co syna czekało.

— Duch Jeremiego cieszyć się może — szeptała staruszka, łzy ciągle ocierając — ale biedny Michał padnie ofiarą. Tylu nieprzyjaciół, zazdrosnych tylu... a życzliwych gromadka tak mała.

— O to się niema co troszczyć — odparł kustosz, — zmieni się to wszystko w oka mgnieniu i przyjaciele się znajdą i wrogowie umilkną.

Ale on sił nie ma po temu — szeptała matka i powtarzała: — biedny Michał!

Zebrzydowska niema, jakby obłąkanemi oczyma bezmyślnie patrzyła w okno. Grzebała wszystkie swoje nadzieje — Michał królem, na niedostępnej dla niej wysokości... ona osamotniona... sierotą na wieki!

Nie uśmiechało się jej królestwo dla niego, znała go nadto dobrze, że do tronu stworzonym nie był, że na nim musiał być ofiarą.

Wśród ciężkiego oczekiwania upłynęło wiele czasu, rozkołysały się dzwony wszystkich kościołów, huk dział dochodził do dworku, ale te oznaki radości coraz większą jakąś trwogą napełniały księżnę Gryzeldę... Wieczór nadchodził.

W ulicy zaszumiało nareszcie, słyszeć się dał turkot powozów, — u wrót zatrzymał się liczny orszak, towarzyszący nowemu panu, który biegł poruszony do matki.

Chciała wstać naprzeciw niego, ale sił jej zabrakło.

Wiśniowiecki, któremu towarzyszyli Lubomirski i ks. Olszowski, wbiegł do pokoju i przed matką padł na kolana, zachodząc się od płaczu.

— Błogosław!! — mówił cicho, ściskając jej nogi — matuniu. — Błogosław dziecko twoje.

Poruszający był widok tego ukorzonego majestatu przed świętością macierzyńskiej powagi. Nikt z przytomnych od łez powstrzymać się nie mógł, a każdemu w duszy przyszła myśl — że panowanie to dziwnie od łez się zaczynało.

Biskup Chełmiński i starosta spiski, zabawiwszy chwilę, uznali właściwem pozostawić matkę i syna sam na sam z sobą. Lubomirski tylko zapowiedział, że później przybędzie po szwagra, aby go na zamek odprowadzić, gdzie

już noc przepędzić musiał, bo nazajutrz od rana tysiące spraw było do omówienia i załatwienia.

Król prosił tylko, aby go w spokoju z matką choć kilka godzin pozostawiono.

Gdy się to działo, Hela niemal zapomniana — otrzeźwiona, wróciwszy do pokoju, stała drżąc na boku, i smutnemi oczyma patrzyła na towarzysza młodości.

Michał dopiero po wyjściu biskupa, kustosa i Lubomirskiego, wzrokiem niespokojnym szukać jej zaczął; podszedł ku niej i pochwyciwszy za rękę, przycisnął ją do serca.

Niemi oboje spojrzeli sobie w oczy...

Ks. Gryzelda powoli przychodziła do siebie. Zażądała od syna, aby jej to wytłómaczył, jak się to stać mogło, co się stało. Nikt przecież nie przygotowywał się, nie starał, nie myślał o tym wyborze? Michał zrana odjechał jak zwykle — nie mając przeczucia tego, co go spotkać mogło.

— Jeden Bóg, który rządzi losami ludzi — odezwał się syn — wie, jak się Jego wola dokonała nademną. Stałem spokojnie przy chorągwi sandomierskiej, nie domyślając się niczego. Słuchałem gwaru, śmiechów i wrzawy... obilo się o moje uszy imię Polanowskiego. Nagle nie wiem skąd, w powietrzu rozległo się imię moje...

Nie zrozumiałem w początku,

Nie wierzyłem uszom... opierałem się, wypraszałem. Głosy pomnażały się, rosły, nadbiegła szlachta tłumnie, ściskając za nogi, wyrzucając do góry czapki, radując się... gdy mnie łązy się z oczów toczyły.

Brałem to za niegodziwe urągowisko — gniewałem się. Niestety! stało się... czego nikt w świecie przewidzieć nie mógł.

Wprowadzono mnie do szopy, z której znaczna część senatorów z prymasem uszła do miasta... zostali tylko Pacowie, Olszowski, Lubomirski, który Potockiego właśnie zastąpił. Nie wiem jak długo trwał zamęt i niepewność, ale po za szopą szlachta groźnie wrzeszczała, dopominając się o proklamacyę.

Nie wiem też czy sam z dobrej woli—czy zmuszony prymas powrócił właśnie wtedy, gdy już się domagano od podkanclerzego, aby on okrzyknął wybranego.

A! jakim srogięj nienawiści wzrokiem przeszył mnie prymas... jaką dumą gniewną powitał Sobieski, jakim szyderstwem Morsztyn!

Tych oczów jak żyw nie zapomnę.

Matka troskała się już po niewieściemu o pierwsze potrzeby. W domu pieniędzy było mało. Michał wypróżnił kieszenie i co miał, rzucił na stół. Hela przybiegła z całą kasą domową. Wszystko to zebrane razem — było tak szczupłym zasobem, iż pożyczka, którą ks. Fantoni ofiarował, stała się koniecznością.

Ani nowo obrany król, ani matka nie rozumieli, jak podolają niezbędnym wymaganiom zaraz nazajutrz. Pod szopą w wozowni stała jedna zużyta z zasłonkami połatanemi kolebka, brożek i wozy. Wierzchowy koń nie miał ani postawy, ani rzędu odpowiadających godności pana. Lubomirski ofiarował już znany zaprząg swój cały... ale to nie starczyło. Uciec się do marszałka Sobieskiego, który karetami swemi woził — nie pozwalała duma.

Położenie było trosk pełne.

Nieprzyjaciele patrzyli i musieli korzystać ze sposobności wyśmiewania tego króla—ciżby, wybrańca szaraczków.

Smutek okrył twarz. Ks. Gryzelda po za te powszednie troski sięgała myślą, starając się

zebrać synowi przyjaciół i obrońców. Tak niewielką garstkę ich naliczyć mogła!

Wśród tej urywanej opowiadaniemi rozmowy, wieczór uchodził szybko. Dopiero teraz przypominano sobie, że Michał przez cały dzień nie prawie nie miał w ustach.

Heła pobięła, aby mu przygotować na prędce jakiś posiłek.

Z nią potem wyszedł do jadalni sam książę, gdyż księżna matka została, chciała się pomodlić.

Michał jak pijany, trzymając za rękę Hełę, powlókł się do stołu; dopiero trochę wina pokrzepiło go. Siedli jak niegdyś dawniej, naprzeciw siebie. Zebrzydowskiej na myśl przyszło, iż po raz pewnie ostatni tak poufale po staremu zbliżyć się mogli, zaczęła płakać znowu i głowę ukrywszy w rękach, szlochała.

— Heło — na miłość Bożą — począł król — nie odejmuj mi odwagi.

— Dla mnie — z za łez wołała Zebrzydowska — wszystko skończone, życie moje to szczęśliwe... z dzisiejszym dniem się zamyka. Co ja pocznę!

— Siostro ty moja najdroższa — przerwał Michał — nie odbieraj mi siły, bo ja jej teraz potrzebuję najwięcej. Nic się nie zmieni — nic nie może zmienić w sercu mojem dla ciebie. Będiesz, czem byłaś, moją najdroższą Hełą... po matce, istotą, którą na tej ziemi najczulej kocham i miłować cię nie przestanę.

Heła nie mogła łez utulić.

— Przebacz — rzekła w końcu — łzy to są samolubne — ostatnie! Nie mogłam ich wstrzymać. Myślę i wyobrażam sobie samotność i sieroctwo nasze. Oni cię porwą, chwycą, nie dadzą tchnąć — nie będziesz miał chwili dla nas swobodnej... Królem!! nie królem, ale stałeś się ich niewolnikiem i ofiarą.

Cicho, spokojno, ubogie szczęście nasze rozprysło się i rozbiło na wieki... A! gdybyś ty przynajmniej mógł być szczęśliwym!

— Ja? — podchwycił Michał — ani się spodziewam tego... ani to być może. Wiem, co mnie czeka. Gdybyś widziała te twarze, które mi zapowiadały nieublagane prześladowanie i wojnę... gdybyś wyobrazić sobie mogła, z jaką groźbą pełną i aż do uniżenia ułożoną twarzą wiozł mnie Prażmowski do kościoła... jak mu w piersi głos tłumila wściekłość, jak drżał cały patrząc na mnie... a Sobieski... a cały ten zastęp ich...

Hela porwała się oburzona.

— Królem przecież jesteś! — zawołała. — Mówią, słyszałam, że polscy królowie małą władzę mają, ale nie sposób, abyś nie znalazł między senatorami poparcia i pomocy. Słyszałam, gdyś powiadał, że Pacowie cię nie odstąpili.

Nie odjechali z prymasem, zostali w szopie, ale się trzymali wyczekując zdaleka — rzekł młody król.

Krótkie milczenie przerwało rozmowę.

— Co mi po tem wszystkim — cicho począł Michał — co mi po królowaniu, gdy ja ciebie przy sobie, ani matki mieć nie będę! Przywykłem się dzielić z tobą myślami, byłaś mi nieraz najlepszym przewodnikiem i doradcą. Muszę znaleźć sposób, ukraść godzinę jakąś dla siebie, abym mógł tu zbiedz i odetchnąć. Nie wydołam ciągłemu królowaniu — ja, co tak kochałem spokój i ciszę.

— Ks. Fantoni zapowiedział już — przerwała Zebrzydowska — że jutro i księżna z dworku na kustodyę wynosić się musi. Będą i ją odwiedzali ci, co się do króla dobijają zechcą, nie przystało jej tu pozostać, a na zamek nie zechce.

Michał już nie słuchał, rękami szukał białych rączek siostry i chwycił je namiętnie, szepcząc imię Heli. Ona też zapominała się — patrzała mu w oczy... i płakała...

Rozdzielić się musimy! — szeptała. — Ty znajdziesz tysiące, co ci zastąpią siostrę — i powiernicę, ja nikogo już w życiu mieć nie będę.

Nie nas nie rozdzieli! — przerwał gwałtownie Michał. Sama mówiłaś, — królem jestem. Mogą mi narzucić obowiązki, ale sercem mojem przecież ja jeden rozporządzam. Tego ty pewną być możesz... a ja bez ciebie życia nie pojmuję.

Bóg wie jak długoby się była ciągnęła ta zapłakana rozmowa, gdyby ks. Gryzelda nie zaczęła się upominać o syna. Michał wstał, pochwycił Helę, objął ją, przycisnął do piersi i na czoło złożył pocałunek gorący.

Pamiętaj — rzekł — bądź co bądź, jam twój, wierny... jam twój.

Pomieszani wrócili do staruszki, która może przeczuwając to pożegnanie zbyt serdeczne, właśnie dla tego niespokojna przywoływała syna...

W tej samej prawie chwili — Lubomirski wracał po króla.

Ale matka puścić go nie chciała.

Kochana matko — rzekł całując jej ręce drżące — na zamku, pomimo pory spóźnionej pełno jest, czekają na Michała ci, co się może najprędzej obawiać mogą niechęci... bo mu ją dziś jeszcze sami jawnie okazywali. Kanclerz. Pac siedzi i mówi mi, że się nie oddali, dopóki się nie rozmówi z królem. Nie należy on już teraz ani do was, ani do rodziny, ale do kraju, któremu służyć musi. Porywam go — jedziemy.

Michał jeszcze raz pochylił się do kolan matki, chciał potem zbliżyć się do Heli, ale ta

skinęła tylko ręką, przyłożyła chustkę do oczów i uciekła.

Wprost stąd na zamek pośpieszać musieli, w którym było jasno i niemal tłumno pomimo nocy.

W podwórzcu stało powozów, koni, pocztów, straży poddostatkiem, ruch panował w pustych i opuszczonych przed kilku godzinami komnatach.

Dwór rozpierzchły po Janie Kaźmirzu, na pierwszy odgłos o wyborze, zbiegł się na zamek, gotów znowu na służbę. Nieład panował, ale na ludziach nie zbywało.

Wysiadali, gdy im stojący u krużganku koniuszy koronny śmiejąc się, oznajmił, że starosta Spiski o kolebkę dla króla na jutro troskać się nie potrzebował.

— Jest ich już aż trzy nowiusieńkich jak z igły, każda z sześciu paradnemi woźnikami i uprzężą — mówił koniuszy. — Nie mogłem się dowiedzieć, kto je przyprowadził i ołarował, alem oglądał i znajduję paradnemi.

Michał może nie słyszał — szedł na górę, gdzie, jak mu oznajmiono, czekał kanclerz Pac i wielu innych. Cała ta rodzina prawie razem z nim stawiała przy królu.

Nie było Sobieskiego, chociaż urząd wielkiego marszałka powinien go być sprowadzić, — ale na innych dostojnikach nie zbywało.

Gdy skromny i bojaźliwy ukazał się młody król, nie dano mu się oddalić od progu i otoczono kołem, każdy chciał być pierwszym z hołdem i rewerencyą, zaręczając, iż był z wyboru szczęśliwy.

Pac nawet z całą swą dumą — oświadczał głośno, że był wprawdzie za Kondeuszem i gotów był głosować na Lotaryńskiego, ale się ani on, ani nikt tak widocznego cudu Bożego i natchnienia Ducha Świętego nie spodziewał.

— Gdy się to stało — dodał — szczęśliwi jesteśmy i serca ci ofiarujemy... a w potrzebie i dłonie.

Tu wspomniał Pac, o czem nigdy nie mówił, że sam na swoje uszy słyszał z ust nieboszczki królowej Maryi Ludwiki, jak Michałowi królowanie przepowiadała, godnym go uznając korony.

Natychmiast znalazło się jeszcze kilku, utrzymujących, że też to słyszeli i bardzo dobrze zapamiętali.

Kancelarz Pac za najpilniejszą sprawę uważał — przejednanie i pozyskanie prymasa, sam przez żonę obiecując wpływać na dwór francuski, aby sprzyjał nowemu królowi. I dodał tajemniczo.

— Znajdą się środki zbliżenia, a nawet połączenia z Francją, ale na to jest czas.

Michał zaledwie miał czas i mógł się zdobyć na podziękowanie wszystkimi już cudownie pozyskanym; trochę odwagi wstąpiło do jego serca.

Późno w noc naostatek goście opuścili zamek, dozwalając odpocząć znużonemu. Lubomirski sam jeden z nim pozostał.

Chociaż sypialnia niegdyś Władysława i Kaźmirza, zajęta teraz przez króla, była w dosyć spokojnym kącie zamku położoną — jak tylko miało się na brzask, tak się tu wszystko poruszać zaczęło, a ludzi napływać, że Lubomirski wstać musiał.

Przyczyną tego niepokoju była wczoraj pod Wolą w wielkiem rozgorączkowaniu jednogłośnie przyjęta uchwała szlachty, iż królowi, z którego niezamożności Pacowie jawnie się naśmiewali, ci, co go wybrali, aby go wyposażyć, powinni byli złożyć w ofierze, co kto miał najlepszego.

Z takim zapalem chwycono się tego wniosku, iż ten w obozie prawie nikomu zasnąć nie dał. Każdy wymyślał, co miał dać, a ofiarność była taka, że ostatniego konia, co dla szlachcica najcieńszą jest ofiarą, gotów był każdy poświęcić — dla swojego króla.

A że pomiędzy ogromnym tym tłumem, zamożnych było bardzo wielu, i ci na elekcję dla wystąpienia i popisu z domów pozabierali co mieli najpokaźniejszego i najdroższego, każdy więc prawie miał coś do przyniesienia w ofierze, tak, że ubożsi, gdy ich na nic więcej nie stawało, choć parę pistoletów, lub szablę drogą złożyć byli gotowi.

Przez całą niemal noc czyszczono, trzepano, wyświeżano, co kto miał, aby nazajutrz rano nieść na zamek.

Zaledwie się dzień jasny robić poczynął, gdy ta osobliwa procesya z Woli ku zamkowi długimi szeregami ciągnęła... konno, wozami, kolebkami i t. p.

Niemal gwałtem potem włamano się na zamek, dopominając u burgrabiego, aby salę wyznaczył, gdzie miano składać ofiary i pisarza posadził z księgą, aby je rejestrował. Próżno się ten wymawiał, że rozkazów żadnych nie miał, zakrzyczano go, zahuczano, a że i stara służba chętnie do tego spisku weszła, potwiercano sale, znaleziono skrybenta i rozpoczęto składanie darów, które przez cały ten dzień i kilka następnych jeszcze nieprzerwanie się ciągnęło.

Wypadek to był w tych przynajmniej rozmiarach nigdy niepraktykowany. Trafiało się, że panowie i szlachta, to osobliwe konie, to do zwierzyńca osobliwe stworzenia, to jakieś starożytne pamiątki królom przynosili i składali do ich skarbcza, ale takiego nacisku darów, jak dziś, nikt nigdzie nie widział, ani o nim słyszał.

W ulicach niezmierne tłumy zebrały się patrzeć na ten pochód wesoly i dziwaczny, jedyny w swoim rodzaju. Nie było bowiem sprzętu i rzeczy, którejby nie niesiono dla króla jegomości, począwszy od koni i psów myśliwskich, do pozłocistych naczyń, dzbanów, futer i kobierców.

Ani Lubomirski, który z początku przyjmowaniu się chciał opierać, ani książę Dymitr Wiśniowiecki, przybyły też zrana do zamku, nie mogli szlachtę przekonać, która się dopominała zuchwale o prawo obdarzenia swojego króla. Musiano w końcu uledz, i trzech pisarzy zaledwie mogło wydołać rejestrowaniu rzeczy i nazwisk. Nie mieli się czego wstydzić ofiarujący, gdyż wszystko niemal było przedziwne i szacowne.

Samego uzbrojenia starczyło już na piękny poczet straży, gdyby ją zaraz sztyftować chciano.

Oprócz tego, chociaż cokolwiek później, lecz i senatorowie też tłumnie nadciągać zaczęli.

Sobieskiego tylko i Radziwiłłów brakło długo, bo pierwszy z Wiśniowieckimi, zwłaszcza z księciem Dymitrem był w jawnym rozbracie, a drudzy prowadzili wojnę z Pacami. Jak tylko więc dowiedzieli się o przystaniu ich do Michała, połączyli się z Sobieskim.

Hetman, oni i prymas stanówili zarodek tego nieubłaganego obozu przeciwników, których Michał niczem nigdy nie mógł przebłagać.

Ale dzień ten, przynajmniej pozornie, był dniem hołdów i uznania.

Złem, czy dobrem sercem, królowi już ogłoszonemu, musieli wszyscy bić czołem, nie mogąc na razie jawnej wypowiedzieć wojny.

Hetman nawet ze swego urzędu marszałkowskiego musiał się stawić na zamku i tam pewien porządek wprowadzić.

I on i wszyscy niechętni senatorowie mieli zrzeczność przekonania się naocznie, z jaką, można było powiedzieć, zjadłością, manifestowało się przywiązanie dla króla obranego.

W oczach ich przyciągły te gromady, znośzące dary, a w otwartych salach ciekawi mogli oglądać istotnie ciekawe nagromadzenie kosztownego sprzętu, który już starezył choćby na królewskie wyposażenie. Mnogość ludzi, która się przyczyniła do tego, możliwem czyniła wielkiego szacunku składkę, już do południa zalegającą salę, tak, że miejsca braknąć zaczęło.

W wozowniach też i stajniach, na przyprowadzane konie, powozy, na przywożone namioty — ciasno było. Nowa służba krzątała się, coraz więcej zajmując miejsca.

Wszyscy szli przypatrywać się i podziwiać.

Najpierwsze miejsce zajmowały srebra, których mnogość wielką zniesiono, tak, że jak drzewo leżały kupami, szczególniej miednice i nalewki, pomiędzy którymi leżały moskiewskiej i holandskiej roboty, obok augsburskich i gdańskich. Puhary, bechery, kubki misterne w kształcie paziów, ananasów, — zwierząt dziwnych, srebrne, pozłociste, sadzone kamieniami, na najwspanialszy kredens stareżyły. Nie brakło ogromnych dzbanów, wiader, — ani łyżek zapasowych, które apostolskimi tuzinami, z wizerunkami świętych i napisami szlachta miała pod dostatkiem. Oddawano z pod serca, aż do pamiątkowych obrazków Najświętszej Panny i Chrystusa na blachach złotych malowanych, aż do relikwiarzy i ampulek. Je-

den z bogatszych postawił beczkę srebrną na nogach krzyżowych z bachusem na niej.

Po srebrach szły najbogatsze rzędy i siodła, na które, również jak na dywdyki konie okrywające, sadzono się wielce; aksamitem wyściełane, grubemi blachami pozłocistemi z przodu i z tyłu objane, ze strzemionami szerokimi, tak, że całą nogę osłaniały — niektóre turkusami były sadzone, inne czarnonielem ozdobne. Do każdego siodła należał rząd podobny, a czub, który koniowi nade łbem sterczał, kosztował nieraz tysiące. Dywdyki zaś szyte złotem i perłami tak grubo, że ich dosięgnąć było trudno, nie były żadnemi osobliwościami. Oprócz tego do takich zwykle należał koncerz ozdobny, a często tarcza do niego i sahajdak z łukiem.

Łuków mało używano, ale do parady każdy je wdziwał, a owe tak zwane na łuki sahajdaki wysadzano kamieniami i złotem dzierżgano. Do siodła też wielu, zamiast do ramion, przytwierdzało owe skrzydła husarskie, w srebro oprawne, których tu wiele było kosztownie ubezpieczonych.

Dopiero szła broń, a tej rozmaitość naówczas była niezmierną, bo ją i ze wschodu i z Włoch, Hiszpanii, Niemiec, Anglii i Francyi sprowadzano.

Strzelby złotem nabijane, oprawne w kość słoniową, w szyldkrety, w drzewo zamorskie jak żelazo twarde i ciężkie; pistolety tureckie i francuskie, tarcze mniejsze z wizerunkami bitemi, szyszaki złociste i trybowane, koszule z drutów złożonych, na których modlitwy, psalmy i napisy były wypisane. Szable, pałasze, mieczyki, stosami się walały na podłodze, misiurki z czaplami piórami przy nich, a żelaznych blach co niemiara, aż do zbroi gończych i turniejowych, które już rzadko kto wdziwał.

Sobieski, który tu rzucił okiem przechodząc, rzekł do towarzyszącego mu Potockiego.

— Cały cechhauz, mości panie!

I westchnął.

W istocie dział i moździerzy może tylko brakowało, ale nie gardłaczy i hakownic.

Dalsza izba była zarzucona kupami kobierców, opon, tkanin wzorzystych flamskich i całych postawów tkanin na obicia. Skąd one się tu wzięły, tłumaczyć tylko mogło to, że ci, co nie mieli z sobą nic na podarek stosownego, do sklepów i składów się weiskali, a że perskich kupców, ormian i tureckich przekupniów na elekeyę ściągnęło się dosyć, było więc w czem wybierać.

Niektóre ofiary mogły prawie obudzać śmiech, lecz szły z dobrego serca, a dowodziły tego przejęcia się elekeyą, a nienawiści ku panom, której zwycięztwo nie stłumiło... Nie tyle może miłość tu czyniła — co owa niechęć przeciwko możnowładcom, którzy przekupieni, lekceważyli sobie tłumy i narzucić im chcieli, kogo im się podobało.

Rozumiano to bardzo dobrze, i dla tego w sercu Sobieskiego i jego towarzyszków rodziło się tem większe pragnienie okazania siły — i pomszczenia sromotnej klęski.

Całe miasto dnia tego nie mówiło o niczem, tylko o tym wysiłku ubogiej szlachty, która po pańsku wystąpiła.

Księcia Michała nieprzygotowanym spotkało to szczęście, które nazywało się u ludzi tem imieniem, a było w istocie brzemieniem nad siły. Nigdy nie nie mogło mu obiecywać podobnego losu, a natura i wychowanie nie usposabiały do niego.

Bezbronnego więc, od pierwszego dnia otoczyła sieć intryg, — miał przeciwko sobie, wyjąwszy Paców, Lubomirskiego i biskupa

Olszowskiego — całe możnowładztwo. Miłość ludu—jak się wyrażano pogardliwie—zwiększała niechęć ku niemu.

Prymas namyślał się, jak miał postępować, ale w sercu miał największą odrazę do tego człowieka, który go w oczach świata uczynił bezsilnym i odebrał mu owoc długich zabiegów.

W ciągu dnia niechętnie, ale z urzędu wszyscy byli przy królu, nie uchybiając mu, a senatorowie naradzali się o wyznaczeniu dnia koronacyi. Sprawy wojenne i czuwanie nad granicami zajęło Sobieskiego. Elekt, milcząc, słuchał, przypatrywał się, nie śmiejąc jeszcze ani się odzywać, ani brać w niezem udziału. Stanowiono bez niego...

Ale zebranie na zamku dla formy, nie miało w istocie znaczenia, dopiero wieczorem u prymasa miano się naradzić stanowczo — co robić dalej?

Prażmowski powrócił znużony i podrażniony, uczynił bowiem z siebie co mógł, aby elekta pozyskać, a znalazł go dumnym, zimnym i obojętnym. Spodziewał się, że go opanuje łatwo, że król będzie szczęśliwy, pozyskując go sobie, tymczasem przestrzeżony dawniej o charakterze człowieka—młody król zbywał go milczeniem i nie dał się poruszyć.

Wieczorem u OO. Jezuitów, naturalnie, o niezem nie było mowy, tylko o królu, o wyborze i o tym szalonym wybryku szlachty, która ubogiego swego ulubieńca tak wyposażyła.

— Gdyby człowiek na to nie patrzył, nie dotykał—wołał prymas—nie chciałoby się wierzyć tej baśni. To wygląda na powieść o jakimś Leszku, lub Popielu... Dziś już mi mówili, że prawią, jakoby rój pszczoł siadł na chorałgwi, niby żywe znamię tego, że Pan Bóg chciał Piasta.

Głosy odzywały się różne.

— Nie wytrzyma na tronie—szeptał Morstyn, —nie ma poparcia... nie znajdzie siły... Sobieski go ani pytać, ani słuchać nie będzie, a Pacowie.

— Pacowie...—krzyknął prymas, który się gwał i kurezył, gdy go gniew przejmował.—Słyszał kto o podobnej zdradzie!?

— Pacowie lękali się stracić tego znaczenia, jakie świeżo pozyskali — odezwał się hetman. Jestem pewny, że kanclerzyna go już może w myśli swata we Francyi.

— Nie dziwiłbym się temu—przerwał Prażmowski—bo ja sam myśl tę miałem, ale Austrya czuwa!... ho! ho!

Ktoś z przytomnych zwrócił się ku przeszłości, chcąc dobadać przyczyn tej katastrofy, bo dotąd pozostawało nierozjaśnionem, kto Kondeusza ekskludował, a Michała wyniósł na tron.

Wpływowi (cenzury ks. Olszowskiego) nie a nie nie przyznawano. Głęboacy politycy szukali potajemnych sprężyn, nie mogąc uwierzyć w to, aby ta biedna szaraczkowa szlachta, ci prostaczkowie... mężów takich, jak oni, w pole wyprrowadzić mogli.

Kondeusza — zgodzono się na to — chytry Chavagnac wypłoszył, ale nie mógł się starać o Michała.

Przypuścić wypadku woli Bożej nie mógł nikt... zostawało więc tajemnicą to, co zgotowało wybór syna Jeremiego. Prymas teraz posądzał już Paców, że oni chyba, mając w tem interes zapewniony, usnuli to i dokonali.

O przyszłym królu zdania były najniedorzeczniejsze. W istocie nikt go nie znał. Widywano go dotąd nieśmiałym, cichym, skromnym, pobożnym.. a nieco powołnym, ale ani wielkiego geniuszu, ani energii nikt mu nie przyznawał.

Prymas wprost sądził go nieudolnym do rządzenia.

— Utyskiwano na Jana Kaźmirza, że dawał sobą rządzić — i słabym był, cóż będzie z tym kawalerem, który na podkoronnego dworu cesarskiego doskonale przystał, ale nie na króla.

Morsztyn poruszył ramionami.

— Wczoraj go u kanclerzyny łokciem potrąciłem, aby mi miejsce zrobił — i ustępował bardzo pokornie, a dziś go muszę w rękę całować.

— Nie! nie!.. — powtarzał prymas — albo pójdzie tą drogą, jaką mu naznaczymy, albo... Wszak ci Jan Kaźmirz dał przykład, że abdykować można... a gdzieindziej jest siła takich wypadków, iż królów wyganiano i pozbywano się ich.

Rozprawy, utyskiwania i narady u Prądmowskiego trwały do późnej nocy, ale nie umiano postanowić i skończyło się na narzekaniach i odgrózkach.

Na zamku męczyli króla dopominający się posłuchania, przynoszący mu wieści, składający życzenia, przypominający się, jako starzy ojca słudzy...

Michałowi tak tęskno było do matki, że w końcu wyrwał się z nieodstępnym Lubomirskim do niej...

Tu się spodziewał spocząć i odetchnąć... Nie brał z sobą ani dworzan, ani komorników, ani orszaku, któryby go zdradził, chciał być po staremu Michałem, tym wolnym... i szczęśliwym.

Hela powitała go w progu.

— Król!... — zawołała głośno.

— Ach, nie — choć tu niech ja nim dla was nie będę — przerwał Michał, chwytając jej rękę,

jam już tak zmęczony tem jednodniowem panowaniem.

Matka wyszła do niego... z uśmiechem na ustach. Ona — ona — niestety — jedna radowała się w duszy temu tryumfowi, który dla niej zarazem był pogrobową sprawiedliwością, oddaną pamięci ojca. Na jej twarzy widać było szczęście, i ona mężstwem syna natchnąć się starała.

— Helo kochana — zawołała — na zamku pustki, oni może jeść co nie mieli, przyjmże Najjaśniejszego Pana!...

Wtem Lubomirski począł opowiadać o tem bogatym wyposażeniu króla przez szlachtę. Księżna Gryzelda splotała się, ciesząc się nie darami, ale miłością, co je przyniosła.

— Tak — dodał starosta Spiski, kończąc — ale matuleńko kochana, mamy też całą armię wrogów nieprzejednanych z hetmanem i hetmanową na czele!...

IX.

Wszystko, co przychodzi niespodzianie — spada, jak grom na człowieka i na czas jakiś pozbawia go siły. Szczęście też zabijać umie, a obezwładnia czasem na długo.

Taki ono skutek wywarło na Michale Wiśniowieckim, który przygotowanym do niego nie był wcale, a w rzeczy wybór na króla tak mało go obchodził, że owej sławnej cenzury ks. Olszowskiego, w której o Piaście mowa była, wcale nie czytał.

Najzuchwalsze jego nadzieje nigdy nie sięgały po nad skromny jakiś urząd przy dwo-

rze i starostwo, któreby mu odpowiednio imieniu i pamięci ojca występować dozwalało. Matka też nie marzyła o wielkich powodzeniach, znając nieśmiałość syna, chciała go tylko bogato ożenić i tem w dom znowu dostatek wprowadzić. O koronie nigdy się tu nikomu nie śniło.

Lecz wnuczka Zamoyskiego z myślą tą prędzej się oswoiła, niż skromny, cichy syn Jeremiego. Ona w tem widziała palec Opatrzności, widoczną wolę Bożą, natchnienie Ducha Świętego. Była tem dumną.

Wielka radość zasłoniła przed nią niezmierne trudności położenia i kolce tej korony cierniowej, której wybrany dźwigać nie miał siły.

Nazajutrz zaraz, gdy już ks. kustosz począł nalegać, aby ze dworku na kustodyę się wyniosła — i przygotowania ku temu czynić rozpoczynano, pierwszy z przejednanych przybył do niej kanclerz Pac.

Był to jeden z możnowładców wielkiej energii, wpływu, znaczenia — i na niego liczyć było można. Przyjechał zapewnić ks. Gryzelde, że na niego młody król liczyć może.

— Mości księżno — rzekł otwarcie — stajemy przy imci królu i stać będziemy, niech w nas ma zaufanie... Postaramy się o to, aby mu zjednać przyjaciół i sług wiernych. Nie potrzeba się łudzić, położenie króla, syna W. książęcej mości będzie trudnem — znam ks. prymasa, znam hetmana i hetmanowę, wiem, że elekcyja do rozpaczey ich przyprowadza, że gotowi do ostatecznych się rzucić środków, bo daj nawet zachwiać tronem, ale nas Paców ma król trzech, nie licząc młodszych, a my i na Litwie i w koronie coś znaczymy. Żona moja ma we Francyi nie mniejsze i nie gorsze związki

od pani hetmanowej. Potrafimy nieprzyjaciółom stawić czoło.

Ks. Gryzelda załamała rękę.

— Sądziecie, panie kanclerzu — zawołała — że wybór ich nie przejedna? nie rozbroi? Cóż zyszcza, wojując z Michałem?! On nikomu złego nie życzy, ani uczyni.

— Ale z namietnościami ludzkimi liczyć się potrzeba — mówił kanclerz — a niema straszniejszej, nad ambit upokorzony. Prymas i hetman, wedle własnego mniemania, byli panami sytuacji, zmuszeni się poddać, będą spiskowali i knowali. Musimy czuwać.

— A! — przerwała ks. Gryzelda, pochylając się do kanclerza, z błagającym tonem. — Bądźcie niedoświadczonemu memu synowi opieką! Proszę was... nie opuszczajcie go. Sobieskiego — znam dawno i zblizka — dodała — miałam z nim, niestety, pieniądze sprawy, — jest bardzo źle z ks. Dymitrem... ale ja sądzę, że szlachetny w głębi duszy, nie dopuści się przeciwko nam.

Kanclerz się uśmiechał.

— O Sobieskim mówiąc — rzekł — trzeba mieć też na myśli hetmanową, która nim rządzi — a tej ja się obawiam. Zresztą wierzę w to, iż miłość ku Rzeczypospolitej — nigdy mu się przeciw królowi zadaleko posunąć nie da, zwłaszcza w tych strasznych czasach, gdy nam bunt i wojna z Turkami zagraża. Nie tu więc najniebezpieczniejszego antagonisty szukać potrzeba — ale — w prymasie.

Kanclerz się skrzywił.

— Nie waham się przewidywać — mówił dalej — że tego nawet zupełnie poddaniem mu się — trudno będzie... rozbroić. Nie może on przebaczyć tego, iż został zwyciężony i w oczach obcych monarchów upokorzony... Około prymasa będzie zawsze skupiać się obóz nieprzyjacielski. Bądź co bądź — staniemy i my do

walki -- bez obawy... Niech tylko król zaufa nam i idzie za radami naszymi.

Ks. Gryzelda zapewniła również kancлера o wdzięczności swej, jak i o powolności syna.

-- Michał nie ma doświadczenia—rzekła—ale dalekim też jest od zbytniej w siebie wiary. Możecie być pewni, że da pokierować sobą.

Pac dotknął zaraz drażliwej materji, tego, o co się naówczas wszystko rozbijało — rozdawnictwa wakansów.

— Dzisiaj — rzekł — największą siłą, jaką król ma w ręku, jeżeli nie jedyną, jest rozdanie wakansów. — Niemi on może sobie zjednać, rozbroić, pozyskać — ale powinien być oględnym. W pierwszej chwili do zbytku ulegać wymaganiom nieprzyjaciół, uchodziłoby za trwogę.

Kancelarz mówił dosyć długo, a nakoniec pewien, że sobie pozyskał ks. Gryzeldę, odjechał. Pacowie byli w tych pierwszych dniach, razem z Lubomirskim i Olszowskim, nieodstępny mi, ale też jedynymi niemal przy królu.

W kilka godzin po Pacu, oznajmiono hetmana, który z księżną był na stopie przyjaznej, choć narzekał na nią z powodu obrachunków.

Polityka Sobieskiego zmusiła zajrzeć tu teraz i powinszować starusze.

Z pewną rubaszością, którą czasem przybierał, gdy znudziło mu się być Orondatem i Celadonem — wszedł, udając wesołego.

— Przychodzę powinszować W. ks. mości — ozwał się, całując podaną mu rękę.

— A! hetmanie — przerwała mu — myśmy nigdy tak wysoko nie sięgali myślami, a dziś więcej mamy obawy, niż pociechy.

— Co Bóg da—przyjać potrzeba—odparł Sobieski—choć nie taję, że spuścizna po Wazach nie łatwa do dźwignięcia.

— Bądźcież synowi mojemu pomocą i pomocą! — odezwała się księżna.

— Milezający, bez odpowiedzi, nie nie chcąc przyrzekać, skłonił się hetman, wiasa kręcąc.

— Niech tylko król złych doradców nie słucha — odezwał się, namyśliwszy — i wybierze sobie tych, co znają kraj, ludzi, a nieszczęśliwe położenie nasze. Ale — będzie! będzie miał co do czynienia. Szlachta niesforna, wojsko za lada podmuchem gotowe do związków więcej, niż do boju. Kozactwo rozpasane, Turcy uzuchwaleni nieszczęściami naszymi.

— Tak, ale wy hetmanem! — przerwała ks. Gryzelda — to najlepsza rękojmia zwycięstwa.

Hetman krótko zabawił, wizyta była więcej z obowiązku i grzeczności, niż z serca. Na czole miał wypisane, jak się troskał i był skłopotany.

Resztę dnia spędzono we dworku na wybieraniu się z niego do kustodyi ks. Fantoniego, gdzie matka królewska trochę pokażniej przyjmować mogła. Całe staranie o dom spadało na Hełę, która właśnie teraz była roztagonioną, nieprzytomną i chodziła jak jaki cień, jak istota skazana i pokutująca.

Kiedy niekiedy z oschłych oczów dobywały się łzy, a ręka musiała uciskać pierś, w której duszno było i ciężko... Co jej po tem było, że Michał królem został okrzyknięty, gdy ona go utracić musiała! Nigdy wprawdzie nie miała nadziei, ażeby — Michał do niej, ona do niego należeć mogła, ale się spodziewała skromnego jakiegoś stanowiska w jego domu, przy rodzinie, któreby dozwalało pozostać z nim razem. A teraz!! Już w ciągu tego pierwszego dnia zaraz obijało się o jej uszy, co Lubomirski mówił ks. Gryzeldzie, że dla ks. Michała jedno z dwojga, lub rakuska arcyksiężniczka,

albo jedna z księżniczek krwi, Francuzka, przeznaczoną była... O tem ożenieniu, jako o konieczności, jako o związku, co miał dać siłę nową, już szeptano... Hela przerażona słuchała... Tak! — Michał był dla niej straconym... Nawet przybliżyć się, mówić—wkrótce nie wolno jej być miało.

Tego smutku wychowanki, księżna matka, która co raz była weselszą i szczęśliwszą, wcale zrozumieć nie mogła. Brała je za zmęczenie pracą i pocieszała tem, że raz się przeniosłszy na kustodyę, Hela sobie spocząć będzie mogła.

— Spocząć! myślała w duchu Zebrzydowska—teraz!... My już wszyscy spokoju nie zaznamy! Los rzucił nas w wir, który miotać będzie nami — póki nie pochłonie!!

Najprzykrzejszem dla niej było, że teraz po całych dniach nawet wiedzieć nie mogła, co się z Michałem działo, ona, która była nawykłą śledzić krok jego każdy, a często—bardzo często, niepewnym siebie, kierować! Z zamku dochodziły tylko głuche wieści, których dobrze wyrozumieć było trudno. Przynosił je czasem Lubomirski, niekiedy ks. Fantoni; sam król, choć najmocniej pragnął, nie miał chwili, aby się wyrwać do matki.

Myśląc, jakby na to zaradzić, krzątała się z wynoszeniem i zbieraniem ze dworku sprzętu, który się miał na kustodyę przenosić, gdy—wpadł Kiełpsz. Był on teraz nieodstępnie na rozkazy króla, ale serce go ciągnęło do tego dworku i do Heli, która wiedziała bardzo dobrze o jego rozkochaniu i poruszała ramionami, patrząc na wesołego trzpiota.

Tym razem był on jej pożądanym, bo mógł przynieść jej z zamku coś o królu, i myśl przyszła dziewczęciu, wyzyskać przywiązanie Kiełpsza, robiąc z niego sługę i posła.

Przyjęła go też nieco uprzejmiej, weselszą twarzą — i zarzuciła pytaniami. Kiępsz, nie wiedząc czemu to przypisać, niezmiernie był szczęśliwy.

— Możesz się pan teraz — rzekła — bardzo przysłużyć księżnie matee. Jesteśniy nawykłe z dawna wiedzieć o każdym kroku... księcia, nie, króla... a z zamku mało kto przychodzi, powinioneś parę razy w dzień przynosić nam wiadomości. Co pan masz tam do czynienia?

— Ja? — odparł Kiępsz — a no, jestem tymczasowo dworzaninem pokojowym jego królewskiej mości, a więc na rozkazy przez cały dzień, ale, jeżeli księżna każe, ułożę się tak, abym mógł tu przychodzić.

— Zrób pan to — odezwała się Hela — jestem pewna, że i król wdzięczen będzie, bo i jemu tęskno być musi za matką, jak jej za nim.

— Ale ja z tego najszcześliwszym będę! — składając ręce, zawołał Kiępsz. — Dobrze! bardzo dobrze!!

Hela zbliżyła się, cicho mu szepeząc:

— Ks. Gryzeldę najmniejsza rzecz obchodzi. Radaby wiedzieć, jak król znosi to życie trudzące, do którego nie nawykł, kogo widuje, jak panowie są dla niego... Wszystko! wszystko!!

Ułożyła się więc, że na przyszłość pomiędzy kustodyą, bliżej położoną od zamku, a zamkiem, Kiępsz miał być łącznikiem. Podjął się tego z wdzięcznością, bo się spodziewał pozyskać przez to względy Heli, w której coraz mocniej czuł się rozkochanym.

Na pierwsze danie — nie miał wiele do przyniesienia. Na zamku jeszcze się układano dopiero do nowego życia. Starzy, rozpierzchli dworsey Jana Kaźmirza, oraz mniejsi urzędnicy dworu ściągali, dopominając się posad da-

wnych i zajmując je po większej części. Michał dobrodusznie przyjmował te posługi, nie bacząc, kīm się otoczy.

W tem zbiorowisku ludzi różnych, więcej może niechętnie usposobionych, niż życzliwych, starzy lekcjonowali sobie to książątko ubogie, które się im wydawało bardzo pośledniem po dynastyi Wazów.

A że gawiedź taka zwykle mierzy znaczenie człowieka jego dostatkami, ów król ubogi, o którym wiadano, że kilka dni temu ledwie miał koni dziesiątek na stajni - wydawał się jej niezbyt poszanowania godnym. Obchodzono się też z nim, nie okazując mu zbytnej uległości a stara służba rządziła się samowolnie.

Michał zawiele miał na barkach, aby mógł podołać wszystkiemu.

W nim samym dokonywał się ciężki ten proces przetwarzania się człowieka, który wczoraj własnej woli nie miał, a dziś rozkazywać musiał i kierować.

Wszystko dla niego było nowem.

Wyrobić w sobie nagle siłę woli, jasno pojęcie położenia, zrozumienie stosunków, jakie go łączyć miały z tym światem, wczoraj obcym dla niego — dla każdego byłoby trudnem, a dla leniwego i nieśmiałego umysłu Michała — zadaniem się stało niemal nad siły. Potrzebował rady, podpory, przyjaciela, któremu by mógł zaufać.

Instynkt mu wskazywał, że ci, co dopiero teraz zbliżyli się i podali mu rękę, więcej we własnych widokach to czynili, niż dla niego.

Soreca — nie było nigdzie... musiał po nią myślał uchodzić do starego dworku na Miodową, do matki i do Heli.

Na zamku jeszcze się nie uspokoiło i nie poskładało wszystko w formy nowego życia, a już występowały ambicje, chciwość, zazdro-

ści, wymagania... mówiono tylko o rozdawaniu wakansów, a każdy chciał rozporządzać niemi. Pacowie oczywiście stali w pierwszym rzędzie, domagając się, aby król ich słuchał...

Zarazem Sobieski dopominał się ustępstw, grożąc niejako, jeżeliby mu ich nie uczyniono.

Począwszy od prymasa, każdy miał protegowanych — a ci, co najnieprzyjaźniej występowali przeciwko Michałowi, sądzili, że za przejednanie mają prawo wymagać wielkiej ceny.

Michałowi wydawało się to wprost — obrzydliwem.

Milezący — patrzył — i nie mając nikogo więcej, — zmuszonym był z Pacami trzymać, od których już Sobiescy oboje się oddalali. W języku towarzystwa ówczesnego, który dla dogodności nadawał wszystkim przezwiska, w rozmowach i korespondencyi, służące do pokrycia imion prawdziwych, Pacowie już zwali się *bażantami*. Hetmanowa, dotąd połączona dosyć ściśle z kancelerzową — ostygła dla niej i usuwała się... Obie miały stosunki z dworem francuskim, które je rozdzieliły, pobudzając do walki przeciwko sobie.

Nowe związki — nowy świat tworzył się około króla Michała, ale w najszcześliwszym razie to, co się przy nim skupiało, nie miało jeszcze wiele siły i prymas z hetmanem pochlebiali sobie, że mogą stać się groźnymi, nawet, jeżeli im król nie ulegnie.

Dla człowieka, zajmującego dotąd tak skromne i podrzędne miejsce, który począwszy od matki aż do szwagra, musiał iść za wskazówkami rodziny — nagle pozyskanie władzy było — przerażającym. Lękał się jej użyć.

Dodać do tego potrzeba nawyknięcie umysłowe do zajmowania się fraszkami, które ks. Michałowi było właściwe, i wstręt do poważnej

pracy. Dotąd najważniejszym zadaniem w jego życiu było—ubranie i elegancya, przywiązywał do powierzchowności swej wagę zbyt wielką. Twarz jego zastygła ożywiała się dopiero, gdy mówił o nowych strojach i o drobnostkach, które do nich należały. W tym przedmiocie miał nawet rozległe wiadomości i smak, który go prowadził drogą bitą, gdy w innych wahał się na każdym kroku. Śmiesznem więc nieraz wydać się mogło staroście Spiskiemu, gdy po całym dniu nudów, w ciągu którego król zaledwie otwierał leniwie usta — wieczorem ujrzał się niezmiernie ożywionym—gdy zajął się sprawą swej garderoby.

To, co było zamówionem w Paryżu—mogło starczyć dla księcia Wiśniowieckiego—król potrzebował nieskończenie więcej. Miała nastąpić koronacya. Niektórzy byli tego zdania, aby się Michał przebrał po polsku, przypominając, że nawet Jan Kaźmirz raz próbował tem wkupić się w łaski u narodu. Wiśniowiecki oparł się temu stanowczo.

Nawykłym był do peruki, do sukni europejskiej, do koronek, do tego pół niewieściego stroju, który mu się wydawał jedynym, pięknym i wyższą cywilizacyę znamionującym.

Potrzeba było natychmiast wysłać zamówienia do Paryża, a rzecz ta tak gorąco zaprzątnęła króla, iż na prośby szwagra, nawet jej do jutra nie byłby odłożył, gdyby się nie okazało, że Francuz Tionville, którego użyć musiano do tego poselstwa, dnia tego nie był do wzięcia.

Późnym wieczorem król nareszcie znużony przypomniał sobie matkę, a że ona już się była przeniosła do kamienicy ks. Fantoniego, udał się do niej. Ożywiony był bardzo — niestety — nie wiadomościami od kresów Kon-

stantynopola, ale wysyłką po garderobę do Paryża.

Było to — fraszką, ale to rysowało charakter człowieka, który się królem nie czuł jeszcze.

Wszystko, co się łączyło z obroną granic, leżało na Sobieskim, na księciu Dymitrze i na hetmanie Pacu.

Księżna Gryzelda uradowała się, widząc syna wchodzącego z twarzą rozjaśnioną i wesołą, dorozumiewała się jakiegoś ważnego odniesionego zwycięstwa, gdy król, całując ją w rękę, odezwał się żywo.

— Proszę o polecenia do Paryża, jutro wysłam Tionvilla po suknie dla mnie. Najmniej cztery różne garnitury mieć muszę i każę mu je podług wzorów w Wersalu wziętych, u najpierwszych zamówić krawców.

Matka wielkimi zdumionemi oczyma wpatrywała się w niego.

— Zdaje mi się — rzekła nieśmiało — że wiele rzeczy pilniejszych by było.

— A! nie! nie! — przerwał syn namietnie prawie. — Cóżbym ja począł w czasie koronacji, gdzie posłowie obcy przybędą. Muszę przecie wystąpić, jak przystało panującemu. Podskarbi, nie wątpię, dostarczy mi, choćby z własnej szkatuły, na ten wydatek pierwszej, niezbędnej potrzeby.

Hela, która stojąc z boku słuchała, poruszyła zlekka ramionami.

Michał dopiero teraz ją spostrzegłszy, z wyrazem największego poruszenia, rzucił się ją witać i — nie zważając na Lubomirskiego, który zabawiał ks. Gryzelde, odprowadził na stronę.

— A Helo ty moja — począł z niezwykłym pośpiechem — jak mi za tobą tęskno... jak mi brak ciebie! Tak nawykłem się radzić tej mo-

jej Egeryi, że często nie wiem, co począć i boję się stąpić kroku.

— Masz tylu lepszych doradców odemnie— skromnie rzekła Zebrzydowska —ale mów, mów, proszę, jak się składają stosunki, jak się stawia Sobieski, prymas, Morsztyn i Dönhoffowie...

Michał nagle sposepniał.

— A! radbym choć tu u was o tych nie-
znośnych zawikłaniach, które mnie męczyły
przez dzień cały zapomnieć. Nie słyszę o niczem,
ciągle tylko o tych wrogach moich. Prymas,
hetman, obijają mi się bezustannie o uszy...
Mówmy już o czem innem.

— Ale to jest najważniejsze! — przerwała
Zebrzydowska.

— To też ja — wtrącił król pośpiesznie —
wszystko to zdałem na kanclerza Paca... Pójdę
za jego wskazówką...

Pomileczał chwilę i weselej dołożył:

— Mów, co ci Tionville ma przywieźć
z Paryża? Ja mam na myśli dwie sztuki atła-
su dla matki, dwie dla ciebie, koronki, pióra...

— Ale na cóż mnie to wszystko? — prze-
rwała niecierpliwie Zebrzydowska — ja przy-
najmniej wcale tego nie potrzebuję... Jestem
wprost sługą ks. Gryzeldy i ani mi przystało...

— Ale cóżbo znowu! — począł król, chwy-
tając ją za rękę — ja o tem ani chcę słuchać.
Dla mnie — mówił z rosnącą żywością — każe
wszystko na wzór i wedle mody paryskiej spo-
rządzić...

Oczy mu błyszczały, usta się uśmiechały,
Hela, patrząc na niego, westchnęła.

— Że też wy, królu mój — rzekła smu-
tnie — w takiej chwili stanowczej możecie my-
śleć o tem!!

— Stanowczej! — podchwycił Michał — ale
stanowcza chwila już przeszła. Panowie ci są
przejednani, poddali się — i wszystko się ułożyć

musi; dlaczegożbym ja nie miał zająć się tem, jak się pokaże... Nie trzeba, aby dawne nasze ubóstwo zdradzało się...

Zebrzydowska milezała. Wtem matka, która spragnioną była syna, powołała go do siebie.

Ja zajmował głównie prymas i Sobieski.

— Zdaje mi się — rzekł uspokajająco Michał — że się już pogodzili z położeniem. Pae zresztą dokona dzieła... Naturalnie potrzeba ich zdobyć ofiarami, ale ja do nich jestem przygotowany.

Pomilezał trochę i opanowany ciągle jedną myślą — wznowił o wysyłce do Paryża.

— Co matka dla siebie przywieźć każe?

— Nie, dziecko moje — odparła staruszka. — Z dawnych splendorów znajdę jeszcze dosyć lam, aksamitów i atlasów, aby w potrzebie, wystąpić jak biednej wdowie przystało... Tych szat żałoby po moim niezapomnianym nigdy Jeremim nie zrzucę — nawet w dniu najuroczystszym, gdy syna jego koronować będą...

Michał westchnął... Widać było, że wielką miał ochotę powrócić do swojej garderoby i wysłańca do Paryża, ale ks. Gryzelda i Lubomirski zwrócili rozmowę na poważniejsze przedmioty — i król posłuchawszy ich trochę milczący, wstał, odwołując z sobą Hełę.

Poszła za nim posłuszna... a może rada, iż sam na sam, z dawną poufalością przemówić do niego będzie mogła... Zapytała umyślnie, czy widział prymasa.

Nie — odparł z niechęcią król -- pozostawiam kanclerzowi, jako dawnemu jego przyjacielowi, porozumienie z nim. Mam się przyznać? Ten stary obudza we mnie wstręt i obawę niewypowiedzianą. Ma coś w oczach, nawet, gdy się przymila i najbardziej przemawia — tryskającego nienawiścią...

Nigdy pono nie przemogę się względem niego...

— Ale mu tego okazywać nie należy — szepnęła Hela. — Księżna matka zarówno się go obawia, a niemniej radaby go pozyskać...

Michał poruszył ramionami.

— Mówię ci, zdałem to na Paców, oni jedni mogą coś, bo długo z nim byli razem i znają go lepiej od innych.

Westchnął ciężko.

— A, Helo moja! panowanie, korona, jakąż to ciężka pańszczyzna! Zowie się to pięknie, ale w istocie jest niewolą. Człowiek nie należy już do siebie... — jest na posługi wszystkim, odpowiada za wszystko... Gdy sobie przypomnę nasze wieczory w dworku przy Miodowej, nasze ranki wesołe, przy stoliku śniadania.

— A! te już nigdy nie powrócą — przerwała Zebrzydowska. — Jam je łzami pożegnała...

— A ja! — westchnął Michał — i wnet przybrał postawę energiczniejszą — ale nie! nie — rzekł — nie dopuszczę nigdy, abyśmy się rozłączyć mieli. Matkę i ciebie chcę mieć przy sobie. Nie wyżyłbym bez was, a gdy się moją myślą z wami, z tobą podzielić nie mogę, здаje mi się, że nie mam prawa nią się pokierować. Ty często jaśniej, lepiej widzisz nade mną.

— Nie — odezwała się Hela — ale żebym mogła tę nieszczęsną waszą nieśmiałość zmienić w energię, której teraz właśnie najwięcej potrzebujecie, bo ze słabości będą korzystać...

Matka znowu przywołała syna do siebie, niespokojna chciała go spytać o kogoś... Potrzebowała wiedzieć, jak się względem niego znajdowali: Branicki marszałek, Chorąży koronny (Sieniawski), wojewoda ruski szczegó-

niej — naostatek wojewoda kijowski... co mówił i myślał książę Dymitr.

Od dawna pomiędzy nim a Sobieskim był zatarg, który się zaogniał coraz bardziej, a groził teraz następstwami nieprzyjemnymi. Dla wojny, która się bądź co bądź, zapowiadała, zgoda dwu hetmanów była niezbędną.

Lubomirski już wnosił naówczas, co wkrótce do skutku przyjść miało, aby Dymitr starał się o pokrewną hetmana wielkiego, księżniczkę zasławską i ostrowską. Spodziewano się, zbliżając rodziny, pojednać ludzi... Ale tu, jak w każdym kroku Sobieskiego, wpływ żony, Maryi Kaźmiry, był przeważający, a ją tak trudno było pozyskać. Z despotyzmem nieublaganym kobiety, która zna swą siłę, rządziła ona mężem, poddanym jej najzupełniej.

Ks. Gryzelda gotową była dostojność swą przed dumną Francuzką ukorzyć i sama pierwsze uczynić kroki... Ale potrzeba było wprzód zapewnić się, że to upokorzenie nie zostanie odepchniętem wzgardliwie.

Wszystko to z chłodem niepojętej obojętności przyjmował król, zatopiony w myślach — niestety! — bardzo dalekich od poważnych trosk matki... rachował właśnie, ile garniturów potrzebować będzie i jaką sumę na nie od podskarbiego weźmie. Oprócz tego, nie pewien był, czy dwa najparadniejsze, zupełnie podobne, nie będą koniecznymi...

W tej chwili wszedł — sąsiad, gospodarz i przyjaciel domu, ks. kustosz Fantoni, który się cieszył, widząc ks. Gryzeldę u siebie. Król przywitał go uprzejmie — przypominał mu owe dawne, szczęśliwsze czasy.

Poczęto od różnych drobnostek, dotyczących się domu, bo kustosz rad go był uczynić najwygodniejszym dla swej lokatorki, ale po krótkim porozumieniu — Fantoni wstał i zwrócił

się do króla, który z nim odszedł na stronę. Siedli, jak niegdyś dawniej, a zacny kapłan z troskliwością przypatrywał się twarzy młodego pana.

— Wydajesz mi się, W. królewska mość zmęczonym — odezwał się — ani jest się dziwić czemu. Z życia spokojnego przejść bez żadnych pośrednich przygotowań w taki zamęt i na taką wyżyne!!

Michał popatrzył na niego, nie śmiejąc skarżyć się zrazu.

— W istocie — odpowiedział — zmęczonym czuję się wielce, a dotąd nic a nic zrobić nie mogłem. Słucham — uczę się — nie rozumiem wiele, ale Pac mnie wyręcza.

— Staremu przyjacielowi pozwolisz W. królewska mość być szczerym! — odezwał się kustosz.

— A! mój ojcze! — przerwał pochylając się ku ramieniowi jego — mój ojcze!... proszę, zapomnijcie o tej nieszczęsnej koronie.

— Oceniam wysoko przyjaźń i pomoc Paców — ciągnął kustosz dalej — ale potrzeba mieć własną wolę i — powoli ze wszelkich więzów się wyswobodzić. Kraj po was, królu mój, wiele wymagać będzie, a nie zechce pamiętać na to, w jak ciężkich warunkach szlachta narzuciła tę koronę!!...

Wojna wisi nad nami, z kozactwem niema końca, z Turkami nieunikniona walka... Polska jest otoczona nieprzyjaciółmi, Jan_Kaźmirz wam ją przekazał — osłabłą, zniszczoną, okrwawioną, zbolalą, a was, opasał kołem zawistnych i wrogów...

— Spodziewam się ich pozyskać — wtrącił król nieśmiało.

— Nie wiem — mówił dalej kustosz — zjednać będzie trudno, trzeba ich przełamać. Energii na to trzeba i silnej woli.

Michał spuścił oczy, jakby nie śmiał ich obiecywać.

— Sobieski — rzekł — musi być pozyskany, bo my go nie przemożemy. Wojsko ma w nim ufność, wodza drugiego, jak on, nie uwłaczając ks. Dymitrowi, znaleźć trudno...

— Sobieski — ciszej odparł kustosz — nie tyle jest strasznym, co prymas... Z bólem serca muszę to mówić o głowie kościoła. Tegoby należało ująć, rozbroić, a to mi zdaje się prawie niemożliwym. Natura to skryta, mściwa i nieprzebaczająca... Klęski, jaką mu zadano, nie przebaczy nigdy...

— Ale mnie jej przypisywać nie może — odezwał się Michał. — On wie lepiej, niż inni, żem ani się starał, ani pożałował, ani wiedział do chwili ostatniej, co mnie w polu elekeyjnym czekało.

— Tak jest—dodał Fantoni—ale na nikim innym pomścić się nie zdoła, tylko na Waszej królewskiej mości. — Mówię to nie dla tego, abym trwożył, lecz żebym obudził męstwo i baczność — Bóg dopomoże — lecz uzbrojcie się i czuwajcie!

To mówiąc, kustosz powstał i widząc niepokój matki, ukazał ją królowi, który do niej powrócił.

Takim był początek tego panowania, które się zdało wola Niebios, natchnieniem Bożem w chwili krytycznej zesłaniem, a miało być męczeństwem niewinnego, słabego człowieka, który podolać nie mógł zarazem nieprzyjaciół, zewnątrz i wewnątrz mu zagrażającym.

Wojna zapowiadała się na granicach, wojnę wypowiedział mściwy Prażmowski.

W pierwszych jednak początkach spodziewano się dni jaśniejszych.

Wkrótce nieuniknione małżeństwo młodego pana pierwsze przyszło na stół, aby pry-

masa zniechęcić i zemstę jego rozżarzyć na nowo.

Prażmowski chciał przynajmniej swoje zaprzęgnięcie dworowi francuskiemu tem opłacić, by króla z księżniczką orleańską ożenić. Rozpoczął więc starania o to, sądząc, że młody król będzie szczęśliwym i dumnym z tego połączenia. Ale przeciwnie Francuzi mówili wspomnienia Maryi Ludwiki i frymarki przedwczesne o koronę a intrygi Sobieskiej i kancierzyny Pacowej. Nie mogła szlachta przebaczyć Kondusza, złotem jej narzucanego. Wstręt do Francji był niezmierny i stanowczy, tak wielki, że przemógł nierównie bardziej wkorzeniony i starszy jeszcze do cesarskiego domu rakuskiego.

Z tego umiał korzystać ksiądz biskup chełmiński Olszowski i zwrócił się z negocjacyami do Wiednia, o arcyksiężniczkę rakuską dla Michała.

Była właśnie na wydaniu arcyksiężniczka Eleonora, przeznaczona księciu Lotaryńskiemu, z którym, jak powiadają, łączył ją zdawna serdeczny węzeł, ale polityka nie zna spraw serca, ani się lituje nad cierpieniem dwojga istot dla siebie przeznaczonych, gdy je rozerwać potrzeba dla dogodzenia swym planom.

Olszowski znalazł w Wiedniu poważne ucho i miło przyjęcie. Zamezcie to zgadzało się z tradycjami domu, który dał Zygmuntowi III dwie żony, potem Władysławowi jedną, z chęcią też zgodzono się w Wiedniu, na połączenie z młodym królem, który znany był tam i ceniony. Wprawdzie wspomnienia jego pobytu w Wiedniu skromne były... i wcale przeczuwać nie dawały tak świetnej przyszłości.

Walka pomiędzy prymasem, a ks. Olszowskim, wszczęła się — gorąca — zacięta, lecz Prażmowskiego przeznaczeniem było — dozna-

wać niepowodzenia, mimo największych wysiłków.

Zapowiadało się więc ożenienie z arcyksiężniczką. Król milcząco, zimno, z rezygnacją zdawał się przyjmować tę konieczność i następstwo nieuchronne. Połączenie to obiecywało dla zagrożonego kraju pomoc, a przynajmniej poparcie moralne cesarstwa rakuskiego. Wszyscy przyjaciele króla, nie wyjmując Paców, mających tu ściśle z Francją i dworem jej stosunki, godzili się na austriaczkę.

Prażmowski szalał, odgrażał się, i wściekał, ale musiał tłumić to w sobie, aby na jaw nie wydać się z nową doznaną klęską. Mściwy starzec nie mógł przebaczyć Michałowi wszystkiego, co z jego powodu połknąć musiał i milcząco pochłonać w sobie; najzuchwalsze plany krążyły w tym znękanym starcu, który rozpaczą do nich był przywiedziony.

Całą więc swą siłę zwrócił on ku tym, których dawne stosunki z nim łączyły, aby ich zachować przy sobie i użyć przeciwko temu, którego za wroga swego uważał.

Sobieskiego szczególnie starał się utrzymać, rozjątrzać i wszelkie usiłowania przejednania zniweczać. Tak też dzięki jego zabiegom — zbliżenie się do Wiśniowieckich przez małżeństwo ks. Dymitra z ks. Susłowską przeszło na niczem. Stare spory i niechęci odżyły.

Jednych Paców nie udało się prymasowi od króla oderwać. Ci pozostali mu tem wierniejsi, że Sobieski był połączony z Radziwiłłem, a walka z niemi o przewagę na Litwie nie ustawała.

Prażmowski czuwał nad tem, aby król Michał nie wielu sobie zdobyć potrafił przyjaciół. Tylko szczupła garstka wiernych otaczała tron chwiejący się. Chmurny horyzont,

burzami brzemienny, zawisł nad Rzeczpospolitą.

Wybraniec szlachty niósł ciężki krzyż na ramionach, posepny i milczący dźwigał męczeństwo swoje.

Ożenienie z arcyksiężniczką Eleonorą miało przenieść walkę, która go zewsząd cisnęła do domowego pożycia—nieprzyjaciela posadzić u wezgłowia... aby ani chwili jednej nie miał już spokoju i wytchnienia.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



